

26 x 19

44 x 32 $\frac{1}{2}$

LIBRARY
SŁONECZNA W. W. K.

0

3/100-123

2

Sądecka Biblioteka Publiczna



500000071

Zbiory Specjalne

426 8/10
170

BIBLIOTEKA

Inwentarz No.

426

Dział

III a

L. n.

118

322-00

Im: SZUMIŁKO

NOWY SĄCZ

WY
CZ
T

Jożefowi Pruskiemu

w kolożie

od autorki

Warszawa — 5 maja — 1881.

~~L 48~~
~~Ma~~ 476.

ZWIERCIADLANA ZAGADKA.

884-3

~~482~~
1/111

ZWIERCIADŁANA
ZAGADKA.

PRZEZ

DEOTYME.



WARSZAWA.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

—
1879.

Дозволено Цензурою.

Варшава 5 Сентября 1879 года.



82-1/-9

Druk Ziembkiewicza i Noakowskiego, Krakow.-Przedm. N. 15.

Akc. 3 200.9

Dawniej patrzyłam na zwierciadła tak, jak wy wszyscy patrzycie, wzrokiem roztargnionym, obojętnym,—bo i czémże ma zaciekawiać sztuczne odbicie przedmiotów, które możemy widzieć w ich prawdzie i rzeczywistości?

Jeżeli czasem baczniej spojrzęłam w lustro, to chyba kiedy chodziło o poprawienie źle wpiętej kokardy, lub o jakąś dziwną grę światła i perspektywy, która nieraz bawi oko w mieszkaniach, gdzie liczne zwierciadła i wielkie szyby okienne odsyłają sobie wewnątrz komnat jakby przeinaczone, poustawiane pod różnemi kątami.

Ale i takie widowisko zawsze dla oka było tylko zabawką, i wzrok choć badawczy, zawsze pozostawał spokojnym.

Teraz dzieje się inaczej.

Od niejakiego czasu nie mogę spojrzeć w zwierciadło bez wzdrygnięcia się i rodzaju trwogi, której nawet najgorętsza ciekawość nie zdolna jest przemódz.

Wśród przygotowań do jakiejś uroczystości lub zabawy, kiedy ceremoniał stroju przymusza mię do dłuższego siedzenia przed gotownią, o ile tylko mogę, trzymam oczy spuszczone, ażeby przypadkiem nie spojrzeć i nie zobaczyć...

Wprawdzie nic jeszcze nie widziałam nadzwyczajnego, nadludzkiego, ale wiem, że może... mogłabym zobaczyć... i wybyście mogli...

A niech mi wypadnie wieczorem iść ze świecą naprzeciw zwierciadlanej tafli, o! wtedy, naprawdę serce mi bije, jak dziecku w ciemnym pokoju.

No, to jeszcze możnaby położyć na kark damskich nerwów, ale powiadam wam, i w biały dzień, w najweselsze południe, ile razy przechodzę koło zwierciadła, to z takim wzruszeniem, z jakim przechodzimy koło zamkniętych drzwi domu, w którym właśnie zaszedł jakiś tragiczny lub osobliwszy wypadek. Drzwi zamknięte; przechodzień na progu ich nic nie widzi, ale wie, że się za nimi coś dziwnego dzieje, i mówi sobie: A gdyby się też otworzyły?

O mój Boże! Gdyby się wszystkie te kryształowe drzwi pootwierały, cóżbyśmy nie zobaczyli?

A całej téj biedy, téj gorączkowej ciekawości, tych postrachów, których się wstydę, narobił mi pewien list,—na szerokim, bibula-

stym papierze, pisany drżącą ręką, przypiętowany kołędowym opłatkiem, który przed rokiem pocztą miejską mię doszedł.

Każda osoba uchodząca za majątną, jeżeli jeszcze mieszka na jednęj z pokaźniejszych ulic, odbiera niezawodnie raz albo i kilka razy na tydzień listy, tak zwane z *prośbami*.

Nie chcę ja źle mówić o miejskiej poczcie, która z wielu względów jest użytecznym wynalazkiem, jednak muszę przyznać, że ma jedną stronę nieznośną: zmusza nas do przyjmowania wszystkiego, cokolwiek nam z łaski swojej narzuci.

Dawniej, kiedy list przyniesiono i nie chciało powiedzieć od kogo pochodzi, łatwo było pozbyć się natręta prostą odpowiedzią, że „od nieznanomych nie przyjmuje się listów.”

Dziś kiedy koperta spada jak z obłoków, opatrzona marką, tym znaczkem czarodziejskim, co wszystkie drogi jęj otwiera, kiedy spada z rąk urzędowego roznosiciela, co jak Przeznaczenie jest istotą nic niewiedzącą i za nic nieodpowiedzialną, cóż robić? Kogo się spytać? Komu zwrócić tajemniczą przesyłkę? Trzeba wszystko przyjmować, i każde pismo otworzyć na wszelki wypadek, bo trudno z samego zewnątrz odgadnąć, czy nie należy do rzędu listów potrzebnych?

A co się też to niepotrzebnych naotwiera! Już nie mówię o wytworach złościwości ludz-

kiój, o tych zjadliwych anonimach, co z po za warowni pocztowój, strzelają sobie wygodnie na spokojnych przechodniów, o tych nie chcę mówić, bo dzięki Bogu, w naszèm społeczeństwie ta *vendetta*, jak i wszelkie inne, nie łatwo się przyjmuje,—ależ samych owych pokornych, potulnych listów z prośbami, co za foliały gromadzą się bezużytecznie!

Najczęściej bezużytecznie, bo jeżeli na podpisie zobaczymy nazwisko nieznanne, a na wstępie sakramentalne wyrazy:

„Szlachetna osobo!”

Albo: „Znane echo wspaniałomyślności czuwającej nad cierpiącą ludzkością...”

Odkładamy list na bok nie czytając dalej,— a nie chcemy czytać nie z żadnej pogardy, ani też z jakiejś zatwardziałości serca, ale z obawy, aby litość nie wciągnęła nas w przedsięwzięcia przechodzące rozsądek i zasoby; każdy ma tyle nędzy do ratowania w koło siebie, tyle koniecznych podatków rodzinnych, towarzyskich lub społecznych, że gdyby chciał słuchać wszystkich głosów, co się do niego wznoszą, ach! i Krezusowém bogactwem nie obdzieliłby rzeszy, musiałby nieraz poświęcić blizkich dla dalekich, ująć obowiązkom dla zbytku, bo i w miłosierdziu bywają wysoki zakrawające na zbytek, rozkosze nadetatowe, których tylko najszczęśliwsi mogą sobie pozwalać.

Kto nie posiada Golkondy, ten musi nieraz bronić się od współczucia, jakby od pokusy, więc już woli i nie czytać i nie słuchać, kiedy wie naprzód, że nie może wysłuchać.

Jednak i między temi stosami papierów bez namysłu przeznaczonych na niepamięć, trafi się czasem karta, która od pierwszych wyrazów chwyta za serce taką rozdzierającą prawdą, albo wśród chwastów prośbowego stylu, odsłania takie wspaniałe ruiny wielkiej duszy, że choć obojętném nazwiskiem podpisana, przyciąga jakby dawna znajomość; nie możemy téj kartki puścić z ręki, póki jęj nie doczytamy do końca, a doczytawszy mówimy z westchnieniem! Ileż musiał cierpieć człowiek, co *tak* pisze, ileż musiał z sobą walczyć, nim się odważył to napisać i wysłać!

Takim był ów list, który przed rokiem odebrałam. Zamiast w długich omówieniach dawać o nim niedokładne pojęcie, wolę go dosłownie wypisać:

Szanowna pani!

„Wiele jest rzeczy w niebie i na ziemi, o których mędrcom nawet się nie śniło.”

Tak powiedział jeden z największych mędrców, i to jest jedną z największych prawd, jakie wypowiedział.

Codzień widzimy, że dzisiaj się spełnia to, o czém wczoraj wątpiono, o czém onegdaj nikomu się nie śniło.

A jednak ludzie zawsze wątpią!

Zadziwi, może i zrazi panią tak niezwykle zaczęcie listu. Ale bo też i moje życie niezwykle... Ja jestem chodzącym przykładem i naocznym świadkiem owych rzeczy, o których dzisiejszym uczonym się nie śni... Widziałem zjawiska niepojęte, straszne, zachwycające,—nie powiem *nadprzyrodzone*, bo wszystko, co istnieje, podchodzi pod prawa przyrody, ale które wydają się takimi, dopóki rozum nie przeniknie ich przyczyn. Otoż właśnie, ując te zjawiska w karby nauk ścisłych, spożytkować je dla społeczeństwa, to jedyne i ostatnie marzenie mojej duszy, zresztą na wszystko zamartwój.

Jestem na drodze wielkiego wynalazku, co wywoła nieobrachowane skutki i następstwa, nie tylko w zakresie nauk przyrodzonych, zwłaszcza optyki i astronomii, ale i w innych gałęziach wiedzy ludzkiej; trudno obliczyć, jakie skarbnice otworzy dla dziejopisów i archeologów, jakie cudowne ułatwienia przyniesie podróżnikom w dokładnym poznaniu globu. I nie dosyć, że wzbogaci umysł ludzki, wpływ jego rozciągnie się i na czynną stronę społeczeństwa, da się uczuć w wewnętrznym życiu rodzin, sprowadzi niejeden przewrót w polityce, może nawet rzuci nowy promień na moralność, metafizykę i psychologię.

Że ten wynalazek jest możebny, za to mogę

ręczyć, bo *widziałem go na własne oczy*, ale go widziałem w ręku obcém, zazdrośném, które go trzymało w ukryciu nieużyteczném dla ludzkości.

Jabym sobie postąpił inaczej, podzieliłbym się nim z bliźniami,—ale dla wprowadzenia go w rzeczywistość potrzeba środków materyalnych, których mi zupełnie brakuje.

Niegdyś byłem bogaty, bardzo bogaty.. Dostatki rozeszły się na poszukiwanie owęj tajemnicy, a nie powiem, aby poszły na marne, dociekleń wiele, ach! prawie wszystkiego, ale właśnie w epoce, w której ostatnia zasłona już miała opaść, resztki mego mienia okazały się wyczerpane.

O pani! Twoje serce odczuje całą rozpacz, cały żal człowieka, co w wigilię tak wielkiego, wyczekiwanego święta, musi wrócić się od progów świątyni,—człowieka, co u kresu tyłu usiłowań, tyłu zwycięstw i rojeń, widzi się ubezwładnionym przez nędzny brak środków...

Nędzny, a jednak wszechwładny! Bez pieniężnej pomocy nie potrafię dokonać ostatnich prób, z których wyjdzie w całym blasku owo odkrycie, ważne dla was wszystkich w ogólności, a dla mnie w szczególności jeszcze stokroć ważniejsze, bo w niém tylko znajdę,—a przynajmniej mam nadzieję, że znajdę,—rozwiązanie strasznych zagadek mego życia.

Tak, życie moje było straszne. Każdą po-

myślność, każdą wyjątkową wielkość, trzeba na tym świecie okupić wyjątkowemi cierpieniami. I mnie ręka przeznaczenia wtajemniczyła w sfery innym ludziom nieznane, ale mi ten fatalny zaszczyt kazała opłacić nieszczęściami tak okropnemi, że nawet nie śmiem ich opowiadać, bo nikt mi nie wierzy! Ludzie się uśmiechają... Moje dzieje, aż nadto rzeczywiste, biorą za przywidzenia schorzałego umysłu. Niestety! Czemuż tak nie jest? Czemuż ja muszę służyć za żyjący dowód, że nieprawdopodobne może być prawdziwém?

Gdybym jeszcze miał zdrowie i młodość, wziąłbym się energicznie do pracy, połowę życia poświęcił na zbudowanie nowego majątku, a drugą na spełnienie wielkiej myśli. Ale nieszczęścia i zawody stargały moje siły; o ile mogę wnosić z opłakanego stanu mego zdrowia, dni moje są już policzone... Trzeba śpieszyć z pomocą, jeżeli się chce uratować skarb jakiego jedyną tradycyę posiadam. Szkoda byłaby, nienagrodzona szkoda, gdybym go miał zanieść bezużytecznie do grobu... I to do jakiego? Do wspólnego dołu ubogich!

Pani! Echo wspaniałomyślności, jaka... i t. d. ośmiela mię... i t. d...

— Tu omijam ustęp czysto osobisty, zawierający kilka słów pochlebnych; trzeba jednak przyznać, że w porównaniu z innemi listami, obecny zawierał ich bardzo mało, i te nawet,

które w nim znalazłam, były zestawione niezręcznie, jakby przymusowo; znać człowieka, co jeszcze nie przywykł do *prośby*. Po kilku ziarnkach kadzidła, rzuconych oszczędnie i prawie niechętnie, autor wraca do swego dumnego, zboląłego tonu:

— Gdyby—pisze—chodziło tylko o moją osobistą nędzę, nie trudziłbym nikogo jękami, nie kołatałbym do żadnych drzwi, od których słusznie mogę być odesłany do źródeł miłosierdzia publicznego, umyślnie na ten cel przeznaczonych. Złożyłbym głowę pod smutnym dachem którego z zakładów dobroczynnych, i tam resztę dni moich przecierpiał w milczeniu.

Ale tu chodzi o naukę! Ona to daje mi odwagę, najtrudniejszą ze wszystkich, odwagę zebrania.

Ciężka to ostateczność dla człowieka, co znał dnie szczęśliwsze, co zwykł dawać, a nie przyjmować. Ale kto chce dojść do celu, nie może w drogach przebierać.

W imię więc nauki błagam was o ratunek. Mówię *was*, bo dobrze wiem, że jałmużna z jednej ręki dana, nie wystarczy na spełnienie mego przedsięwzięcia. Nie wymagam zatem od pani tak wygórowanej ofiary, proszę tylko, abyś zechciała tę myśl rzucić i szerzyć w kole twoich znajomych; wiem, że w tém kole są ludzie uczeni, ludzie miłujący postęp i światło.

Upraszam, abys im pani mój los przedstawiła, zezwalam, abys nawet mój list pokazała. Może wezmą do serca krzyk boleści, i wykonają zbiorowo to, co pojedynczemi siłami nie da się wykonać.

Cokolwiek uczynicie dla mnie, uczynicie dla samych siebie, i mogę śmiało obiecać, że znajdziecie nagrodę nietylko w inném życiu, ale już tu, w niespodzianém z bogaceniu umysłu i nieopisanych rozkoszach dla duszy.

Oczekując na wyrok, co ma rozstrzygnąć ostatnią moją nadzieję na ziemi, pozostaję
z głębokim szacunkiem

Cezary S.

Ulica Mylna.

Nr. 11-ty.

Taki list każdego by zastanowił. Już sam nagłówek z Szekspira zadziwił mię, jakby perła na drodze znaleziona. Pomimo nieodzownego „echa wspaniałomyślności,” i kilku innych stereotypowych wyrażen, całą swoją treścią, całym, że tak powiem, swoim kamertonem, ów list wyróżniał się między współbraćmi, jak Belizaryusz między żebrakami. Nawet z tą dumą było mu jakoś do twarzy. Wprawdzie, w podobnych razach, duma nie jest ani właściwą ani zręczną, bo jak słusznie powiedziano, „pokora niebiosa przebija,” a dumą rzadko się wygrywa, zwłaszcza kiedy się potrzebuje drugich;—jednak na ten raz, wyjątko-

wo, ów królewski styl zdradzał taką wiarę w samego siebie, taką pewność przekonania, taką niezłomną choć zawiedzioną nadzieję, że i w czytelnika powoli wpajał wiarę.

Nazwisko podpisanego uderzyło mię także. Przez uszauowanie dla nieszczęścia, oznaczyłam je tylko pierwszą głoską, ale jest to nazwisko znakomite, nie bez pewnych zasług w przeszłości, a dziś już takie rzadkie, że aż do odebrania prośby uważałam je za wygasłe.

Widok tego podpisu obudził nawet we mnie jakieś zamglone wspomnienia. Zdaje mi się, że w dzieciństwie słyszałam o człowieku noszącym podobne imię i nazwisko, jako o świetnym bywalcu światowym, który chwilowo dom otwarty prowadził w naszym mieście. Kiedy to było? Kto mi mówił o nim? Na te pytania wyraźnej odpowiedzi nie mogłam znaleźć, pomimo najmozolniejszych wysiłków pamięci. Wiem tylko, że w opowiadaniach starszych osób nieraz się ta figura przesuwiała, wprawdzie wcale niepodobna do autora dzisiejszego listu, bo jaśniejąca bogactwem i swobodą, ależ trzydzieści czy więcej lat czasu, to przerwa, po której się i przyjaciele nie zawsze poznają.

Te wrażenia, wspomnieniami poparte, coraz mocniej przyciągały mię do listu. Jednak po kilkakrotném odczytaniu, zaczęłam się zatrzymywać wielkością roszczeń w nim zawartych. Widziałam, że proszący małym datkiem się

nie zadowolili, możesz nawet i obrazi? A myśleć o spełnieniu wszystkich jego żądań, byłoby to puszczać się na przedsięwzięcie równie ogromne jak niepewne, brać na siebie odpowiedzialność za cudzy pomysł, który może jest czystą mrzonką?

Odłożyłam więc na bok bibulastą ćwiartkę, i przez kilka dni usiłowałam o niej zapomnieć.

Ale w téj ćwiartce był wyraźnie zaklęty duch jakiś, który za mną chodził i nie dał mi spokoju.

Co wezmę książkę do ręki, to między liniami czytam: „Że ten wynalazek jest możebny, za to wężę, bo widziałem...”

Co wezmę pióro do ręki, to same mi się piszą słowa: „Jest wiele rzeczy w niebie i na ziemi...”

A niech się zamyszę, zaraz mi w oczach staje pamięć wszystkich wielkich wynalazców, niepoznanych, nieocenionych za życia. Przeciągają przedemną na burzliwym oceanie dziejów, żalosne postacie Watta, Bernarda Palissy, Galileusza, i tysiąca innych. Ich ręce pełne skarbów, ale jak je utrzymać, kiedy burza miota ich wątlém członkiem? Wołają o pomoc,—tłum stoi na brzegu, przygląda się ciekawie walce geniuszu z losem;—lecz nikt się ani ruszy. Już łódka niknie... już pęka z łoskotem... rozbitek woła o ratunek, o jedną linę zbawienia,—już prąd go porwał, on jeszcze

skarbu nie puszcza, w zaciśniętych rękach trzyma go namiętnie,—cały już pogrążony, jeszcze ręce podnosi... Aż nadbiegł bałwan czarny, przerażający, uderzył i wszystko schłonał. Tłumy syknęły, zrozumiały, że to już koniec, a jednak jeszcze stoją i czekają. O, nie próżno czekają! Niedługo coś na wodzie błysło... puszczonej z martwej ręki skarb wypływa na wierzch. Skarb wyplynał, ale rozbitek nie wypłynie.

Ciekawość widzów rośnie, — skarb coraz bliższy,—fala go podnosi i na brzeg wyrzuca. Tłumy cisną się ku niemu, chcą nakonieć sprawdzić, czy to skarb rzeczywisty? Bo póki im go z daleka pokazywano, nie chciały wierzyć, mówiły, że to szych i fałsz. O, teraz się poznali! To skarb niezaprzeczony, wartość jego przechodzi nawet oczekiwanie. Rozrywają go sobie, obnoszą go w tryumfie, śpiewają hymny na chwałę rozbitka, ale rozbitek już hymnu nie słyszy, doczekał wszystkiego, prócz tryumfu. Całe pokolenia będą się wzbogacały i żywiły jego odkryciem, a on skończył w bezdennościach nędzy i opuszczenia. Tysiące przez niego uwierzą w moc geniuszu, a on skonał, wątpiąc o sobie.

Czemu się najczęściej tak dzieje? Czemu nie znajdzie się ani jedna ręka, coby na czas przyniosła pomoc, już jeżeli nie z litości, to z mądrej rachuby, bo przecież ten, co ratuje posiada-

cza skarbu, zbierze pierwsze korzyści i wdzięczność pokoleń?

— „Aha! Trzymam cię za słowo!” Odzywa się głosik podobny do sumienia.— „Poetka dobrodzika snuje łzawe elegie nad losem geniuszów niepoznanych w przeszłości, rozczuła się w teoryi, a kiedy przyjdzie do praktyki, kiedy los ci pozwala podać zaraz, w tej chwili, ową linę zbawienia, to zamykasz oczy i prośbę w kąć rzucasz! Któż ci powiedział, czy ów człowiek z ulicy Mylnej nie jest jednym z owych genialnych rozbitków? I tamte nie inaczej wołały, i tamte nie byłyby zginęły, gdyby nie odkładano z dnia na dzień ratunku, gdyby chciano raz tylko sprawdzić ich nieszczęście.”

Codzień powtarzane te morały nie pomału mię niecierpliwiły. Napróżno odpowiadałam: Ba! to może tylko przywidzenie szaleńca, albo zręczna pułapka na łatwowiernych zastawiona... Dobrze czułam, że głos ma słuszość, jeżeli nie we wszystkiem, to przynajmniej wtedy, kiedy twierdzi, że nie można żadnej wątpliwój rzeczy potępiać, dopóki się jój nie sprawdziło.

Chcąc raz się już pozbyć i Szekspira i Galileusza, i roztargnień myśli i nauczek sumienia, zaczęłam szperać w stosie papierów, odnalazłam ów list uprzykrzony, wypisałam z niego dokładny adres, i człowieka wielce zaufanego wysłałam na wywiady.

Jak poszedł, tak na pół dnia przepadł. Wie-

czorem dopiero wrócił zmordowany i rozdrażniony.

— Ach, co ja się też nalatałem! Nie próżno ta ulica nazywa się Mylna. Ani domu znaleźć, ani numeru doczytać. Co ja obszedłem dziedzińców, pięter i pięterek, to i na wołowej skórzeby nie spisał. Nakoniec znajduję, ale co? Widmo... okropność... Ach pani, jeżeli ten człowiek jeszcze dwa tygodnie przetrzyma na tym świecie, to powiem, że dokazał sztuki.— Od pół roku już prawie samém tylko mlekiem żyje, na inną strawę go nie stać. Bo co też to za nędza, co za trzeszcząca nędza! Mieszka na facyatce,—izba odrapana,—wprawdzie dużo tam rupieci, ale to wszystko dwóch złotych nie warte; jakieś stare obraziska poodwracane do ściany, pozakrywane łatanemi szmatami, jakaś czarna książka, jakieś w kącie flaszki i banie szklane z wykręcanemi szyjami, wszystko to trochę tak wygląda, jak te mieszkania czarnoksiężników, które przedstawiają na teatrze, ale z rzeczy potrzebnych do życia, nic, zgoła nic. Pytałem się, czy ma to albo owo? wszystko posprzedawał, nawet łóżko,—biedak, będzie musiał umierać na słomie. A ledwo śmiałem się o co pytać, taka harda w tym człowieku dusza. Jedną nogą już w grobie, a czoło nosi wysoko, jakby miał jeszcze świat podbić. A mówi jak z książki. Nie wiele ja tam zrozumiałem o czém, to jedno wiem na pewno,

że jeżeli go kto ma ratować, oj! musi się śpieszyć, bo śmierć z każdego kąta tam wygląda.

Po sprawozdaniu tak żalosińm, nic nie pozostawało tylko śpieszyć z pomocą; wprawdzie odstręczał mię obraz czarnoksiężkich przyrzędów, zakrawających na budę szarlatana,—ale, mówiłam sobie, — wszystko jedno, szarlatan czy nie szarlatan, zawsze to pewne, że z nędzy umiera.

Szczęśliwym trafem tego dnia właśnie spotkałam się z panią Martą, zacną matroną, która całe życie poświęca dziełom dobroczynnym.

Dziś niestety, już jój między nami niéma, od kilku miesięcy wyjechała w dalekie strony, i nie wiem, czy kiedy wróci; a szkoda, Warszawa jój pożałuje; nie Warszawa myśląca, pisząca lub tańcząca, ale Warszawa cierpiąca; znało ją nie czoło miasta, ale serce miasta, znała ją dobrze ta warstwa towarzystwa cicha, niewidzialnie a skrętnie zapracowana, która snuje olbrzymią sieć miłosierdzia, ogarniającą wszystkie zbolełe członki społeczeństwa. W tym osobnym świecie, którego istnienia wielu się nawet nie domyśla, pani Marta zajmowała wybitne stanowisko, sprawując jednak nie tyle prawodawczą, ile wykonawczą władzę. Bo też to umysł na wskrós praktyczny, nie bawiący się w żadną czułościowość; nie ma w nim ani krzty zapału. Teorye filantropijne zostawia ludziom książkowym, a sama tymczasem uwija

się jak mrówka, bez planu z góry wytkniętego, rachując na Opatrzność, która jakoś jej nigdy nie zawodzi; więc daje z dnia na dzień, wspierając każdą biędę, co jój pod rękę wpadnie, byle zaraz, byle bez odkładanek, bo zawsze powtarza: „Dwa razy daje, kto prędko daje.” Ma jeszcze i drugie ulubione wyrażenie, które na swoje kopyto przerobiła ze znanego przysłowia; mawia ona: „Oko dającego tuczy ubogiego.” Według niój nigdy! nie trzeba się spuszczać na nikogo, i tylko ta sprawa dobrze pójdzie, gdzie człowiek własną osobą nadłoży. To też nie lubi działać przez posłów, a że mimo lat jest rzeźka i zdrowa, wszędzie sama chodzi, wszystkiego sama się dotknie, co przynajmniej o połowę skraca jój czynności, bo widząc na własne oczy, wie od razu, czego się trzymać, nie da się oszukać ani pozorom nędzy, ani pozorom dostatku.

A co to za rządność w szafowaniu czy swoim czy cudzym groszem! Nic jój nie porwie za granice rozsądku; daje pod krédką, ażeby jak największą liczbę potrzebujących obdzielić; daje mało, ale za to często, i tą ciągłą pieczę może więcej sprawia uciechy, niżby sprawiła jednorazowém sypnięciem, po którym jeszcze okropniej boli opuszczenie. To też nie ma przedmieścia, nie ma zaułka, gdzieby jój odwiedziny nie były wyczekiwane i błogosławione, jak gdyby jakiś wschód słońca.

Pokazałam jój list mego tajemniczego rozbitka z pełną wiarą w jój doświadczenie i bystrość, nie bez obawy jednak, czy pani Marta nie ruszy ramionami, i nie wysmieje szumnych obietnic marzyciela.

Na wielki mój podziw i wielką radość wcale nie ruszyła ramionami, ale porządnie składając napowrót ćwiartkę i wsuwając ją do koperty, powiedziała:

— Tu są dwie rzeczy do zrobienia: najprzód człowieka ratować od głodowej śmierci, a potem—co do odkrycia, zobaczymy. Kto wie? Może on rzeczywiście co użytecznego wynalazł? W każdym razie trzeba pójść, zobaczyć, a nadewszystko wypytać się bez powątpiewań, bez szydzenia, tak jakby mu się najzupełniej wierzyło; u człowieka zranionego niepowodzeniem należy i ambicyę uszanować, to jałmużna dla duszy.

Nazajutrz więc rano, wybrałyśmy się na ulicę Mylną.

Nie wiem, czy ulica Mylna posiada złośliwą własność omylania, czy (jak pół-żartem twierdziła moja towarzyszka) złe duchy przeszkadzały nam w spełnieniu litościwego uczynku, dość, że z godzinę chodziłyśmy od ulicy Karmelickiej do ulicy Przejazd, nie mogąc i nie mogąc wynaleźć owój facyatki. Cośmy się na stały przed domami, napytały po sieniach, co się ludzie naoglądali za nami! Pani Marta,

która pomimo ciągłego stosunku z nieszczęśliwymi jest nadzwyczaj wesoła, śmiała się do rozpuku i mówiła mi, że w ciągłych dreptaniach po mieście, bardzo często ją ściga podobna przekora, —to—dodała, —wyraźnie djabelski figiel, bo tylko uważaj moja kochana, ile razy człowiek czego szuka, wszystko prędzej znajdzie, niż to czego szuka.

Że jednak w księgach świętych powiedziano: „Szukajcie a znajdziecie,” więc nie traciłyśmy fantazyi, — i oto z nagłą jakieś przeczucie tknęło nas obie razem; zatrzymujemy się przed nędznym dworkiem, który dotąd mijałyśmy z dziwną nieuwagą; tak, dziesięć razy przeszłyśmy pierwój koło niego, zawsze nam się zdawało że „to nie może być tu.” A to właśnie było tu. Nawet, wzięwszy szkiełko, doczytałyśmy ów 11-ty numer, mocno zatarty i szyldem przy-cieniony. Teraz już umiem doskonale opowiedzieć: parkan z bramą i furtką, na dziedzińcu studnia z zieloną gałką, w głębi dworek, z jakąś odrębną, nie dzisiejszą cechą, przed stulatory mógł być bardzo ładny, ale dziś niepokoi oko tą sypkością, co właściwa jest każdej ruderze; znać, że jeżeli się trzyma, to tylko dzięki różnym podpórkom jak staruszek o kiju. Jedyne okno piąterka tak jest misternie wprawione w rodzaj Oka Opatrzności, że wydaje się raczej nagłówkiem drzwi wejściowych, niż osobną facyatką.

W sieni spotkałyśmy krzątającą się kobietę, szczupłą, zwiędłą, ale z miłym wyrazem twarzy. Pokazało się, że to właścicielka dworku. Pytamy o pana Cezarego, czy tu mieszka?

— A mieszka, na górze. Człowiek nie ma serca go wypędzić, boć to temu biedactwu już nie długo na świecie, a przytém nie taki on straszny, jak mówią. Z początku nam się bali sąsiedzi, teraz już przywykli.

— Do czego przywykli?—zapytałyśmy z podziwieniem. Cóż w nim tak strasznego?

— A! więc panie jeszcze nie wiedzą!—To mówiąc, gospodyni uśmiechnęła się jakoś dwuznacznie i palec podniosła do czoła.—On tak jest... jakby to powiedzieć... chory na głowę, ale tylko trochę. Jeżeli panie chcecie go wspomóc, nie dawajcie mu dużo na raz, bo tam istne sito, co wrzucić to i przeleci. Różni państwo już tu bywali, sto razy go zaopatrzyli, no i cóż? Wszystko przemarnował.

Spojrzałyśmy po sobie, zaniepokojone tym nawałem nieprzyjemnych wiadomości. Pani Marta ciszej zapytała:

— Powiedz nam pani, tak szczerze: jeżeli ten człowiek ma pomieszanie, może nie jest bezpiecznie chodzić tam osobom, których nie zna jeszcze?

— A broń Boże! A toć to łagodne jak baranek. Waryat, ale nie szkodliwy. Zresztą, prawdę mówiąc, na taką waryację chorują

prawie wszyscy, tylko ci, co mają przytomność, nie śmieją tak bardzo do niej się przyznawać.

— Cóż to za rodzaj obłąkania?—zapytałam ciekawie.

— A no, chciałby mieć dużo pieniędzy, a wtedy obiecuje, że cudów dokáže. Albo to on jeden? Każdemu tak się wydaje. Każdy mówi: Oho! żebym ja był bogaty, zrobiłbym to i tamto! Tymczasem widzimy ludzi bardzo bogatych, i ci najmniej robią. Otoż ja paniom powiem, co według mnie musiało naszemu biedakowi napędzić téj choroby: i on podobno dawniej miał miliony, stracił wszystko, desperacya pomieszała mu zmysły, i nie dziwota, że teraz śni mu się o milionach. Tak to, kto za młodu nie przywykł do biedy, nie umie jój potem znosić. Ale zawsze jeszcze będzie mu lepiej niż drugim, bogaci o nim nie zapomną,—a o tych, co nigdy nic nie mieli, to i pamiętać kto nie ma.

Z tą gorzką sentencyą, gospodyni zamknęła drzwi od kuchni, na której progu toczyła z nami rozmowę.

Dochodząc do schodów, pani Marta rzecze:

— Cóż ci się zdaje z gadania naszej kuchennej filozofki? Co to będzie za rodzaj człowieka?

— Prawdę mówiąc,— odpowiem,—preliminarya nie zbyt zachęcające. Jednak w tym całym obrazie nie widzę jeszcze dowodów

obłąkania. Prawie wszyscy wielcy ludzie uchodzili u współczesnych...

— Oho!—przerwie moja towarzyszka,—to już zdanie z książek; wierz mi, więcej było i będzie waryatów, co chcą uchodzić za wielkich ludzi, niż wielkich ludzi, coby uchodzili za waryatów. Zresztą nie upieram się, zobaczymy. Co mię sto razy więcej zastraszyło, to owo porównanie do sita... jeżeli z niego utracyusz, kłaniam uniżenie, wszystko, co zrobimy, na nic się nie przyda. Ale nie przesądzajmy z góry; trzeba nam się tylko zachować bardzo, oj bardzo ostrożnie...

Tymczasem wstępowałyśmy na schody, które wcale nie są kręte ani drabiniaste, jakby kto mógł przypuścić; wprawdzie źle utrzymane i popaczone od starości, porządnie skrzypią pod nogami, ale bardzo wygodnie i prędko doprowadziły nas do szarych drzwiczek, po za którymi przedstawił nam się pokój, także zupełnie odmienny od obrazów, jakich się spodziewałam.

Sądziłam, że znajdę jedno z owych ciemnych, ukośnie ściętych poddaszy, gdzie trzeba się co chwila schylać, aby głowę uchronić od kańczastych belek, gdzie oko się błąka w kątach, do których światło nigdy nie dochodzi, a stopy grzęzną w jakiejś warstwie miękkiej, której dna nie można nigdy znaleźć.

Tymczasem zobaczyłam prawdziwy pokój,

widny, suchy, z podłogą i sufitem. Ściany nie tylko bielone, ale malowane; wprawdzie to malowanie musi liczyć przynajmniej z pół wieku, można przecież jeszcze rozeznaczyć niebieskawe cętki. W głębi, okno spore i całe. W rogu, piec z ziejącym kominkiem, obłamanym i straszliwie okopconym.

Przy wszystkich ścianach stały jakieś ogromne ramy czy dekoracje, starannie pozakrywane zbutwiałymi oponami, z których kilka było kirowej czarności.

Dziwna rzecz, mimo śladów dawniejszej wygody, mimo pełnego oświetlenia, te cztery kąty i piec piąty, wiejące nieopisanym pustkowiem, te nieodgadnione rusztowania, a nade wszystko czarne plamy na murach, przejęły mię takim wstrętem, że zawahałam się u progu.

Prawdziwa ruina ma swoją poezyę, — ale takie zniszczenie jeszcze niedokończzone, to jakby gangrena tocząca żywe ciało.

Podziemie lub poddasze, gdzie jakiś Job dogorywa, to okropność zupełna, to tragedia, przed którą dusza korzy się, uznając Nemezys lub Opatrzność.

Taki pokój to połowiczna okropność, mieszczyna prozy i patosu, melodramat, z którego widz wychodzi pełen goryczy i zwątpienia. Zdaje mi się, że w takich pokojach najczęściej spełniają się samobójstwa i najłatwiej rodzą się legendy o strachach.

Może do tego wstrętu przyłożyła się i atmosfera pokoju, cała przesycona dziwnymi gazami, jakby w laboratorium chemiczném lub aptece.

— Oho! — pomyślałam sobie, — jeżeli mój uczony bawi się w alchemię, to nic nie pozostaje, tylko kieszeń dobrze trzymać i co sił uciekać, bo wiadomo, że na robienie złota, trzeba złota i jeszcze złota, do nieskończoności. Ej, chyba nie... Któżby w naszym wieku śmiał jeszcze odgrzewać ten przestarzały koncept? A jednak...

To *jednak* błysło mi w myśli na widok szklanych naczyń poustawianych przed kominkiem; były to owe: „banie z wykręcaneimi szyjami,” w których, na wielki mój postrach, poznałam prawdziwą retortę i dwa alembiki.

Nie stało jednak czasu na dłuższą rozmysły. Zapomniałam o wszystkiém, spostrzegłszy mieszkańca pokoju.

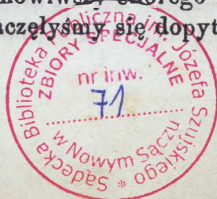
W głębi, pod oknem, stał fotel, a raczej szkielet fotelu, który musiał pochodzić z jakiejś pańskiej siedziby; na poręczach, niegdys połączanych, świeciły jeszcze prątki czerwone, a na wysłaniu wyblakły safian wisiał w strzępki, z po za których włos wylewał się kudłatemi pękami. Na fotelu siedział człowiek, a raczej cień człowieka, z twarzą jak wosk żółtawą, przejrzystą, obumarłą,—tylko oczy świeciły, sprawiając przerażające wrażenie, jakby kto

żywe źrenice obsadził w głowie lalki. Prząd czaszki, zupełnie obnażony, świecił nakształt słoniowej kości, tylko przy skroniach włosy siwiuteńkie spływały dwoma białemi kosmykami.

Ubrany był w tużurek niegdyś aksamitny, tabaczkowy, pod samą szyją zapięty. Od stóp do głów, ubiór jego wyglądał już także na cień odzieży, doprowadzonej do ostatecznych granic znoszenia i wycieńczenia. Zdawało się, że dosyć dmuchnąć, aby cała ta postać razem z pokojem i z domem w pył się rozsypała.

To też przystępowałyśmy do niego z obawą i jakby z ostrożnością. Przybity osłabieniem czy myślami, nie spostrzegł naszego wejścia; dopiero ujrzawszy nas przed sobą, ocknął się, uśmiechnął z uprzejmością człowieka światowego, i obie ręce wpił w poręczę dla podźwignienia się z fotelu. Pani Marta swoim grubym, poczciwym głosem, zabroniła mu téj grzeczności niewczesnej u chorego, — z ogromnej sakwy, którą wiecznie nosi pod salopą, wydobyla flaszeczkę starego wina, świeże bułki, funt bulionu, i różne inne praktyczne przysmaki, które się zwykle w takich razach przynosi.

Ustawiliśmy wszystko na kulawym stole, pełnym jakichś pudełek i gracików o nieopisanych kształtach, a namówiwszy chorego na kieliszeczek kordyału, zaczęliśmy się dopyty-



wać, powolutku, jak najdyplomatyczniej,—dla nieobrażenia jego miłości własnej, — o jego przeszłe koleje, o sposoby zaradzenia dzisiejszym niedostątkom, o rodzaj lekarstw, jakieby mogły mu posłużyć.

Pan Cezary odpowiadał z grzecznością i umiarkowaniem człowieka dobrze wychowanego, a przytém z jakąś rezygnacją łagodną i jakby innym światem już tchnącą, która nas głęboko wzruszyła. Na wszystko się uśmiechał, za wszystko dziękował potulnie jak dziecko, ale pytania o przeszłość zbywał milczeniem lub ogólnikami, a z naszych pocieszań i obietnic nie widziałam, aby choć jedno słowo sprawiło mu prawdziwą radość.

Dopiero kiedy się dowiedział, że przybyliśmy w skutek listu, twarz jego nieco się rozjaśniła.

— Wiecie więc panie, o co głównie, o co jedynie mi chodzi...

— Wiemy, wiemy,—prędko odparła pani Marta,—ale o tém potém, teraz nam tylko pan wyzdrowiej...

— Szanowne panie,—odezwał się mocniejszym głosem,—rozmówmy się szczerze: jeżeli przyszłyście, (jak już nie jedna litościwa osoba przychodziła), nie dla urzeczywistnienia mojej myśli, ale dla chwilowego wsparcia mojej nędzy, dla podtrzymania moich sił fizycznych, o! to lepiej opuśćcie mię od razu. Ja

nie jestem zwyczajny Łazarz. Szkoda waszych zachodów. Dopóki nie będę mógł wrócić do mego przedsięwzięcia, dopóty i nie odzyskam zdrowia, bo tylko ta niemożność mię zabija. Jeżeli nie możecie spełnić mego żądania, po co napróżno oddalać śmierć i tak dość powolną? Po co gwałtem przytrzymywać mię na tym świecie, który nie chce dobrodziejstw, jakie Bóg miał mu zesłać przezemnie? Czyż nie lepiej zaprzestać już téj bezużytecznej walki, i co prędzej podążyć na te inne światy, gdzie znajdę od razu rozwiązanie wszystkich zagadek, nad któremi tutaj bezsilnie się męczę?

— Fe, co też to asan gadasz!..—ofuknęła pani Marta, która w przystępach złego humoru z *pana* zwykle przechodzi na *asana*, — co też to asan wygadujesz! Dopóki Pan Bóg żyć każe, to trzeba żyć i basta.

Pan Cezary spojrział na nią z niewymowną rzewnością, i odpowiedział solennie:

— To też, jak pani widzi, żyję.

W tych kilku słowach była przepaść boleści. Te słowa zawierały w sobie tyle niedopowiedzianych komentarzy!

— Łatwo mówić tym, co nie przebyli takich jak ja kolei! O gdybyście wiedzieli, com ja przeżył! A jednak czekam, i proszę, i ufam, chociaż na mojem miejscu już stu innych byłoby sobie życie odebrało, albo się puściło na złe drogi...

To wszystko dosłyszałam w tych kilku słowach, i przejęło mię uszanowanie dla majestatu nieszczęścia. I pani Marta widocznie odczuła wyrzut zawarty w jego głosie, a zwłaszcza w spojrzeniu, bo nagle rzekła:

— No, może się pomyśli i o tém, o czém pan mówisz. Ale pierwójby trzeba wiedzieć przynajmniej, o co chodzi?

Wyzwanie było wyraźne. Chwilę poczekała na odpowiedź. Ja czekałam także z ciekawością. Ale zagadnięty nic nie odpowiedział, głowę skłonił na piersi i znów zapadł w dumanie, czy omdlenie. Na chorego trudno się obrażać, nie nastawaliśmy więc dalej, a chcąc wyjść z zakłopotania, zaczęliśmy się krzątać, niby porządkując pokój. Wśród téj gospodarki, skorzystałam z chwili, w której znalazłyśmy się na drugim końcu pokoju, ażeby szepnąć towarzyszcze:

— Cóż pani myśli? Nieszczęścia i ubóstwo doprowadziły go do rozpacz, ale na umyśle zdrów zupełnie? Wszak prawda?

Pani Marta spojrzała na mnie uspakajająco i odpowiedziała:

— Zdaje mi się, że najzupełniej.

Ośmielona jój poparciem, przystąpiłam znowu do okna.

— Dobrze byłoby, — odezwałam się głośno, — pomyśleć też o jakimś takim odnowieniu tego mieszkanka; nie mówię o żadnych zbytkach,

ale po prostu o schludności; wiadomo, jak czyste utrzymanie mieszkań silnie wpływa na zdrowie ludzkie, to jedna z największych zdobyczy dzisiejszej higieny, a tutaj... niedbalstwo doprawdy przechodzi pozwolenie. Pana, jako chorego, trudno o to obwinić, ale właściciele dworku mogliby też choć raz na lat dwadzieścia kazać te ściany odświeżyć, albo też piec naprawić.

— O nie!—zawołał, żywo podnosząc głowę i oglądając się do koła, jakby zaniepokojony, czyśmy czego nie poruszyły.—Niech Bóg broń, ja tu nic nie pozwalam tykać... Zresztą, można co jeszcze wymagać od ludzi, którzy i tak mi tu przez całe lata pozwalają mieszkać, chociaż od całych lat nie widzieli grosza komornego? Z początku płaciłem, o! i mocno! Byłbym ten pokój wybrukował złotem, byle w nim pozostać... tego pokoju nie zamieniłbym za pałac. Ach! owszem, to dobrzy ludzie,—przecież mogliby ten pokój odnając za gotówkę, a oni trzymają mię i trzymają, wzruszeni memi prośbami, bo dobrze wiedzą, że tylko tu jeszcze żyć mogę... tu mam wspomnienia, po których może nakoniec trafię do tajemnicy.. w tych ścianach może spoczywa klucz tego odkrycia...

Na te ostatnie wyrazy, mimowolnie podniosłam oczy, byłabym chciała wzrokiem poprzeszyc te cegły, sprawdzić, czy między niemi

nie tai się jaki skarb zamurowany, jaki rękopism drogocenny? A pod urokiem tego zaciekawienia cały pokój wydał mi się innym, rozświecił się tęczowemi promieniami obietnic, i zrozumiałam, że wszędzie człowiekowi dobrze, gdzie przywiązuje go jakaś nadzieja.

Zaczęłam pilniej się rozglądać. Najwięcej uwagę moją zwróciła księga leżąca tuż przy chorym na oknie; było to in folio bardzo grube, oprawne w skórę niegdyś czarną, dziś popękkaną i wygryzioną od zniszczenia; wielka liczba różnobarwnych, papierowych zakładek, brzegi kart wyzółkłe i poskręcane, świadczyły o długim jej użyciu. Patrząc na nią, myślałam sobie: Oho! Z téj księgi dowiedziałybyśmy się pewnie wszystkich sekretów, których posiadacz tak zazdrośnie strzeże... A wzrok mój musiał wyrażać wielką chciwość, bo chory nagle podniósł rękę, położył ją i przycisnął na księdze, jakby chciał bronić drogich kartek od napastowań ciekawości.

Widząc, że tą drogą nic nie otrzymam, zapytałam nagle:

— Czy pan czasem nie byłeś malarzem?

— Ja, malarzem! Dla czego?—odparł widocznie urażony.

— Bo tu przy ścianach widzę mnóstwo obrazów; myślałam, że to dzieła pańskie. Czy nie? Może to utwory jakich dawnych mistrzów? Trudno o nich sądzić, póki są odwrócone, ale

muszą być chyba nieoszacowanej wartości, kiedy pozbywając się wszystkiego, nawet rzeczy najpotrzebniejszych do życia, z temi jednak pan się nie mogłeś rozstać?

— To nie są obrazy,—odpowiedział,—a raczej owszem, dobrze pani mówisz, to są obrazy, ale nie ludzką ręką malowane...

Mówiąc, wychylił się z fotelu, sięgnął po jeden z najbliższych, pomniejszych obrazków, i obróciwszy go dobrą stroną ku światłu, pokazał nam nie duże, okrągłe zwierciadło.

— A!...—zawołałyśmy obie z podziwieniem. I wszystko to są zwierciadła?

— Wszystko.

— Na miłość boską, co panu po nich?

— To moja tajemnica.

Pani Marta, która w ogóle nie lubi czekać, zniecierpliwiona małomównością pana Cezarego, dawała mi zdaleka znaki zachęcające do szybszej inkwizycji. Zaczęłam więc mówić głosem coraz bardziej stanowczym:

— Każdą tajemnicę zwykło się szanować. Jednak, na ten raz, przyznaj pan, czyż nam się nie należy troszkę więcej zaufania? Gdyby jeszcze tylko o nas chodziło,—ale pan żądasz, abyśmy drugich namawiały? Cóż my tym drugim powiemy? Któż zechce łożyć na poszukiwania, póki nie wie, czego pan szukasz?

— Tak, tak;—poparła mię towarzyszka,—żebyś pan jeszcze chciał tylko zachęty, rady,

ładnych słówek, nawet artykułów gazeciarskich, no, to może na chybi trafi nie jedenby je sypnął. Ale kiedy sięgasz do worka, oho! dotykasz czulej struny ludzkiej. Kto płaci, chce doskonale wiedzieć, za co płaci.

— Łaskawe panie!—odrzekł chory, składając ręce ruchem wzruszającej błagalności, macie słuszość, zupełną słuszość. Ach, żebyście wiedziały, co mię wstrzymuje! To właśnie wasza dobroć, którą chciałbym niejako wypróbować, aby wiedzieć, do jakiego stopnia mogę liczyć na waszą wyrozumiałość? Jeżeli ociągam się i waham, to nie z braku zaufania, ale z obawy, aby za prędko was nie zrazić, tak jak zraziłem już wielu! Bo nie raz, i nie dwa, ale dziesięć razy próbowałem opowiedzieć historię mego życia. Cóż panie powiecie? Jeszcze nie znalazłem człowieka, coby ją wysłuchał do końca. Zwykle w połowie opowiadania, goście moi przypominali sobie nagle jakiś gwałtowny interes, i odkładali resztę do przyszłych odwiedzin, (które nigdy nie następowały), albo też mrozili mię taką lodowatością, kłóli takiem zoilowstwem, że sam nie chciałem dalej mówić. A! W książkach, to największe cudactwa połykają chciwie, byle drukowane, to już wierzą, a kiedy człowiek opowiada, co przebył osobiście, na co patrzył własnymi oczami, to kręcą głową, nigdy im nie dosyć dowodów. Pewien jestem, że gdyby moje dzieje ukazały

się w książce, upstrzone błyskotkami modnego stylu, pod różową okładką, niejednenby się do nich zapalił. Ale że to mówi biedak schorzały, trzęsącym się głosem, w izbie obdartej, wszyscy ruszają ramionami.

— No, już my nie będziemy ruszały, my wysłuchamy cierpliwiej, nawet z prawdziwem współczuciem.

Tak odpowiedziałam, i mówiłam szczerze. Głębokie przekonanie tego człowieka, udzielało się mimowolnie, uprzejmość jego i zupełna przytomność, rozpędzały wszelkie przypuszczenia jakiegś choroby umysłowej. Na prawdę zaciekawiona, upatrzyłam rodzaj ławy czy szlabana, zasłanego słomą i mnóstwem ślusarskich a może złotniczych narzędzi; zgarnąwszy to wszystko na jeden koniec, siadłam i przyzwałam panią Martę. Ale ona była zajęta zwierciadłami, zaglądała pod wszystkie szmaty i kiry, wołając:

— Fiu, fiu! Co tu pyszności! Żadne nie stłuczone, a co za ramy! O, te naprzykład, zwierciadlane! Mój panie,—dodała siadając na ławce,—nie pojmuję doprawdy takiej wytrzymałości. Jakto? pan z głodu przymierasz, a masz pod ręką przedmioty, za których cenę przynajmniej rok wyżyć można? Ja na miejscu pańskim, byłabym je dawno sprzedała, a za lepszych da Bóg czasów, nowe sobie kupiła. (Gdybym się notabene tak przepaścicie

w nich kochała). Przecież zwierciadeł nigdy nie zabraknie?

Pan Cezary gorzko się uśmiechnął.

— Z przeproszeniem pani,—odrzekł,—słowa te przypominają mi scenę, jakiej raz byłem świadkiem na popasie, w podróży po kraju; czekałem aż konie przyjdą z łąki; tymczasem do karczmy weszli ludzie wracający z pogrzebu; gospodarz pochował żonę, i—co rzadko można widzieć między ludem,—zdawał się nieutulony w żalu. Przyjaciele namawiali go do kieliszka, pocieszali żartami, wszystko na próżno,—aż jeden odezwał się niecierpliwie:— „E kumie, nie żałujta znów tak bardzo kobiety; jak tylko zechcecie, będzie druga, i jeszcze ładniejsza, przecież o żonę nie trudno.” A wdowiec odpowiedział: „Tak, będzie druga, ale już nie *tamtą!*” A on właśnie *tamtę* kochał. Ach, czyż to jedna drugą tak łatwo zastąpi? Przecież każda ma swoją duszę, swoją osobistość?

— No,—zawołała śmiejąc się pani Marta,— jeżeli pan zwierciadło obrałeś sobie za żonę, jeżeli według pana zwierciadło ma duszę...

— Nie, pani, tego nie twierdzę, zwierciadło nie ma duszy ani osobistości,—żona...

Tu wzdrygnął się i rękę przesunął po oczach.

— Nieszczęśliwa ofiara... ach, jeszcze o tém nie mówmy... Nie, pani, użyłem tylko porówna-

nia, ale sam teraz widzę, że nie było szczęśliwe. Poszukajmy właściwszego: przypuszczam na przykład, że pani posiadasz manuskrypt rodzinny, tak zwane *silva rerum*, gdzie dziady i pradziady spisywały wszystkie koleje domu, albo dajmy na to, sama pani przez lat wiele pisałaś *Pamiętnik*, gdzie możesz odnaleźć myśli, rozmowy i obrazy całego twego życia;—gdyby kto przyszedł i radził: „Sprzedaj pani rękopism, za tę cenę dostaniesz kilka innych, przecież i to i to papier zapisany.” Zawołałabyś z oburzeniem: „A co mnie po innych? Nie chodzi mi o papier, ale o treść.” Tak i mnie tu nie chodzi o tafłę szklaną, ale o treść w niej zawartą. Każde zwierciadło także jest rodzajem księgi, i to olbrzymiej, liczącej krocie, tysiące, miliony kart malowanych, do których ciągle nowe przybywają,—cała sztuka umieć otworzyć tę księgę.

Wstrzymał się przez chwilę, poczem dokończył mocnym już i pewnym głosem:

— Każdy wie, że zwierciadło odbija wszystko co się przed niem dzieje, ale czego nikt nie wie, (oprócz wtajemniczonych), to, że *zatrzymuje* w sobie te wszystkie obrazy, jakby miljarady odbić fotograficznych. Nie możemy wszystkich widzieć od razu, bo każdy nowy wizerunek zasłania dawniejsze, tak jak na obrazie olejnym, ostatnia farba zakrywa pierwsze; ale zmywszy farbę wierzchnią, dostrzega się tamte.

Otóż, wywołać ze zwierciadła napowrót wszystkie te obrazy, odczepiać je kolejno od tła na jakim przyległy, oto odkrycie, za którym gonię, odkrycie doskonale znane kilku dawnym mistrzom, wiele razy zdobywane i tracone, a które dzisiaj znów może zaginąć na długo, jeżeli nie potrafię skorzystać ze wskazówek, jakie mi przypadek w ręce podał.

Zamilkł. Pani Marta zwróciła ku mnie wzrok niepewny i badający, jakby odwoływała się do mego sądu, bo dla niej podobne zadania były prawdziwą *terra incognita*. Ja także, niestety, za mało jestem biegła w naukach przyrodzonych, ażebym się ośmieliła najmniejszą w nich wątpliwość rozstrzygać. Zdawało mi się jednak, że pomysł rzezonny nie ma w sobie nic takiego, coby się wyraźnie sprzeciwiało prawom rozsądnej możebności. Kto wie? Ileż innych wynalazków, musiało daleko nieprawdopodobniej wyglądać, dopóki je odkrywca ciemnymi słowami zapowiadał?

— I pan to widziałeś?—zapytałam.

— Widziałem, słowo honoru.

Kiedy mężczyzna, jakiegokolwiek twierdzenie pieczętuje słowem honoru, uniemożliwia dalszy ciąg rozprawy; od téj chwili najmniejsza wątpliwość staje się ułóżeniem.

To też już nie do niego, ale do niej zwróciłam się, odpowiadając niejako na ciągle, nieme pytanie jój oczu:

— Tak, pani, żyjemy w wieku, gdy dzieje się tyle rzeczy cudownych, że człowiek o niczym już nie śmie wątpić. Coby ludzie przed wiekami byli powiedzieli, gdyby im jaki prorok wróżył cuda dzisiaj spowszedniałe, armaty, koleje żelazne, statki parowe, telegrafy!..

— A byli tacy prorocy!— zawołał pan Cezary.—Taki naprzykład Rogier Bakon z trzy-nastego wieku, trzeba uważać, że nie mówię o drugim Bakonie, z Werulamou, co żył w wieku szesnastym, ale o pierwszym, Rogierze, mnichu franciszkańskim, który urodził się, cośtak... jeśli dobrze pamiętam... w tysiąc dwieście czternastym... Pozwólcie panie, abym wam przeczytał króciuchny urywek z jego genialnych, proroczych utworów; to będzie najlepsze potwierdzenie słów pani.

Tu zdjął z okna księgę i rozłożył ją na kolanach, opierając o poręczę fotelu, bo ogromna była i ciężka.

Spojrzałam na kartki.

— Co to jest?—rzekłam,—rękopism? A jaki nabity! Ja sądziłam, że pan masz drukowaną edycję Bakona?

— Nie, pani, to nie sam Bakon. To wszystko przezemnie tłómaczone i moją ręką wypisywane z tysiącznych autorów, a jest też tu niemało i moich własnych wspomnień. To moje *Silva rerum*. Od lat wielu miałem zwyczaj robić wyciągi ze wszystkich dzieł, gdzie znalaz-

łem jakikolwiek szczegół stosujący się do mego pomysłu. Tu spisałem także przygody mego życia, opowiedziałem wszystkie sceny widziane w zwierciadłach, wszystkie legendy i tradycje ściągające się do nich. I szczerze sobie teraz winszuję téj pracy, bo kiedy party przez biedę, musiałem kolejno powyżbywać się wszystkich ksiązek, dziś ta księga stanowi całą moją bibliotekę, i nie bardzo tamtych żałuję, tu jest wyskok wszystkiego. Zacząłem tę robotę po amatorsku, trochę dla zabawki, trochę z lenistwa, bo mi się nie chciało zaglądać co chwila do dziesięciu różnych pisarzy; dziś ona jest skarbem. Żadna praca nigdy nie stracona, ani człowiek się spodziewa kiedy i gdzie ją odnajdzie.

— Ciekawa książka, nie ma co mówić,— przerwała pani Marta. Proszę pana, przychodzi mi na myśl, czyby jaki księgarz jój nie kupił? Przecież to jednak ma wartość.

— Myślałem i ja o tém, jednak boję się, czy takiem przedwczesném wystąpieniem nie popsułbym raczej sprawy? Ta księga ma wartość olbrzymią, nieobliczoną, ale dotąd ma ją tylko dla mnie. Gdybym kiedy moje odkrycie doprowadził do urzeczywistnienia, o! wtedy dopiero ta księga zostałaby ocenioną należycie. Dzisiaj, świat gotówby ją wziąć za czysty wybryk wyobraźni, ogłosić mię za wizyonera, i po wszystkiém.

— Ale otoż są owe ustępy z Bakona. Jest naprzykład recepta na robienie prochu, (uważcie panie, że to na półtora wieku przed Schwartzem), wprawdzie podana w kształcie sfinksowej zagadki, ale dziś łatwo ją rozwiązać, a co więcej, przy końcu, autor umieszcza te słowa już zupełnie jasne:

„Jeżeli można kawałkiem takiej mieszaniny, „nie większym od palca, wywołać wiatła i huki „wyrównywające piorunom, cóżby to było dopiero, gdyby jej użyto w ilości i jakości „właściwej?”

Teraz inny ustęp, jeszcze nierównie ciekawszy. W pyszném dziele: *De secretis operibus artis et naturae et nullitate magiae*, w pierwszym rozdziale mówi:

„Teraz chciałbym zwrócić waszą uwagę na „kilka zjawisk przyrodzenia i sztuki, z których „się przekonacie, ile one przewyższają wszelkie „wymysły magii. Do żeglowania, można budo- „wać maszyny takie, że największe okręty, „kierowane ręką jednego człowieka, będą „przeływały rzeki i morza z większą nie- „równie szybkością, niż gdyby je tłum wiosła- „rzy popychał.—Można jeszcze, (uważajcie panie), „można jeszcze robić wozy, które bez „żadnego zaprzęgu, będą pędziły z szybkością „nieobrachowaną.—Można stworzyć przyrząd, „za pomocą którego człowiek w postawie sie- „dzącej, pewną dźwignią poruszając pewne

„sztuczne skrzydła, podróżowałyby w powietrzu
 „nakształt ptaka... Są też przyrządy, z które-
 „mi wędruje się bez niebezpieczeństwa po dnie
 „oceanu. Wszystkie te rzeczy bywały już zna-
 „ne, albo u starożytnych, albo za dni naszych,
 „wyjąwszy mechanizm do latania, który został
 „dopiero teraz odkryty przez pewnego mędrca
 „dobrze mi znanego. Można jeszcze wynaleźć
 „wiele innych rzeczy, jak naprzykład mosty,
 „co się przerzucają przez najszersze rzeki, bez
 „żadnych pośrednich filarów ani podpór...”

— Aha!—zawołała pani Marta,—nasz nowy
 most kraciasty przy zjeździe do Wisły, coś już
 na to zakrawa.

Czytający skinął głową i ciągnął dalej:

— „Ale z pomiędzy tych wszystkich cudo-
 „wności, co najbardziej zasługuje na uwagę, to
 „rozmaite gry światła. Możemy szkła przezro-
 „czyste i zwierciadła, poustawiać w taki spo-
 „sób...”

Na tych słowach pan Cezary się zatrzymał.

— Tu,—dodał,—Bakon wyraźnie przepo-
 wiada mikroskop i teleskop, i różne jeszcze
 inne dziwy optyczne, których teraz wolę nie
 tykać...

To rzekłszy zamilkł, i zamknął księgę.

— Jakto?—zawołałam szczerze zdumiona.—
 I to było pisane w trzynastym wieku?

— Ale proszę pana,—pytała pani Marta,—
 jeżeli ten ksiądz znał już te wszystkie wyn-

lazki, czemuż ich ludziom nie wytłómaczył wyraźnie? czemuż zaraz ich nie przystosował?

— A? Czemu? Czy to tak łatwo? Najprzód, w owych wiekach, byliby go ludzie spalili na stosie jako czarownika. I tak całe lata przesiedział w więzieniu. Dziś już uczonych świat nie pali ani więzi, ale ich bierze na powolne tortury opuszczenia, ironii, odmawia im środków, a bez środków, żadna idea nie może się urzeczywistnić. I co okropne, to, że owe środki muszą być ogromne, muszą się powtarzać wielokrotnie, bo każde odkrycie przechodzi tysiąc prób nieudanych, nim się raz nakoniec uda. Te pierwsze niepowodzenia zniechęcają tłumy, ba! i nietylko tłumy. Napoleon nie chciał słuchać Fultona. Tak, i Fulton pisał, prosił, czekał...

Na tych słowach pan Cezary położył nacisk, i spojrział ku mnie znacząco.

— A wszechwładny konsul, co? Wahał się, radził różnych mierności, kazał robić próby, po których ostatecznie odrzucono pomysł jako niewykonalny. I Napoleon nic nie przeczuł! O zaślepiony, wielką szkodę wyrządził Fultonowi, ale jeszcze stokroć większą sobie! Ani się domyślał, że w chwili, w której odsuwa tę skromną prośbę, podpisuje wyrok swojej straty. Bo tylko uważ pani: gdyby Napoleon umiał skorzystać dla swego kraju z nieobrachowanej potęgi pary, której żaden inny kraj

nie znał jeszcze, nicby mu się nie oparło. Byłby globem zawładnął. Sam Bóg w téj zagadce podawał mu berło świata, a on nie rozumiał Boga.

— Proszę pana, gdybym rozporządzała Napoleońską władzą, nie czekałbyś pan długo na pomoc. Przy moich wielce ograniczonych środkach, to tylko mogę solennie obiecać, że będę myśl pańską rozszerzała, i w tym celu mam ochotę poprosić, abys mi pan pozwolił wypisać owe ustępy z Bakona; będzie to wyborna broń przeciw niedowiarkom.

Wyrażając to życzenie, miałam i drugi, ukryty cel na myśli; chciałam gwałtem zajrzeć do owéj księgi, której widok rozbudził we mnie różne literackie ciekawości; chciałam także przyjrzeć się zblizka pismu pana Cezarego, kierowana powszechném wyobrażeniem, że można z pisma sądzić o duszy, a przynajmniej o stanie umysłowym piszącego. W każdym razie winszuję sobie pomysłu, dzięki któremu dzisiaj mogłam się przed wami pochwalić cytata, co będzie największą, jeżeli nie jedyną ozdobą tego pisemka.

Zazdrosny posiadacz księgi, nie zdawał się bardzo rad memu żądaniu, jednakże nie śmiał odmówić, i podał mi ją, cedząc przez zęby:

— Służę pani.

Wydobyłam pugilaresik z ołówkiem, i położywszy księgę na kulawym stole, zabrałam się

do roboty, powolutku, studyując wszelki szczegół; pismo było śmiałe, ale spokojne i okrągłe, niezdradzające żadnych zбочeń nerwowych. Dwa urywki z Bakona, stały w dwóch osobnych działach, co mi pozwoliło przerzucić kilkanaście kartek, i uchwycić kilka tytułów niezaprzeczenie zaciekawiających, jak naprzykład:

Historya dogaressy widziana w weneckim zwierciadle.

Prawdziwy portret Barbary Radziwiłłówny, oraz osobliwsza scena między Boną a kabalarką (vulgo czarownicą), wszystko podług zwierciadła znajdującego się niegdyś w Wiśniczu, dawniej własności Kmitów.

Niektóre nieznanne szczegóły Kongresu Wiedeńskiego, znalezione w zwierciadle.

Sposób w jaki panna Rachel dochodziła do swoich poz klassycznych, podchwycony w zwierciadle, przed którym się rol uczyła.

I t. d. I t. d.

Przypuściwszy raz możebność wynalazku, wszystkie te opowiadania mogły być wiarogodne. O! cóżbym nie była dała, aby je wypisać! A tu nawet czytać nie wypadało. Czułam wzrok pana Cezarego ciężący na mnie jak chmura. Wstrzymałam oczy, ale postanowiłam tak dobrze zasłużyć się argusowi, ażeby kiedyś otworzył mi te skarbnice, w każdym razie powabne, jeżeli nie dla dziejopisa, to dla poety i powieściopisarza.

Podczas przepisywania, straciłam nić rozmowy; kończąc, słyszę panią Martę żywo dowodzącą:

— Jest racya, nie ma co mówić; może też to dla tego zwierciadła bardzo stare bywają takie mętne, i jak zwykle mówimy: *falszynie pokazują*; nie dziwota: obraz pakuje się na obraz, robi się nakoniec jakaś bohomaza, w której nic już rozeznac nie podobna. Gdybyś pan umiał zdejmować te niepotrzebne warstwy, byłby to wyborny sposób odnawiania starych zwierciadeł, i przynajmniej wynalazek pański na cośby się przydał.

Pan Cezary brwi ściągnął; dostrzegłam jak uśmiech wzgardliwy już rysował się na jego ustach. Ale pewno wspomniał, że niebezpiecznie jest obrażać mozną protektorkę, i widoczny sobie gwałt zadając, odpowiedział:

— Nie pomyślałem jeszcze o podobnym przystosowaniu. Z czasem, nie omieszkam korzystać z łaskawych rad pani.

Skończyłam wypisy. Nie było już sposobu na dłuższe zatrzymanie księgi. Oddałam ją, mówiąc:

— Dziękuję, ale jeszcze jedno pytanie: chciałabym też wiedzieć co pana mogło naprowadzić na podobne poszukiwania? Wspominałeś pan, że przypadek podał pierwsze wskazówki?

— Moja pani, zwykliśmy nazywać przypadkiem, wszelki szereg zdarzeń, których łącz-

ności dobrze nie pochwytyjemy. I mnie, dziwne moje życie, przez długi czas wydawało się pędzone ślepą siłą; dziś jednakże, kiedy zacynam nań spoglądać z wysokości mogiły, która już przedemną narasta, gotów jestem uznać w niēm bieg Opatrznościowy...

— Otóż takie słowo lepij mi się podoba,— wtrąciła pani Marta.

— Czekajcie panie... powiadam: gotów jestem uznać, *jeżeli* ujrzę spełnienie mojej myśli. O! wtedy, i zwichnięcie mego osobistego szczęścia, i długie lata przemęczone w niedoli, wszystko wyda mi się niczēm w obec przekonania, że byłem narzędziem wyższej ręki,—ale jeżeli przyjdzie umrzeć przed spełnieniem życzeń, tyle burz przetrzymać, a w porcie zatonać, o! wtedy... zaprawdę nie wiem jak potrafię sobie wytłómaczyć zagadkę mego życia? Po co ta nieszczęśliwa nauka przyszła kusić mię jak istny szatan, obsypała mię z początku bogactwem i pomysłnością? Bo że mię obsypała, tego nie zaprzeczam, ale to były tylko sidła, aby mię wciągnąć w pogoń za niedoścignionēm, za którēm biegnąc, rzuciłem po drodze wszystko co jest rzeczywiste i drogie, uczucia, dostatki, spokój. Jam téj nauki nie szukał. W młodości ani mi się śniło o żadnych odkryciach, urodziłem się z odmiennemi zupełnie skłonnościami, chciałem żyć jak inni ludzie, kochając, bawiąc się, gospodarując, a jeżeli jaki ro-

dzaj wiedzy mię nęcił, to raczej rodzaj czysto myślowy, teorye filozoficzne, gdzie dusza buja swobodnie po wolnych światach przypuszczeń, i wszystkie sprzeczności związuje sobie złotym węzłem syntezy. Do analizy owszem, do nauk przyrodniczych zwłaszcza, które ślepo się trzymają ciasnych dróg doświadczenia, czułem wstręt i nieledwie wzgardę; z uśmiechem pysznej litości, słuchałem o badaczach, co lata całe trawią na studyowaniu jednej gwiazdy albo jednego wymoczka, i pytałem z nieudanym podziwieniem, jak ludzie poważni mogą roznamiętniać się do takiej mrówczej pracy, kiedy stoją przed niemi kwestye globalne i wszechświatowe, od których bezpośrednio zależy los ich społeczeństwa i tajemnicza przyszłość ich własnego ducha? A! wtedy nie rozumiałem, że każdy atom jest światem, i że tylko praktycznym studyowaniem form dochodzi się do poznania ducha, który sam przez siebie jest nigdzie niepochwytny. Nie próżno Hermes powiedział: „Co jest w dole to jest w górze, a co jest w górze, to jest w dole.” Słowo to wygląda na paradoks, jednakże doskonale określa myśl, że w oczach bezstronnych nic nie jest niższym ani wyższym; czy cedr czy hyzop, czy muszelka czy słońce, czy chłop czy Cezar, każda rzecz na swoim miejscu i w swoim czasie potrzebna. W zegarze świata nie ma kółka zbytniego, wszystkie ko-

nieczne, czy małe czy wielkie, często nawet małe bywa najużyteczniejsze. „Co jest w górze, to jest w dole...” a wszystko równie ważne w oczach Boskich i tych, co sądzą po bożemu. To też niczém nie wolno pogardzać... Karząca logika przeznaczenia sprawia, że człowiek zwykle w to wpada, czego się najmocniej odrzekał. Ja także... Jeszcze w kolebce straciłem rodziców; nawet ich nie pamiętam; pozostałem sierotą bez opieki i najmniejszego majątku, wszystko się rozprysło w odwiecznym procesie, który nasze dawne znaczenie z wolna pochylił do upadku. Byłem ostatnim z mego rodu; po ojcu nie pozostał nikt, coby mógł wziąć mię w opiekę; ale z linii macierzystej, znalazł się daleki krewny, który zajął się mną jak synem.

Tu pani Marta poprawiła się na ławce, i zaczęła uważniej słuchać, bo dotąd siedziała jak na niemieckim kazaniu. Ja, przyznam się, gdyby nie jej niecierpliwość, która mię korciła, byłabym do nocy słuchała filozofii chorego, dziwnej nieraz, ale będącej prostym wynikiem jego położenia; od lat całych zamknięty sam na sam z tajemną ideą, nędzą oddzielony od świata żyjących, zapomniał jak się trzeba w tym świecie obracać, rozmawiał z nami jakby ze swemi myślami, nie zważając, że nie wszyscy czytali *Hermesa et Compagnie*.

Ale teraz natrafiwszy na potoczne przedmioty, wrócił i do stylu zrozumialszego:

— Ów krewny, kawaler bardzo bogaty, bardzo rozumny i poczciwy, miał kilku synowców swego nazwiska, daleko bliższych mu odemnie, ale sercem nierównie dalszych, o! najzupełniej oddalonych. Przez fatalny wpływ okoliczności czy ludzkiej złości, od swojej rodziny doznał samych zawodów i fałszu; owi synowcowie zwłaszcza, którzy nie myśleli o niczym, tylko jakby starego obedrzyć i na dożywocie skazać, stali się plagą jego dni samotnych. Po wielu szlachetnych a zawsze bezskutecznych usiłowaniach, odsunął ich zupełnie od siebie, i mną się wyłącznie zajął, nie wiem czy dla dania nauki niedobrym krewniakom, czy z rozczulenia nad moją sieroctwem. Uczucie to z latami rozwinęło się w prawdziwe ojcowstwo. Ja od dzieciństwa pokochałem go z całej duszy, z początku ślepo, nie pojmując nawet ile mu winienem, potem coraz świadomiej, więc i coraz mocniej. Czułem, że nigdy nie potrafię mu się odplacić za samo dobrodziejstwo starannego wychowania; przytém opiekun nieraz mówił, że uczyni mię swoim ogólnym spadkobiercą, a choć nie lubiłem dotykać przedmiotu połączonego z żalobnymi myślami, jednak ten spokój o przyszłość, rzucał na moje młode lata wielką pogodę i odwagę. Można sobie wyobrazić, jakie przesładowania zacny starzec cierpiał za opiekę nademną; cała jego familia nosiła się z żalami, przedstawiała mnie jako in-

tryganta, nie pomnąc, że od lat wielu, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie, już niepolitycznym dokuczaniem zraziła sobie wujaszka-milionera. Moi kuzynkowie, byliby mię w łyżce wody utopili; ja, silny moją niewinnością i łaską opiekuna, żartowałem sobie z ich bezowocnych spisków.—Po skończeniu szkół, mój nieoceniony dobroczyńca wysłał mię za granicę; zbadawszy kierunek mojego umysłu, wskazał mi do przebycia, najpierw kurs filozofii, następnie naukę agronomii; posiadał wielkie dobra na granicach Pomorza, i pragnął, abym kiedyś umiał niemi zarządzać.

— Więc — zapytałam, -- to wszystko nie w Warszawie się działo?

— Nie pani, jesteśmy z Wielkopolski.—Po-
był w stolicach niemieckich bardzo mi się podobał. Studya filozoficzne szły jak z płatka; tam czułem się w moim żywiole; dusza mi się rozszerzała i rozwidniała. Z agronomią szło ciężiej; szczególnieć część chemiczna, ściśle z nią związana, nie mogła mię szczerze zająć. Chcąc jednak zadość uczynić życzeniom dobroczyńcy, pracowałem sumiennie. Obok pracy dużo też było i zabawy; młodość ma tyle sił, że wszystkiemu razem umie podoleć. Naużywałem się swobody burszowskiej, nakosztowałem różnych rozrywek i upojeń, a mogłem ich sobie nie żałować, bo suta pensya dochodziła mię wiernie. Muszę sobie jednak przyznać, że nigdy szal

młodzieńczy nie porwał mię poza ostateczne granice, nigdy nie wydałem grosza nad wyznaczony mi dochód, i rozsądek ten szybko przynosił nagrodę: z każdym rokiem pensya bywała powiększana, a co jeszcze miłsze, listy od tego, którego nazywałem ojcem, przychodziły coraz łaskawsze i pełniejsze zadowolenia. — W jednym z nich mój opiekun pisał: „Byłem w tych „czasach trochę niezdrów, i pod naciskiem „ważnych myśli sporządziłem testament, z którego świat się dowiędzie, kto był godzien mego „przywiązania a kto nie. Tobie zostawiam „wszystko, tamtym tylko po odrobince, na od- „czepne, ażeby cię nie zagryźli. Testament „schowałem do biórka, pokażę ci, jak wrócisz. „Miło mi, że na koniec zabrałem się na tę czyn- „ność, która jest świętym obowiązkiem, a którą „ludzie zwykli z dnia na dzień odkładać, zu- „pełnie jakby mieli być wieczni. O moje zdro- „wie bądź spokojny, chwilowe cierpienie minę- „ło i teraz czuję się lepiej niżeli kiedykolwiek.“ — Ach, pamiętam każdą sylłabę, każdą kropkę tego listu, kiedyś tak obfitego w następstwa!

Pobył mój za granicą miał już trwać tylko pół roku. Cios niespodziany skrócił jeszcze termin. W parę tygodni po owym liście, odbieram wiadomość, że mój opiekun umarł śmiercią nagłą, na aneurizm. Wszystko rzucam, pędzę,—zdażyłem jeszcze na pogrzeb. Już familia była się zleciała jak stado kruków, ale

władze miejscowe pomyślały o zabezpieczeniu domu, zastałem pokoje zapieczętowane. — W pierwszej chwili boleść kazała o wszystkim zapomnieć; boleść głęboka, prawdziwie synowska; to rozstanie bez pożegnania zakrwawiało mi serce. — Po smutnych obrzędach otworzono mieszkanie. Tak wielki spadek budził powszechne zajęcie, nawet pomiędzy obcymi; wszyscy byli nadzwyczaj ciekawi ostatniej woli nieboszczyka, chociaż każdy, co znał przeszłe zdarzenia, już prawie nie miał wątpliwości, i wszystkie oczy zwracały się na mnie.

Ja z owym listem w kieszeni szedłem zupełnie spokojny wśród kuzynków drżących i powarzonych; nie mogłem wstrzymać litosnego uśmiechu na widok gorączki, co ich ogarnęła, gdy przyłożono klucz do biórka. Przeszukano wszystkie szuflady i skrytki, a było ich dużo w staroświeckim kantorku, co to jest? Niema testamentu.

Zdziwiłem się; pomyślałem sobie: Musiał go przełożyć w inne miejsce. — Przetrząsnięto wszystkie szafy, półki, komody; papierów było mnóstwo, ale testamentu ani śladu; nigdzie nawet ani świstka z wyrażeniem jakichkolwiek postanowień lub życzeń. Oczy krewnych zaczęły błyszczeć. Wtedy oświadczyłem głośno, jako wiem z pewnością, że testament został sporządzony, pokazałem na dowód list. Krewni pospuszczali głowy. Zaczęto szukać po

raz drugi, trzeci i dziesiąty. Urzędnicy ciągnęli śledztwo ze służby, opukiwali mury, nadprówali meble, nigdzie nic. Po całych nietylko godzinach, ale i dniach takiej pracy, uznano, że testament albo nigdy nie istniał, albo został zniszczony przez nieboszczyka, który nie zdążył napisać nowego.

Mnie inne przypuszczenia przechodziły przez głowę; pomimo przedsiębranych ostrożności, kto wie, czy w pierwszych godzinach nieszczęścia nie znalazła się ręka bliska albo przekupiona, która ów papier zręcznie uprzątnęła? Byłem prawie pewien, że tak się stać musiało, ale jakże poznać winowajcę, jakże mu zwłaszcza dowieść winy? Zaczął niezawodnie od spalenia dokumentu, i tak z garstką popiołu wionęła moja przyszłość.

Porażony, musiałem ustąpić przed rzeczywistością, i nagle zmieniała się scena..... W braku testamentu, rodzeni synowcowie stawali się spadkobiercami,—ja, który byłem krewnym nieboszczyka bardzo dalekim, jak to mówią „po dziesiątym kieleu,” nie miałem odtąd żadnych, ale to żadnych praw. Z pierwszej roli schodziłem na ostatnią. Tryumf moich kuzynów był zupełny, zawrotny, przechodził ich marzenia. To też użyli go w całej rozciągłości, okrutnie, po grubiańsku. Wymówili mi długoletnią moją czułość dla starca jako pochlebstwo i rachubę, ale—wołali—na nic się nie zdała, tak zawsze

kończą intryganci, stary poznał się nakoniec na żmii, którą przytulał do serca, choć późno, jednak wymierzył sprawiedliwość, ruszyło go sumienie,—i tym podobne obelgi, które spadały na mnie jakby grad kamieni. Osobiste krzywdy byłbym zniósł milcząco,—krzywdzenie pamięci opiekuna wyprowadziło mię ze wszelkich granic, spiorunowałem ich słowami oburzenia i wzdargy, i wyszedłem z podniesioną głową.

Ale co się stało, tego żadna duma i filozofia odrobić nie mogła. Spadkobiercy żartowali sobie z moich oburzeń, a co trzymali, to trzymali. Mnie z początku bolało tylko moralne poniżenie; po kilku dniach jednak inne troski także zaczęły zaglądać, rzeczywistość stanęła przedemną w swojej wstrętnej nagości. Z resztek pensyi umieściłem się w najtańszej izdebce najtańszego hotelu, i chciałem zostać rządcą dóbr jakich, lub nawet pisarzem przy wójcie, ale miejsce choćby najskromniejsze trudno dostać na poczekaniu, a tymczasem żyć trzeba. Wprawdzie ludzie zajęli się mną gorliwiej, niż sądziłem. Przewrót w moim losie był tak dramatyczny, wzięcie się moich kuzynów takie nieszlachetne, że widok mego położenia wzruszał nawet obcych. Ach, i to współczucie było mi bolesne, bo słyszałem nieraz mówiących: „Czy to się godzi wychować chłopca na panicza, a potem go zostawić bez grosza? Mógł nie zapisać mu wszystkiego, ale przynajmniej częśćkę;

to w każdym razie wielka niesprawiedliwość.”
Broniłem opiekuna, jak mogłem, cóż kiedy fak-
ta zaprzeczały?

Z kilku stron ofiarowano mi posady; były
nadzwyczaj niskie, nieprzystające do mego wy-
chowania ani moich zwyczajów, przecież jedną
przyjąłem, byle wziąć się do pracy, byle uciec
z tych miejsc, gdzie moi nieprzyjaciele naigra-
wali się zwycięzko.

Miałem za dwa dni wsiąść na brykę i jechać,
tymczasem odważyłem się raz jeszcze odwie-
dzić mieszkanie dobroczyńcy, te pokoje, gdzie
wzrosłem, gdzie przed wyjazdem za granicę
odebrałem jego błogosławieństwo, ach! któż
mógł przewidzieć że ostatnie? Szedłem nie bez
powodu: synowcowie rozdzieliwszy pomiędzy sie-
bie dobra, gotówkę i kosztowniejsze przedmio-
ty, resztę mebli puszczali na licytację; ta resz-
ta, były to właśnie dla mnie najdroższe pamią-
tki, sprzęty z sypialnego pokoju; dla synowców
żadnej nie miały wartości, jako nie modne i zni-
szczone, bo starzec w innych pokojach utrzy-
mując przepych, w swoim gabinecie nic nie lu-
bił zmieniać. Nie miałem już pieniędzy na o-
calenie chociażby jednej z tych pamiątek, ale
pragnąłem przynajmniej się dowiedzieć, kto je
ponabywa, aby za pierwszy zarobiony fundusz
je wykupić.

Pewien, że spadkobiercy, tylko co wyrosli na
wielkich panów, nie raczą być obecnymi przy li-

cytacyi, szedłem śmiało. Pokoje zastałem puściuteńkie. Biedne mebelki wyniesiono już na dziedziniec, który był pełen handlujących. W kącie o mur się oparłszy, wszystko żegnałem smutnymi oczami, zieloną sofę, gdzie niegdyś włożyłem się na czworakach, łóżko o lwich nogach, przy którym tyle razy mówiłem wesołe dzień dobry, biórko z pozieleniałymi bronzami, zwierciadło wiszące nad kominkiem, do którego w dzieciennych latach nie mogłem dosięgnąć, na wielkie moje utrapienie, tak, że nieraz opiekun brał mię na ręce i podnosił, a ja ciesząc się do mego wizerunku, wyrabiałem różne figle i minki, które nadzwyczaj bawiły kochanego staruszka.

Właśnie to zwierciadło targował jakiś jegomość barczysty, o czarnych oczach i czarnych włosach, oliwkowy, zarosły, z typem wyraźnie południowym. Mówił też łamaną polszczyzną. Pomyślałem sobie: Pewnie wędrowny antykwaryusz, i smutno mi się zrobiło na myśl, że nim potrafię co zarobić, już on może te sprzęty gdzie daleko wywiezie.

Pod naciskiem tylu wspomnień i żalu, łza mimowolnie z oczu mi się puściła. Cudzoziemiec spojrział na mnie z uwagą, może odgadł kim jestem, bo dziwna moja historia już z ust do ust krążyła. Przystąpił i grzecznie zdejmując kapelusz spytał: „Czy to pan jesteś ten successor pokrzywdzony, ten wychowanek niebo-

szczyka?” Skinieniem głowy dałem znak potwierdzający. On ciągnął dalej: „Przepraszam za pytania może niedyskretne, ale o tój całej sprawie ludzie opowiadają takie rzeczy nieopjęte, że trudno uwierzyć..... Czy to prawda, że pan posiadasz list własnoręczny, gdzie nieboszczyk mówi o testamencie?” Nowy znak potwierdzenia z mojej strony. A on znowu: „Wiesz pan, że ja na miejscu pańskim, podobny list mając w ręku, nie ustąpiłbym tak łatwo praw moich?”

— A cóż mam robić? Zapytałem z goryczą. Zaczepka wydawała mi się istotnie troszkę niedyskretną, jednak byłem taki samotny, taki opuszczony, że to gorące zajęcie się moją sprawą ze strony człowieka zupełnie mi obcego, wzruszyło mię i przejęło rodzajem wdzięczności. Na usilne jego nalegania, wyjąłem ów list i pokazałem. Przeczytawszy, powtarzał: „W biórku, — aha, w biórku. Czy w tém samém biórku, co stoi przy studni? W tém samém, do brze. A teraz uważnie pan słuchaj: przychodzi pytanie najdziwniejsze a razem najważniejsze, dla nas obu.... To zwierciadło wisiało, w tym samym pokoju, wszak prawda? Ale jak wisiało? Czy można było w niem widzieć biórko i osobę przy niem siedzącą?” — Na to zagadnienie przez chwilę się zawahałem, ale krótki namysł wystarczył, aby znaleźć stanowczą odpowiedź: biórko stało naprzeciw komin-

ka, zwierciadło było ukośnie pochylone, odbijało całą przeciwną połowę pokoju, a więc i biórko z piszącym. Przypomniała mi się nawet okoliczność jeszcze dowodniejsza: na kilka dni przed moim wyjazdem za granicę, poprawiając ogień na kominku, spojrzałem w lustro i spostrzegłem, że mój opiekun zdrzémnął się na fotelu przed biórkiem, a w tej nieruchomości wydał mi się taki blady i zmieniony, że wtedy pierwszy raz na myśl mi przyszło, czy jeszcze żywym go zastanę? Nieznajomy usłyszawszy ten szczegół, kłasnął w ręce, i zawołał: bravo! bravissimo! Wmieszał się między kupujących, i pędząc bez namysłu ceny, zakupił biórko i zwierciadło; kazał oba nieść za sobą na tragach, i do mnie rzekł: „Chodź pan ze mną.” Widząc moje wahanie dodał: „Choćbyś pan „przez tę godzinę spóźnienia miał stracić jaki „wielki urząd albo rękę bogatej dziedziczki, „jeszczebym ci powiedział: pójdź ze mną, — bo tu „chodzi o szczęście, o honor, o sławę niebosz- „czyka. Zresztą co to panu szkodzi? Pan już „nie masz nic do stracenia.” — Ten ostatni argument najlepiej mię przekonał, poszedłem, ciekawy co nabywca chce zrobić z memi kochanemi pamiątkami?

Przez drogę wypytywał się jeszcze gorąco o moją przeszłość, a widząc, ile jestem zdziwiony tą nagłą życzliwością, stanął i uchylając kapelusza wyrzekł: „Przepraszam za uchybie-

„nie prawom towarzyskim, które w tak wyjąt-
 „kowych okolicznościach wyszły mi z pamięci;
 „ja wiem, kto pan jesteś, a pan dotąd nie wiesz
 „mojego nazwiska; jestem professor Hallucini,
 „do usług pańskich.”

— A cóż za nieszczęśliwe nazwisko!—zawo-
 łałam ze śmiechem.—To jakby na żarty.

— Ja to samo pomyślałam, ale rozumie pani, że
 trudno przy pierwszym poznaniu czynić uwagi
 nad czyjém nazwiskiem, zresztą już i czasu
 nie stało; zatrzymaliśmy się właśnie przed ka-
 mienicą, wcale niepozorną, gdzie w głębi trze-
 ciego dziedzińca, professor zaprowadził mnie
 i tragarzy do małej oficynki. Była tam izba,
 nie wiele różna od téj, w której siedzimy; ściany
 obnażone, mebli prawie żadnych, tylko mnó-
 stwo zwierciadeł pookrywanych czarnemi za-
 ponami, a po kątach różne szkiełka i narzędzia.
 Gdy oba sprzęty ustawiono, zamknął drzwi na
 rygiel, wyjął i położył przedemną księgę, w któ-
 rej poznałem Ewangelię, i objąwszy mię o-
 gnistym wzrokiem, zaczął mówić:

„Młodzińcze! Od pierwszego spojrzenia po-
 „znałem w tobie duszę niezłomną i szlachetną,
 „taką właśnie, jakiej od dawna szukam. Dzi-
 „wny zbieg wydarzeń sprawia, że może będę
 „mógł ci oddać wielką, bardzo wielką przy-
 „sługę..... mówię *może*, bo nie jestem pewien, czy
 „drobne jakie okoliczności nie staną jeszcze na
 „przeszkodzie? Posiadam sekret..... który da-

„wniej uchodził za cudowny. Jego posiadacze
 „umyślnie otaczali go tym urokiem, aby go za-
 „chować wyłącznie dla siebie. Nie ma w nim
 „jednak nic nadprzyrodzonego; jest to zjawi-
 „sko najczystszej nauki. Sekret polega na wy-
 „woływaniu ze zwierciadeł obrazu wszystkich
 „osób i przedmiotów, co się przed ich szkłem
 „przesunęły. Kiedy więc udało nam się ocalić
 „to zwierciadło, może z niego się dowiemy, czy
 „testament był istotnie w biórku, a jeżeli go
 „już nie ma, zobaczymy, kto go wyjął i zabrał?
 „W każdym razie więc czeka cię ogromna ko-
 „rzyść i niezmierna rozkosz, albo odzyskasz
 „ten szacowny papier a z nim cały majątek
 „i całą świetną przyszłość, albo przynajmniej
 „będziesz wiedział, kto ci ją wydarł i na kim się
 „możesz zemścić.”

Chciałem odpowiedzieć, że nie pragnę zemsty,
 ale ten dziwny człowiek, jakby odgadując moje
 myśli, szybko przerwał:

„Nie mów młodzieńcze, że zemsta cię nie po-
 „ciąga, o! to wielka rozkosz, choćby dla moż-
 „ności przebaczenia. To nie sztuka nie mścić
 „się, dopóki nie wiesz, kto cię skrzywdził,—ale
 „wiedzieć i nie szukać zemsty, a! to zasługa
 „i wewnętrzne zadowolenie, które także coś
 „warte, zwłaszcza kiedy nic nie kosztuje.”

Patrzyłem na niego ze zdumieniem, chcąc
 odgadnąć, czy mówi z przekonania czy z iro-
 nii? Dwuznaczny jego uśmiech zostawiał mię

w wątpliwości, a przytém nie mogłem sobie wytłómaczyć, dla czego ten nieznajomy tak zajmuje się moim losem, jaką w tém widzi dla siebie korzyść? Szybko wyprowadził mię z niepokoju, mówiąc:

— „Ale nic darmo na tym świecie. Jesteśmy obaj w nędzy i możemy wzajemnie oddać sobie przysługę. Mam nadzieję, że jeżeli odzyskasz przezemnie majątek, częścią jego choćby najmniejszą mię nagrodzisz, i tym darem wieszprzesz moje naukowe prace. Jak ma być wielką ta nagroda, to już zostawiam twojej szlachetności.”

Z mimowolnym zapalłem ścisnąłem jego rękę i przyrzekłem, że nie zawiedzie się na mnie, a nadzieja ma tak wszechwładny urok, że przez chwilę uniosłem się na jej skrzydłach i pomyślałem sobie: Rzeczywiście, jeżeli ten człowiek wróci mi majątek, stanie się moim dobroczyńcą. Po chwili uśmiechnąłem się z mojej łatwości, ale obietnicy nie cofałem, bo i po co? Obiecanka za obietankę.

Professor ciągnął dalej: „Byłbym łatwo mógł bez twojej pomocy wykonać doświadczenie, i papier znaleziony w tryumfie ci oddać. Ale jeżeli go kto zniszczył, nie mógłbym poznać szkodnika, bo nie znam twojej rodziny. Chciałem więc, abys na własne oczy widział przeszłość, a przytém... dawno szukam adepta.

„A teraz—dodał uroczyście,—oto jest Ewan-

gelia. Przysięgniesz mi młodzieńcze, że cokolwiek zobaczysz i cokolwiek znajdziesz, nikomu nie opowiesz twoich widzeń, dopóki ja będę na tym świecie, lub dopóki nie zwolnię cię z obietnicy. Przysięgniesz jeszcze, że nigdy nie będziesz podpatrywał mego sekretu, ani sposobów, jakimi go się wykonywa, że się zadowolnisz tą częstką tajemnicy, do której cię przypuszczę; kiedyś może wszystko ci odkryję... pierwój muszę dobrze poznać twoją duszę, bo nie każda jest zdolna do zniesienia takich objawień. Tymczasem niech ci i to wystarczy, że ci nastreczam korzyści doczesne."

Byłem dziwnie opanowany jego przekonaniem, a przytém, według mądrych słów profesora, nie miałem nic do stracenia, próbować nie kosztowało, — przysiągłem.

Hallucini klasnął w ręce, wołając: „No, teraz do dzieła. A najprzód zacznijmy od środków czysto ludzkich, może obejdziemy się bez cudów? Obejrzyjmy raz jeszcze biórko."

Stał biedny kantorek przy drzwiach. Wsunąłem wszystkie szuflady i kryjówki — były puściutkie, papiery już powyrzucano. Hallucini machnął ręką, ustawił zwierciadło na sztalugach naprzeciw okna, trochę skośnie; na drugich sztalugach, daleko wyższych i szerszych, rozwiesił sztukę czarnej materyi, podobnej do płachty, jaką tu panie widzicie, tylko tamta była świeższa, jakaś błyszcząca i chrzęszcząca

jakby kitajka angielska. W kilku miejscach miała maleńkie okrągłe otwory, podobne do okienek wycinanych w kortalnie teatralnej. Professor to wszystko przesuwiał, nastawiał pod różnemi kątami, nakoniec dobrze mu wypadło, cała przestrzeń szklanna nic nie odbijała tylko jednolite tło czarne.

Przypatrywałem się ze źle ukrytym uśmiechem i uczyniłem uwagę, że przynajmniej wypadaloby postawić inaczéj biórko, bo stojąc za lustrem, na nic nam się nie przyda. Hallucini roześmiał się wzgardliwie:—„A to po co? Biórko mogłoby wcale nie stać w tym pokoju, mogłoby o sto mil od nas się znajdować, jeszcze je zobaczymy, i wiele innych rzeczy.”

Następnie wyjął z szafy swoją machinę cudotwórczą; bardzo ona skromnie wyglądała z pozoró, mogé paniom pokazać tę samą, a przynajmniej taką samą, bo parę ich posiadał.

Pan Cezary, zelektryzowany opowiadaniem, lekko wstał z fotelu, i z pomiędzy tysiącznych rupieci wyciągnął skrzynkę czarną, podobną do przyrzędu fotografa, albo do latarni czarno-księżkiéj.

— Patrzcie panie, oto całe zaklęcie. Ktoby powiedział, że tyle dziwów leży w téj ubogiéj skrzynce? A były w niéj, były!.. Owego dnia Hallucini na maleńkim stoliczku przystawił ją do czarnej zasłony; tę wystającą lunetkę wsunął w jedno z okienek, a do innego otworu

kazał mi oko przyłożyć. Pierw jednak dawał mi różne przestrogi, naprzykład mówił: „Pamiętaj, że wszystko będzie nam się przedstawiało w stosunku *odwrotnym co do czasu*, i tak najprzód zobaczymy ubiegłe godziny dnia dzisiejszego, potem dzień wczorajszy, potem onegdajszy, i coraz dalej, zawsze cofając się w przeszłość. Przytém ostrzegał mnie, abym się nie lękał, abym nad sobą panował. Nakoniec, kluczem nakręcił skrzynkę, jak się nakręca szkatułki grające, zawołał: „Bacność!” i puścił w ruch tajemny przyrząd, w którym coś zaczęło zlekka warczeć.

Patrzyłem przez otworek, dusząc się od śmiechu. Owe napomnienia, abym się nie lękał, jak najgorzej mię usposobiły, pewien byłem, że zobaczę jakieś straszidło na dzieci, jakąś prostą szarlataneryę.

Po chwili na czarném tle kryształu zobaczyłem część pokoju, ale tę, co była za zwierciadłem, tę, którą zwierciadło odbijało, zanim professor postawił je na sztalugach. Widziałem siebie rozmawiającego i.... przysięgającego na księdze.

Dreszcz mię przeszedł.

Potém pokazały się jakieś ręce i twarze. Były to postacie tragarzy odbite w chwili, kiedy ustawiano lustro.

Później mignęło kilka ścian, sionek, zrobiło się nagle wielkie światło, zobaczyłem otwarte

niebo i szereg kamienic, które przelatywały szybko jakby w oknie wagonu. Co to jest? — pytałem. Professor, który także patrzył przez jeden z otworów, odpowiedział, że to są wszystkie ulice, przez które niesiono za nami zwierciadło.

Jedną razą pokazał się dziedziniec z licytacją, nogi mnóstwa osób długo migotały, aż z nagłą znów nastąpiło inne oświetlenie, i ujrzałem, ach! wystawcie sobie, co ujrzałem — pokój mego opiekuna.

Pod tém wrażeniem zaćmiło mi się w oczach, jednak rozgorączkowanie ciekawości przemogło, patrzyłem dalej: właśnie wynoszono meble; wkrótce, znów odnalazłem je wszystkie na miejscu, i nastąpiła spokojność, nikt nie wchodził, nikt nie wychodził, tylko przez okna widać było kilkakrotnie wschód i zachód słońca; nastawały pory zupełnej ciemności, były to noce po których dni schodziły szybko, bo machina była puszczona wielkim pędem i wszystko w zwierciadle działało się daleko prędzej, niż działało się w rzeczywistości. Kilka razy o zmierzchu spostrzegłem jakiś słup szarawy, który się przesuwiał przez pokój; dla szybkości wizyi nie mogłem dobrze go rozeznaczyć, zapytałem, co to jest? Hallucini chwycił mię za rękę i odprowadzając do krzesła, powiedział: „To pewno złudzenie zmęczonego wzroku.... nie trzeba za długo patrzeć... odpocznij — teraz się prze-

suwają dni bez wielkiego znaczenia, dni, w których dom stał pustkami.”

Ścisnąłem jego rękę, mówiąc: Wielkie odkrycie! Olbrzymie odkrycie! I siadłem porażony, złamany. Nie, najokropniejsze straszdyła nie mogłyby mocniej mię przerazić niż takie wierne, proste powtórzenie przeszłości. Siedziałem długo, z twarzą ukrytą w rękach, z myślami wirującymi w tysiącu przewidywań i przypuszczeń.

Nagle professor zawołał: „Teraz patrz!” Skoczyłem i spostrzegłem scenę, w której moi kuzynowie natrzęsali się ze mnie. Obelgi nie dochodziły moich uszu, ale z gestów je poznałem, patrzyłem na samego siebie, jakby na obcą osobę, dziwując się dumie moich ruchów i spokojowi mojej twarzy, bo ja jeden wiedziałem, co się wówczas działo w mojej duszy. Cały ów ohydny dramat odegrał się po raz drugi przedemną, tylko jakiś dziwny, nielogiczny, bo w odwrotnym porządku chwil. Widziałem obszukiwanie mebli, różne pomniejsze ruchy, potem zrobiło się ciemno, tylko przez szpary zamkniętych okiennic wpadał czasem ukośny promień; weszliśmy w te dni, kiedy pokoje stały zapieczętowane.

Jedną razą coś błysnęło—to gromnice.... żalobnicy wnoszą w otwartej trumnie zwłoki. To on! to mój opiekun! I znowu widzę te zwłoki, ale na łożu, świece w nogach się palą, ksiądz

siedzi u wezłowania, a służba i kilka osób z rodziny kręci się w pokoju. Professor woła: „Teraz uważajmy, bo jeżeli kiedy skradziono owe pismo, to w tym dniu.”

Ja jednak nie mogłem ciągle patrzeć na biórko, inny przedmiot odciągał moje oczy, rzecz straszna i zachwycająca... ale o tém dziś wolę nie mówić... sam wówczas nie dowierzałem oczom, a z wielkiego wrażenia nawet pytać nie śmiałem.

Przyszła chwila, w której okrzyk straszny wydarł mi się z piersi.... zobaczyłem nieboszczyka nie na łóżku, ale na podłodze, i to w pół żywego, pasującego się z cierpieniem... była to chwila nagłej śmierci.

Widziałem popłoch w domu, zfrasowanych lekarzy, cały próżny ratunek. A potem... widzę mego opiekuna żywego! Siedzi przy stoliku, pije kawę z wesołą twarzą; ach! to owo ostatnie śniadanie, po którym padł bez duszy. Na ten widok łzy mi się z oczu puściły, byłbym chciał rzucić się do zwierciadła i całować nogi dobroczyńcy;—nagle w przyrządzie coś trzasnęło, wszystko w zwierciadle znikło i samo czarne tło zostało.

Professor objaśnił, że sprężyna wyszła i trzeba cały przyrząd na nowo nastawić. Ja ledwo rozumiałem, co do mnie mówił,—rzuciłem się w jego objęcia, całowałem go po ramionach, wołając: O wielki człowieku! O mój dobro-

dzieju!.. Choćbyś mi już nic więoćej w życiu nie wyświadczył, nigdy ci nie zapomnę téj chwili. Przez ciebie widziałem raz jeszcze tego, co był mi ojcem! I to żywym! żywym!

Chodziłem po pokoju, nie wiedząc, ani co mówię, ani co wyrabiam. Hallucini widząc mię tak wzburzonym, nie nastawił drugi raz przyrządu, tém bardziej, że się już zmierzchało. Zmartwiła mię okropnie ta przeszkoda, byłbym chciał dzień i noc patrzeć, błagałem, czy nie można użyć lamp i przy nich dalej badać? Professor mi odpowiedział, że można, że nieraz próbował doświadczeń przy wielkiem, sztuczném oświetleniu, ale obrazy wówczas bywały mniej pewne, a zdarzenia—dodał—które chcemy widzieć, są nadto ważnemi, aby je puszczać na traf niewyraźnego światła.”

— „Przenocuj—mówił—u mnie, teraz noce krótkie, jak tylko zacznie świtać, nastawimy przyrząd.”

Chcąc nie chcąc przystałem. Obaj też potrzebowałimy wytchnienia. Od ciągłego schyłania się i nieruchomego wpatrywania, kości nam zmartwiały. Czczość niewymowna przypominała, żeśmy cały dzień pościli. Mnie się zdawało, że po takich wzruszeniach nic w usta wziąć nie potrafię; tymczasem kiedy gospodarz ze swojej odrapanéj szafki wydobyl wierzę, — odnalazłem nietylko głód, ale najzdrowszy apetyt, który mię był opuścił od

chwili pogrzebu i owój sceny z kuzynami. Byłem podniecony, rozradowany, zdawało mi się, że opiekun mój chyba nie umarł. Hallucini całemi piersiami używał swego tryumfu, uśmiechał się tajemniczo, a przytém częstował mię ze znawstwem wytrawnego smakosza. Istotnie, przy nędzy zewsząd wyglądającej, nie mogłem się wydziwić zbyt kowności jedzenia: był zimny pasztet ze zwierzyny, parę butelek wybornego wina, jakieś sery, jakieś konfekta wykwiłne. Po sutym posiłku, dobył fajki i paradny sułtański tytuń; kilka nocnych godzin przesiedzieliśmy kurząc i gadając, — a było o czém! Z całego dnia badań professor wyciągał ostateczny wniosek, że testament nie został skradzionym, gdyż we wszystkich obrazach, co się przed nami przesunęły, nie widzieliśmy, ażeby ktokolwiek dobierał się do biórka, ani plądrował po mieszkaniu, „chyba—dodawał—że go jeszcze za życia testatora podchwycono. To zobaczymy jutro.”

Jak tylko rozwidniało, otworzył skrzynkę, coś do niój dosypywał, coś dolewał, nakręcił przyrząd,—ja się rzuciłem do okienka, i znów stanął przedemną ukochany pokój. Cały ten dzień przeżyłem z moim opiekunem, widziałem go zdrowym, wesołym, studyowałem jego życie domowe przez ciąg ostatnich tygodni, jakie na tym świecie przebył. Tak, w jednym dniu przelecieliśmy całe tygodnie; od naszej woli

zależało skracanie albo rozszerzanie czasu; w chwilach ważnych, professor zwalniał bieg sprężyny, wtedy obrazy przesuwały się zwolna, trwały długo, może nawet dłużej niż w rzeczywistości. Ale było wiele godzin nie przedstawiających nic a nic ciekawego; naprzykład ile razy gospodarz wyszedł na miasto, pokój przez kilka godzin stał pustkami; ile razy słońce wschodziło, popędzaliśmy bieg maszyny co żywo, aby prędzej noc przeskoczyć i doczekać dnia poprzedzającego. Te wschody i zachody słońca liczyłem starannie, dzięki czemu, łatwo mogłem wiedzieć, w jakim dniu przeszłości się znajduję. Z kolei przedstawił się dzień, w którym był pisany ostatni list do mnie; rzeczywiście, widziałem, jak starzec pisał, a że to było do mnie, o tém nie mogłem wątpić, bo na ćwiartce dostrzegłem tenże sam deseń i też samą dewizę, jakie z szacownym listem jeszcze dotąd miałem w kieszeni. Nikt nie może sobie wyobrazić, jak jest wzruszającym widok drogiej osoby tak wskrzeszonej w swoich najdrobniejszych czynnościach, a zwłaszcza też w chwilach, kiedy myślała o nas i zajmowała się nami! Widziałem, jak co wieczór się rozbierał i długo w łóżku czytał, jak się gorąco modlił, jak się schodzili do niego starzy znajomi, których z wykrzykiem poznawałem, jak co rano szedł do zwierciadła dla zawiązania krawatu; ach! kiedy patrzył w lustro, mnie się zdawało, że

on patrzy na mnie.... wtedy łkanie ścisnęło mi piersi i mówiłem do Hallucinięgo: Ach! ja na miejscu pana objawiłbym całemu światu moje odkrycie. Ileż rozkoszy dla tęskniących, ileż pociech dla osieroconych! — A mój professor uśmiechał się jakimś uśmiechem, który mi nie trafiał do serca.

Według wszelkich obrachowań, zbliżaliśmy się już do chwili, w której musiał być pisany testament, bo list wyraźnie mówił: „*W tych czasach* byłem niezdrów....” Ale znowu nas wieczór zaskoczył i musieliśmy najważniejsze widowisko odłożyć do jutra. Już też i okropne znużenie odejmowało nam przytomność, teraz potrzebniejszą, niż kiedykolwiek. Mój towarzysz posłał po ciepłą strawę, ja rzuciłem się na starą sofę i sen kamienny mię zmorzył.

Pamiętam, że kiedy promień słońca prosto bijący w oczy obudził mię rano, długo nie mogłem zrozumieć, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, bo też istotnie wszystko, co zaszło od mego powrotu z zagranicy, wyglądało na ciężką zmoreę, a te dwa dni ostatnie na sen zaczarowany.

Ale już professor nakręcał przyrząd. Przyłożyłem oko do otworu, spostrzegłem zmiany w postaci i w zwyczajach mego opiekuna; widocznie był niezdrów; rano się nie ubierał, cały dzień chodził w szlafroku,—widzieliśmy, jak zażywał lekarstwa.

Nagle professor krzyknął: „Oho! oto coś ciekawego!“ Szybkim rzutem zatrzymał bieg sprężyny, ruch obrazów także się zatrzymał w zwierciadle, i ostatni obraz pozostał nieruchomy. Co przedstawiał, tego niktby się nie domyślił, choćby sto lat myślał...

Nieboszczyk stał przy biurku; przed nim była szeroko wysunięta środkowa szuflada; jedną ręką trzymał papier zapieczętowany, drugą przyciskał małą lwią główkę znajdującą się między bronzami, a pod tém naciśnięciem, dno szufladki odskakiwało.

Hallucini krzyknął: „Podwójne dno! Podwójne dno! Chodźmy sprawdzić!”

Rzuciliśmy się do biurka,—drżącą ręką wyciągnąłem ową szufladkę, którą dawniej sto razy napróżno wyciągałem, naciskam lwią główkę,—wystawcie sobie.., rzeczywiście, fałszywe dno odskakuje, a na drugim, prawdziwem dnie, spostrzegamy świeżuchną, nietkniętą kopertę z podpisem: *Do rąk Cezarego po mojej śmierci.*

Gdyby nie zwierciadlane objawienie, byłby ten papier leżał tam do skończenia świata, bo skrytka była wykonana z misternością, jaka się spotyka tylko w meblach z osiemnastego wieku, z owych czasów Regencyi, Mosonów i Cagliostroów, kiedy ludzie mieli tyle sekretów do przechowywania. Była szeroka na całą szerokość szufladki, ale bardzo płaska i wybornie

dopasowana. Nikt o niej nie wiedział oprócz nieboszczyka. Miał on pewno zamiar mnie jednemu ją odkryć, bo nic innego nie mogły znaczyć te dziwne wyrazy listu, które wówczas dopiero stały się dla mnie jasnemi: „Testament schowałem do biórka, pokażę ci, jak wrócisz.” Śmierć niespodziana wszystko pomieszała.

Ujrawszy błogosławiony papier, rzuciłem się Halluciniemu na szyję, ścisakałem go, nazywając moim wybawicielem, wyznając, że do śmierci nie potrafię mu się odsłużyć.

Nie odpowiedział mi uściskiem tak szczerym, na jaki zasługiwało moje głębokie rozczulenie, odepchnął mię nawet lekko, i z sardonicznym uśmiechem wyrzekł: „Dobrze... zobaczymy, jak długo potrwa ta wdzięczność.”

Do żywego tknięty, zawołałem: Tak, zobaczymy! Przyjmuję wyzwanie.

W takiej chwili trudno było się na niego obrażać, ale uczułem ze smutkiem, że to jakieś serce, do którego się nie dopukam,—wyższe od serc zwykłych, a może niższe?

Prędko jednak rozproszył moje zasmucenie nowym dowodem życzliwości; ten człowiek myślał o wszystkiém.

— „Czy wiesz—spytał—co teraz mamy najpilniejszego do zrobienia? Oto, na słowo sprzedaję ci to biórko razem z tym papierem,—przy pierwszych pieniądzach zapłacisz mi za nie, ile zechcesz. Teraz każ je do siebie zanieść, opo-

wiedz wszystkim, że je na licytacji zakupiłeś, że *przypadkiem* znalazłeś skrytkę, i tak wszystko, najprościej, najprozaiczniej w świecie przed ludźmi się wytłómaczy.”

Usłuchałem go ślepo. Za powrotem do siebie, przed bramą spostrzegłem konie pocztowe, i dopiero wtedy mi się przypomniało, że tego dnia miałem wyjeżdżać na wieś; odesłałem konie z uśmiechem; niedoszły rządca już ich niepotrzebował. Gospodarz hotelu przyjął mię z okrzykami radości: od półtrzecia dnia jak zniknąłem; zachodził w głowę i chciał już policję poruszać w przekonaniu, że się utopił, lub zastrzelił.

Testament zaniósłem do władz sądowych, gdzie go odpieczętowano i w obec rodziny odczytano. Przyszła na mnie kolej tryumfu, i to podwójnie słodkiego, bo nie tylko dla korzyści materyalnych, ale dla stokroć droższej rehabilitacji moralnej. Treść rozporządzeń i wyrazy błogosławieństwa zawarte w pośmiertnym piśmie, świadczyły o przywiązaniu, jakie opiekun do końca mi zachował, zaprzeczały nazwom „żmii, niewdzięcznika, intryganta,” któremi świat próbował mię napiętnować.

Moja historia narobiła ogromnej wrzawy; teraz mię na rękach noszono, jak zwykle tego, któremu się powiedzie. Spiorunowani kuzynkowie chcieli zaprzeczyć testamentu, ale się to nie udało, był cały własnoręczny, opatrzony

we wszelkie formuły ostrożności. Musieli wszystko zwrócić. Widząc ich rozpacz przechodzącą ludzkie pojęcie, wydzieliłem im ze spadku więcej niż testament wskazywał, ale i to ustępstwo ich nie rozbroiło. Ach! pamiętam, jak na widok owój kryjówki, którą wszystkim pokazywałem, pozielenieli i usta do krwi przygryźli; nie mogli sobie darować, że owo nieocenione biórko puścili na licytację. Tak, nieposzanowanie pamiętek zburzyło ich szczęście, o mnie zaś mówiono po świecie, że Bóg mię wynagrodził za przywiązanie, jakie zachowałem dla nieboszczyka i jego wspomnień, pomimo wszelkich pozorów pokrzywdzenia.

Tu nie mogłam się powstrzymać, aby nie przerwać panu Cezaremu:

— Ach, panie, cóż to za pyszna historia! Cóż za cudowne odkrycie!

— To prawda. Poparła pani Marta, która zdawała się nie mniej odemnie zachwyconą. Historia wzruszająca a razem budująca; wyraźnie Pan Bóg chciał wybawić sierotę, i nie żałował środków nieledwie nadziemskich. Widzę, że ten wynalazek ze zwierciadłami może się nieraz przydać w niejednym kłopotcie. Ale na miłość boską, powiedzże mi pan, jakim sposobem, dobiwszy się milionów, dziś znowu opadłeś w tak opłakane położenie?

Bóg widzi, że nie z mojej winy. Nie mam żadnego nadużycia, żadnej nawet zbytkownej

fantazyi na sumieniu. A jednak pokus nie brakowało. W dwudziestym trzecim roku życia ujrzałem się nagle panem ogromnej fortuny. Świat mi zakwitał samemi różami i laurami. Kobiety na mnie spoglądały wzrokiem, w którym łatwo było wyczytać, że gdzie zechcę, tam znajduję wzajemność i tryumf. Mężczyźni zaciągali mię na pałacy grunt politycznej areny; byłbym znalazł bez trudności dosyć życzliwych głosów, aby wejść pomiędzy posłów mojej prowincyi; czułem w sobie dość bystrości i mocy, aby wdać się w walkę społeczną, i stanąć u samego źródła wypadków, z kąd nieprzestannie bije strumień historyi. Byli inni, co chcieli mię zaciągnąć do nieskończonej orgii, do tych olśniewających rajów Mahometa, które nasz wiek tak wydoskonalił, że Mahomet samby ich nie poznał, a moja młodzieńcza krew na te wezwania odpowiadała burzliwém kipieniem. Wszystkie złote geniusze i różowe szatanki życia otoczyły mię zawrotnym kręgiem, a ja jednak wszystkie odepchnąłem, wyrwałem się z koła żyjących i usiadłem sam na ustroniu, bo wąż wiadomości złego i dobrego ukąsił mię pod samém sercem.

Od chwili jak przeszłość w zwierciedle sta-
nęła przedemną żywa, obecność straciła dla
mnie urok. Po co miałem zamykać się w kółku
mego jednego żywota, kiedy mogłem przeży-
wać tysiączne żywoty, nagromadzać lata na ty-

godnie? Po co mi było męczyć się w maleńkich pracach jednego pokolenia, kiedy mogłem wywołać całe szeregi pokoleń, kazać im przed sobą działać, bawić się, pracować, kochać się, płakać, rodzić się i umierać? Wartoż było zwracać uwagę na ten jeden punkcik dziejów, który nazywamy *naszym czasem*, kiedy mogłem studyować wieki, i to nie według mdłych przypuszczeń, albo przeinaczonych opowiadań, ale po prostu chwytając je na gorącym uczynku, z ich kostiumami, ruchami niepodobnemi do dzisiejszych, z tysiącem szczegółów nieznanym najmozolniejszym badaczom? Ręczę wam, panie, że jedno zobaczenie kilku takich obrazów lepsze daje pojęcie o dawnych czasach, niż całe biblioteki pisane z posłuchu.

— O rzeczywiście!—zawołałam z rodzajem żalostnej zazdrości. — Dla poety naprzykład, chcącego malować przeszłość, a toż prawdziwe objawienia! Co za szkoda, co za okropna szkoda, że tak późno zaczęto robić zwierciadła! Gdyby można w podobny sposób odnaleźć domowe i towarzyskie życie Greków, Rzymian, Egipcyan, cóżby to za nowe światy się odkryły! Ale to już wszystko przepadło; ich metalowe zwierciadła były małe i niewyraźne, wątpię, aby się na coś przydały...

Pan Cezary błysnął dziwném spojrzeniem, i odrzekł z uśmiechem:

— Nigdy nie można twierdzić, aby coś bez-

powrotnie przypadło. Jeżeli nasz wynalazek zostanie posunięty do swoich ostatecznych wyników, może i na te niedostatki znajdzie się lekarstwo. Tymczasem, bądź pani pewna, że samo wybadanie kilku ostatnich wieków, już dostarczy niemałej roboty kilku innym wiekom, tém bardziej, że będzie trzeba ciągle doganiać przeszłość, która ciągle przyrasta. Nikt sobie nie wystawia, jak podobne widowisko zmienia nasz pogląd na życie i historję; z początku rozgorączkowały i przeraża, potem nagle uspakaja. Człowiek widzi, jak ludzie jedni po drugich uwijają się za drobnostkami, jak tyśiące godzin tracą w bezczynności lub fałszywych zabiegach, jak wszyscy po kolei próbują tych samych rozkoszy i omamień, wszyscy wpadają w te same błędy i rozczarowania, ach! i wszyscy się dziwią, kiedy przychodzi im umierać. Człowiek widzi to i uśmiecha się litośnie. Ale dłużej patrząc, dostrzega, że każdy żywot, choćby z pozoru najmarniejszy, wydaje kiedyś niespodziane owoce, że samo złe wychodzi na dobre, człowiek zaczyna pojmować, że wszystko tworzy łańcuch przyczyn i skutków, gdzie snuje się jakaś treść logiczna. A jeżeli jeszcze dłużej popatrzy, robi jeszcze dziwniejsze odkrycie: spostrzega, że co brał za skutki, to znów przeradza się w przyczyny, że tu są same początki a nigdzie nie widać końca, i że cały ten łańcuch, to znowu jedno tylko ogniwo in-

nego, większego łańcucha. Natenczas dusza nagle się uspakaja, zasiada na obłokach bezstronności, i zaczyna patrzeć już ze stanowiska nie ludzkiego, ale... nieledwie boskiego.

Dla mnie długie lata przeszły w takim usposobieniu. Odebrawszy spadek, urządziłem sobie życie wygodnie i dostatnio, ale bardzo samotnie. Professor przeniósł jedną ze swoich cudownych machin do mego mieszkania, i pozwolił mi ję używać. Korzystając z pozwolenia, całe dni i całe wieczory spędzałem przed zwierciadłami.

A najprzód, wróciłem się jeszcze do owęj pierwszėj, nieoszacowanėj szyby, przez którą mogłem patrzeć na przeszłość dobroczyńcy i na moją własną; to jedno studyum zajęło mi długie miesiące. Widziałem samego siebie przed wyjazdem za granicę, w mundurku studenckim, potem coraz mniejszém dzieckiem, doszedłem do owych czasów, kiedy opiekun podnosił mię ku zwierciadłu, widziałem własne minki i figle, i jego ojcowską radość, a wtedy porywało mię szlochanie... O, ileż to obrazów dawno zatarłych w pamięci, wystąpiło na mój niezmierny podziw! Ile łez i uciech, których już zrozumieć nie mogłem! Całe życie przeżywałem po raz drugi, ale z innemi uczuciami, jakbym już z innego świata na nie patrzył. Cóż to dopiero będzie, kiedy z po-za grobu spojrzymy naziemską przeszłość! Nakoniec pojawił się dzień,

w którym pierwszy raz przyniesiono mię tu niemowlęciem; widziałem opiekuna płaczącego nademną, a siebie wyciągającego rączki do szmaragdowej szpilki, jaką miał w halsztuku; tę szpilkę zawsze lubiłem niesłychanie, i nie mogłem sobie dawniej wytłómaczyć mojego do niej pociągu, teraz go pojąłem: był to pierwszy przedmiot, co mi się w tym domu podobał. Tu się skończyła *moja* przeszłość, ale przeszłość opiekuna szła dalej; widziałem go młodzieńcem, przeslicznym, rozmarzonym, w kapeluszu *à la Bolivar*. Podpatrzyłem rozdierającą przygodę jego serca, w skutku której do śmierci został kawalerem. Potem i on przedstawił mi się dzieckiem, poznałem jego rodziców, byłem na ich weselu, gdzie w strojach *à l'Empire* tańcowano *Girlandy* i *Montferriny*. Potem zwierciadło odbiło mieszkanie rodziców panny młodej, była to sala jakiegoś dworu, zapewne wiejskiego, bo w oknach zielenił się bujny ogród i widniała drewniana dzwonnica kościołka. Tam widziałem staropolskie uczyty, czasem nawet pokazywały się kontusze. Po niejakićj przerwie zobaczyłem wewnątrz staroświeckiego sklepu, nieco później ogromne sale fabryki zwierciadeł, i nagle wszystko zgasło; zwierciadło wyczerpawszy się aż do chwili swojego odlewu, już nie miało co pokazywać.

Z początku wielki żal mię ogarnął, nie mogłem się po tém zwierciadle odtęsknić, wkrótce

jednak inne mię pocieszyły. Zakupywałem ich mnóstwo, z różnych fabryk i różnych epok; nie były to już dla mnie wspomnienia osobiste ani rodzinne, ale za to co za mozajka scen zachwycających, lub ohydnych, nieraz tak zagadkowych, że całe noce spać nie mogłem, póki nie schwyciłem ich znaczenia!

Najczęściej przedstawiały się mieszkania bogatych, bo te najwięcej posiadają zwierciadeł. Czasem jednak, z najśliczniejszego buduaru, widok nagle się przenosił do izby lichwiarza, gdzie biedny sprzęt długo na wykupno czekał. Nabywałem także lustra hotelowe, restauracyjne,—te były istnemi kalejdoskopami, pełnemi typów niezmiernie ciekawych, ale mniej mię zajmowały od zwierciadeł familijnych, rzetwnie opowiadających dzieje kilku pokoleń. Co tam widziałem tragedij głuchych a rozdzieraających! Co kapitalnych komedyjek! Autorowieby mię po rękach całowali, gdybym chciał im ten róg obfitości wysypać.

Kiedys też przyszła mi fantazyja kupić małe czworograniaste zwierciadełko o drewnianych ramkach, które w chałupie służyło dziewczęciu wiejskiemu; spodziewałem się najwdzięczniejszej sielanki; prawda, spostrzegłem kilka szczerych uśmiechów, ale jeszcze więcej kułaków po chacie migotających, i czerwonych oczu obcieranych fartuchem.

Najlepiej lubiłem zwierciadła wielkich roz-

miarów, od stropów do posadzki; w tych mogłem widzieć całe postaci, całe nawet tłumy, i to najczęściej wesołe, bo podobne ozdoby spotykają się tylko po pałacach, i to zwykle w części przeznaczonj do wspaniałych przyjęć. Przed taką kryształową ścianą zasiadałem, jakby przed teatrem, gdzie za podniesieniem zaklętej zasłony, roztwierał się szereg sal błyszczących od fresków i złota, przedłużonych w tajemnicze oranżerye, albo przejrzyste, z marmuru wycinane krużganki. Nie zliczę, ile w tych salach widziałem balów, maskarad, uroczystości dworskich i wszech-narodowych. Nie raz w moim pokoju słońce przyświecało, a tam krócie lamp i świeczników jarzyły się na tle nocnym, i sam nie byłem pewien, gdzie prawda? Sala zwolna zapełniała się tłumem, z którego strojów zgadywałem, w jaką chwilę diejowj wchodzić: raz były długie, medycyjskie staniki, w trójkąt nasadzane klejnotami; inną raz, miśternie dziergane holenderskie kołnierze i skrzydlate kapelusze z piórami; tu głowy pudrowane, twarze jakby porcelanowe, gdzieindziej mitologiczne pół-ubrania z epoki Dyrektoryatu; raz nawet, na jednym z tych balów, poznałem, wyraźnie poznałem Robespiera, stał cały wężki i wyblakły, jakby jakiś Mefistofeles, co dostał hipokondryi, oparty o kominek, rozmawiał z kobietą precudnej piękności; składał ręce, usta musiały szeptać gorące błagania, ale

ta gorącość przejmowała mię zimnem; rude włosy jego nieco podnosiły się jakby płomyki, z oczu myślałem że krew mu wytryśnie. I owa piękność musiała doznawać podobnego wrażenia, ramiona jój drgały jak od mrozu, a usta zacisnęły się arystokratyczną wzdardą; on pewnie prosił o kwiatek z jój ręki, bo nagle swój bukiet cisnęła do ognia w kominku, i odeszła spoglądając przez ramię z ironią. Ach, może to była owa księżna polska, co odrzuciwszy miłość ludowego Jowisza, poszła prosto z balu do więzienia, a z więzienia pod gilotynę?

Pani Marta, cała wychylona od bacz nego słuchania, powtarzała: Proszę... no, proszę...

Pan Cezary, którego wspomnienia tak silnie ożywiły, że nawet jego żółta cera nabiegła różowością, uśmiechnął się po młodzieńczemu i ciągnął dalej:

— Oj! Co ja podpatrzyłem scen godnych Romea i Julietty, co wykradzionych dowodów czułości! Gdyby ci ludzie wiedzieli, że zwierciadła umieją mówić, byliby może...

Tu przerwał, poczem kłaniając się figlarnie, dodał:

— A! I panie byłybyście w ogóle ostrożniejsze. Bo już niczego więćej nie napatrzyłem się, jak postaci damskich, i to... w niebezpiecznych godzinach toalety, której zwykłym powiernikiem bywa zwierciadło. Nieraz dziwno się, że prowadzę życie pustelnicze, że mało

uczęszczam na zebrania, że wybrédnie patrzę na kobiety. Mogłem wybrédzać, kiedy krocie, tysiące ich na mój rozkaz przeciągały przedemną. Od aktorki do królowej, od prababek do prawnuczek, miałem olbrzymią skalę porównania. Były między nimi takie zachwycające, o jakich dzisiejsze pokolenia ani pojęcia nie mają. Nieraz już serce zaczynało mi pukać... zamęt się robił w myślach... ale,—kiedy wspomniałem, że ta boska postać, co przedemną stoi, gdzieś już pod ziemią w proch się rozsyłała, wtedy wszystkie ognie nagle we mnie gasły, patrzyłem z rodzajem uszanowania podobnym do przestrachu, i zdawało mi się, że w każdej cudnej twarzy, jakby za różową mgłą widzę trupa głowę.

A przytém... robiłem nieraz nieprzyjemne odkrycia. Ilem ja się napatrzył fałszowanych wdzięków, owych białości i rumieńców, co się dobywają z puszki, owych włosów, co się biorą z pudełka, aj! byłoby czego rozczarować najfanatyczniejszych czcicieli płci pięknej. A jeszcze gorsze niespodzianki duchowe: niejedna z tych piękności, co miała gołębią twarzyczkę i w salonach pewnie słynęła ze słodyczy, przed gotownią umiała rozzłościć się na pokojówkę albo i na mężulka jak istna Xantypa, a wtedy wierzcie mi panie, brzydła nie do poznania.

Czasem też trafiały się odkrycia innego rodzaju: raz, wynalazłem zwierciadło, przed któ-

rem Albert Dürer, mając lat trzynaście, wykonał swój własny portret, sławny ów portret, co dziś jest perłą galerji Albertyńskiej. Inną razą nabyłem wielkie lustro, które długo wisiało w sali gry w Homburgu; tam toż dopiero napatrzyłem się natury ludzkiej w jój najspiczastszych zarysach! Hogartowskie album. Od granitu do wulkanu, od tygrysa do węża, od Baltazara do Roberta Macaira, wszystkie gatunki graców przeciągały przedemną. Jeden z nich zastrzelił się w moich oczach... a ja płakałem nad nim, bo młodziuchny był, i przez jego oblicze przeglądał jeszcze jego anioł-stróż przerażony.

Ach, widziałem niejedno samobójstwo... Było małe, nadpęknięte zwierciadełko, co mi opowiedziało życie biednej szwaczki, może Paryżanki, bo miała okrągły czepeczek i czarny fartuszek. W oknie wisiała klatka z kanarkami. Poczciwa dziewczynina musiała piekło przejść na ziemi.... Oplakany koniec tego głuchego dramatu rozegrał się przedemną: w wieczór nałożyła fajerkę... tegoż dnia, rano, kanarki darowała sąsiadce, pewnie z obawy, aby się razem z nią nie zaczadziły. Ta litość nad ptaszyną maluje całą jój duszę; za samą tę litość, nie wątpię, że dziś ma skrzydła.

Bywały i weselsze widowiska. Ach, jak szczęśliwie, że sobie przypominam! Byłbym ominął najciekawsze. Wystawcie sobie panie,

pewnego razu dostało się do moich rąk lustro wcale niepozorne, o wytartych mahoniowych ramach, a w niém zobaczyłem — kogo? Szyllera.

Tu ja wyciągnęłam szyję, wołając:

— Czy być może? Ach, mówże nam pan o nim, jak wyglądał? Co robił?

— Wyglądał bardzo mizernie; pewnie to już była ostatnia epoka jego życia, zapowiedź śmiertelnój choroby widniała wyraźnie w rysach wydłużonych i zwisłych ramionach, przecież każdy, co go zna z portretu, zawołałby od razu: To Szyller! Właściwy jego pokój musiał być gdzieindziej, bo tu tylko czasem jego postać się przesuwiała; raz jednak widziałem, jak prawie całą noc pisał, a nawet wzięwszy mocną lornetkę, potrafiłem doczytać kilkanaście wyrazów, których osnowa na wspak odwrócona, przedstawiła mi urywek z *Dymitra*, co był, jak wiadomo, jego ostatniém, nigdy niedokończonym dziełem.

— Powiedźże mi pan,—zapytałam,—jak on pisał? Czy szybko, z rozpędem natchnienia, czy też z długimi namysłami?

— O! Nietylko z namysłami, ale z okropną pracą, z oporem, czasem nieledwie z niechęcią. Nieraz szczuplutek ręką w stół uderzył, albo syknął jak osoba, co nie może rozwikłać nieznośnego sypla. Często wstawał, chodził po pokoju z założonemi w tył rękami, objaśniał

świeće (notabene łojowe), popijał z kufelka coś żółtego, może swój ulubiony ponczyk, a może już jakie ziółko? Raz weszła do niego młoda kobieta, bardzo ładna, pewnie jego żona, przyniosła mu świeżą szklanicę napoju, pogadali, uściskała go i poszła, a mój Szyller znów do roboty. Nad jedną stronicą siedział parę godzin; jak zauważyłem, była pewna linia, którą ze sześć razy przemazywał i przerabiał.

— To dziwne—odezwała się pani Marta—przecie taki sławny? Ktoby to uwierzył?

A ja odpowiedziałam:—Dziwne i niedziwne. Publiczność nie ma wyobrażenia o trudach, niesmakach i przymusach, jakich wymaga każda *twórczość*. I to najosobliwsze zjawisko, że im dzieło szło trudniej, tém czyta się łatwiej. Nizkie ja mam pojęcie o autorach, co sypią krocie tomów jak z rękawa; ci nie mają miłości dla dzieł swoich, nie chodzi im o jakość, ale o ilość, pędzą byle skończyć, a nie wiedzą, że *wykończenie* jest drugą połową, równie ważną, może nawet jeszcze ważniejszą, niż pierwotne tworzenie. Wprawdzie utwór mniejszych rozmiarów da się jednym tchem napisać lub wypowiedzieć, ale to wcale nie znaczy, aby miał kosztować mniej wysilenia od tamtych, o nie! Tylko tu wysilenie streściło się na jedną chwilę, to też po niem trzeba długo wypoczywać, nim źródło myśli gwałtownie wyczerpnięte, znów się powolutku napełni. Dzieła wielkie

o skomplikowanej budowie nie dają się tak tworzyć za jednym zamachem; autor musi je rozkładać na dni i miesiące, wykonywać je drobnostkowo i obowiązkowo, bo gdyby chciał czekać na tak zwane „chwile natchnienia,“ mógłby czasem czekać całe lata,—a przytém... szczerze mówiąc, natchnienie jest potrzebne tylko wtedy, kiedy tworzymy *plan* dzieła, kiedy idealny jego obraz objawia nam się w swojej promienistej nieskończoności, to jest chwila zachwyty i porywu. Później, kiedy nam przychodzi tę nieskończoność zamknąć w kształty skończone, po ziemsku odmalować to, cośmy widzieli po nadziemsku, wtedy natchnienie już nie tylko nie jest konieczne, ale nawet może staje się szkodliwe, bo odejmuje trzeźwość i rozważę nieodzowne do każdej technicznej roboty, tak, nie cofam wyrazu, do *roboty*. Ogół ani się domyśla tych umęczeń i gwałtów, co wewnętrzne życie mistrza czynią podobnym do życia galernika, i może lepiej, że się nie domyśla; straciłby rozkoszne złudzenie, w którym sobie wystawia, że arcydzieła wyskakują z czoła Jowiszowego jak Minerwa nie tylko pełnoletnia i wspaniała, ale ze zbroją, z hełmem i nawet z koturnami. Pamiętam, we Florencyi, zwiedzając pracownię sławnego rzeźbiarza Dupré, wśród wielu posągów mniej więcej ukończonych, zobaczyłam jeden, ohydny... Może zresztą on i posiadał wszelkie warunki

piękności, ale jakżeż miałam o nim sądzić, kiedy był cały nabity igielkami, i to od stóp do głów, i to gęsto, prawie jak u jeża? Przestraszona, zapytałam, czy to jaki męczennik, czy wyobrażenie jakich tortur, któremi dzicy ludzie pastwią się nad zwyciężonymi? Uśmiano się z moich pytań i wytłómaczono mi, że każdy posąg przechodzi przez istne tortury, kiedy ma być z gliny przeniesiony w kruszec. Trzeba sztyfcikami nurtować matematycznie wszystkie jego wklęsłości, nakłuwać go, oblepiać, poddawać dziesięciu szkaradnym operacyom, a kiedy nakoniec z nich wyjdzie, to cały podziobany i pokiereszowany tak, że trzeba znów zagładzać jego tysiączne blizny i ospowatości. Z początku zmartwiło mię trochę to odkrycie... Ja naiwnie myślałam, że posąg po prostu wychodzi *jak ulany*. Jednak po krótkiej chwili zmartwienie zostało zatarte przyjemnością większego odkrycia: pojęłam, że twórczość wszędzie podlega jednym i tym samym prawom, że wszelka myśl, czy się wyraża farbami czy kamieniem, nutami czy słowem, zawsze musi przejść przez tortury, a twórca z nią razem. Tylko tłumowi nie pokazuje się posągu, dopóki jest nakłuty igielkami, ale dopiero wtedy, kiedy go się dźwignie na piedestał.

— I bardzo słusznie — odparła pani Marta. Rzecz wiadoma, że kto chce smaczno jeść obiad, nie powinien bardzo zaglądać do kuchni. Widok przygotowań odejmuje apetyt.

Pomimo obniżenia tonu, do jakiego te słowa nagle ściągały rozprawę, musiałam przyznać pani Marcie, że jej porównanie jest wyborne. Ale pan Cezary, który, jak dostrzegłam, nie znosi *dyssonansów*, strzelił ku niej wzrokiem niechętnym, i coraz więcej do mnie zwracał rozmowę.

— Ach, jak ja odczuwam, — powtarzał, — wszystko co pani mówiła! Bo i gonienie za wielkiem odkryciem jest także nieustanną twórczością. I tu poszukiwacz zdaje się pogrążony w drobiazgowych, czysto mechanicznych działaniach, a jednak ich celem jest zawsze idea, którą z niebios utopii trzeba ściągnąć na ziemię, a nie ściąga jej się bez rozdarcia i ciężkich wysiłen.

— Istotnie, — przerwała znowu pani Marta — musiałeś pan użyć niemało fatygi, choćby już tylko z tego ciągłego patrzenia przez oczko w kortynie; jest czego w końcu przygarbić się i stracić oczy.

— O, przepraszam panią, takie trudności nawet nie wchodziły w rachunek; miałem przecie dosyć sprytu, aby je od razu usunąć. Urządziłem się nietylko z wygodą, ale jak prawdziwy sybaryta; rozparty na fotelu, miałem zwykle po jednej stronie stolik z książkami i piórami, po drugiej ową kortynę z otworem wyciętym na wysokość oczu i dość obszernym, aby można obie źrenice weń zanurzyć; często go nawet

zaopatrywałem w szkło przybliżające. Byłem więc jak człowiek, co sobie siedzi przy oknie z gazetą lub cygarem, i tylko kiedy zechce spojrzeć na ulicę, a rodzajem pedału mogłem wedle woli przyspieszać lub zatrzymać zegarowy pochód przyrządu.—Muszę jednak przyznać, że przedstawiały się pewne nieprzyjemności, na które nie mogłem i nie mogłem wynaleźć środka; i tak na przykład, owo wieczne cofanie się w przeszłość, było dla mnie długo nieznośnym; trudno sobie wyobrazić, jak podobne przewrócenie pojęć nuży mózg i napręży nerwy; z początku dostawałem wyraźnych mdłości, jak osoby, co powozem nie mogą w tył jechać; z latami jednak przywykłem, i to tak dalece, że ów pogląd odwrotny stał się u mnie drugą naturą; nawet wracając do rzeczywistości, myliłem się i wszystko na wspak brałem. Dowód, jak wszelkie nasze władze, nawet pojmowanie, nawet logika, są dziełem przyzwyczajenia.

— Drugą stroną także bardzo przykrą tych scen zwierciadlanych jest ich przerażające milczenie. Ach, jakąż ogromną rolę w państwie życia gra *dźwięk*, pod wszystkimi kształtami, czy muzyki czy słowa, czy jęku czy śmiechu, prostych nawet hałasów! Te hałasy nieraz nam się wydają nieznośne, a jednak powiadam wam, bez nich życie jest dziwnie podobne do śmierci. Na przykład widzieć bal, a nie słyszeć go, to zamiast rozweselenia sprawia przestrasz;

pary kręcą się, ale jak automaty, muzykanci machają smyczkami, ale w próżni. Albo widzieć ludzi, co się kłóca, a nie wiedzieć o co im chodzi? Scena z dramatycznej zmienia się na komiczną.

A już też nic bardziej nie doprowadza do zniecierpliwienia, jak ta niesłychana mnogość obrazów nudnych i niepotrzebnych, które trzeba przelatywać dla doczekania się kilku chwil ciekawych. Dopiero wtedy zdziwiony widz dostrzega, że dziewięć dziesiątych życia ludzkiego schodzi na spaniu, rozbieraniu się i ubieraniu, jedzeniu i marudzeniu. Ach! a te nieszczęśliwe sprzątanie pokojów, jakże mi się dało we znak! Co rano, nieochybnie, chmury kurzu zalegają pokój, wysoka szczotka miga przed zwierciadłem. Ten taniec szczotek w końcu mię już doprawdy tak drażnił, jakby jaki sabbat czarownic; napatrzyłem się tego sprzętu w różnych wiekach i krajach, różnych wielkości i gatunków; byłbym się chętnie obszedł bez podobnego studyum, ale cóż? Zwierciadło ani pyta, nie daruje ani minuty.

W tym ostatnim ustępie, pan Cezary złośliwie zwracał się do mojej towarzyszki, jakby uznawał, że taniec szczotek wkracza we właściwą jej sferę. Poczciwa dama, nie podejrzewając złośliwości, śmiała się dobrodusznie, a on ciągnął dalej:

— Wszystkie te nudne dodatki starałem się mi-

jać jak najprędzej. Za to każdy ciekawszy wypadek, nawet każdy nieznaną szczegół umeblowania lub kostiumu podlegał najsumienniejszym badaniom, i najczęściej na oczekaniu bywał spisany.

— Proszę pana,—przerwała pani Marta— zamiast męczyć się nad opisami, czy nie można było od razu tych scen fotografować?

— Uwaga pani bardzo trafna, cóż kiedy w owym czasie fotografia właściwa jeszcze nie istniała, dopiero dagieurotyp wchodził w modę. Później, w lat wiele później, wpadliśmy na ten sam co i pani pomysł, mam całe album fotografij zdjętych ze świata już nieistniejącego.

— Ach, jakież to ciekawe! zawołałyśmy obie.

— Bardzo. Przy innej sposobności może je pokażę. Teraz wracam do epoki, w której musiałem się zadawać opisywaniem, czasem dodałem rysunek od ręki. Nagromadziły się materiały ogromne; nie sądzicie panie, aby ta jedna księga wszystko zamykała; mam pięć takich infoliów niejako stenografowanych przed zwierciadłem; w tym tomie jest już tylko treść z nich wyciągnięta. Wówczas też to porobiłem owe niezliczone wypisy z dzieł greckich, rzymskich i wschodnich; wprawdzie robiłem je dosyć smutno, wiedziałem, że jeszcze mi téj pracy niewolno zużytkować, ale podtrzymywała mnie nadzieja, że Hallucini kiedyś przecię przypuści mnie do tajemnicy, a wtedy moje studia połą-

czone z jego własnemi, byłyby od razu utworzyły dzieło prawdziwie pomnikowe.

— Jakto?—zawołała pani Marta,—panciągle miałeś pod ręką maszynę cudotwórczą, i nie doszedłeś jój sekretu?

— Wszak pani masz zegarek, codzień go nakręcasz własną ręką, a jednak czyżbyś potrafiła zrobić drugi?

— To prawda.

— Przypuśćmy nawet osobę obdarzoną wrodzonym geniuszem do dzieł mechanicznych. Znaną jest historia pastuszka, co nigdy nie uczył się zegarmistrzowstwa, a jednak mając zegarek, zrobił drugi podobniusięki; ale pastuszkowi wolno było rozebrać przedmiot, co mu za wzór służył, wszystkie kółka rozkładać, mierzyć i trop w trop naśladować, a ja przysięgłem, że nie będę ani dochodził, ani żądał wydania tajemnicy. Czułem się spętany nietylko przysięgą, ale i zobowiązującym zaufaniem Hallucinięgo, który tak mi dowierzał, że przez całe lata zostawiał szkatułkę w moich rękach; z początku sam ją urządzał, potem nawet nauczył mię, jak ją nastawiać i nakręcać. Doskonale rozumiałem budowę przyrządu, który ją w ruch wprawiał, ale na czém polegało wywoływanie widziadeł, tego nie mogłem zrozumieć.

— Czy być może? zapytałam zdumiona.— I ów człowiek przez całe lata nie mówił z panem o swoim wynalazku?

— Owszem, prawie o niczém inném nie mówił. Ale tak umiał mistrzowsko władać słowem, że rozprawiając z niesłychaną obfitością i pozorną swobodą, nigdy się nie zapomniał, nigdy się nie zdradził; powoli wydał mi wszystkie skarby swojej wiedzy, wszystkie, oprócz zagadki, co była ich kluczem. Kilka razy nawet zdawało mi się, że już się wygadał; wkrótce jedném słówkiem niszczył moje złudzenie, a wprowadzał na nowy domysł. I tak, długo byłem przekonany, że cudowna siła leży w blaszce z jakiegoś nowego, nieznanego metalu, który zaścielał dno szkatułki; później mi się zdawało, że cały sekret polega tylko na niezwykłym kształcie i nastawieniu soczewek. Raz też, z jednej rozmowy zrozumiałem wyraźnie, że szkatułka jest tylko narzędziem pomocniczém, a właściwa moc wyciągania obrazów ze zwierciadła, zawiera się w massie chemicznej, którą przesycona jest owa czarna tkanka. Może professor umyślnie naprowadzał mię na fałszywe tory? Może we wszystkich tych przypuszczeniach była cząstka prawdy? W każdym razie, całej nigdy nie posiadałem.

— I dla czegoż nie chciał pana przypuścić do sekretu? spytała pani Marta.

— Któż to zrozumie? Proszę pani, ja tego człowieka nigdy nie rozumiałem. Kilkanaście lat żyłem z nim najpoufalej, a dotąd nie wiem nawet, jakiej był narodowości. Długo sądziłem,

że Włoch. Później widząc jego dziwną łatwość do słowiańskich narzeczy, myślałem sobie, może Serb albo Mołdawianin, Illiryjczyk albo Dalmata, słowem jeden z tych mieszańców, gdzie Rzym i Bizancyum, Alanie i Słowianie zleli się w typ nieokreślony, ale silny. Jego budowa krzepka, zarost prawie niebieski od czarność, zdawały się potwierdzać mój domysł. Ale później porobiłem odkrycia, które mi pomieszały szyki; dostrzegłem, że wszystkich języków świata uczy się z niezrównaną pojętnością, zachowując tylko zawsze jakiś maleńki akcent niepochwytany, którego z niczym nie mogłem porównać. Dostrzegłem, że do każdego kraju przywyka z łatwością lgnącą jak przywiązanie, ale z równą łatwością odwyka i zapomina, widziałem, że o każdej religii mówił z gorącym zapałem, a w gruncie, o ile mi się zdaje, nie miał żadnej. Z tych wszystkich spostrzeżeń wyciągnąłem wnioski, że to musiał być nikt inny tylko Cygan,—uczony, wycywilizowany, ale zawsze Cygan, bez domu, bez ojczyzny, bez wiary w nic ani w nikogo, a jeżeli miał jaką, to przed całym światem zazdrośnie tajoną. Odkryłem, że umie po sanskrycku. Powierzchność jego także zgadzała się z takim pochodzeniem, a co najbardziej za nim świadczyło, to znajomość osobliwszych sekretów przyrodzenia, wyciągnięta pewnie z owój olbrzymiej mądrości indyjskiej, z której wszystkie nauki,

wszystkie wieki czerpią i czerpią, a nigdy wyczerpać jój nie mogą.

— Tak, tak,—przywodziła pół-śmiejąc się pani Marta,—musiał to być Cygan, to też i panna ocygał.

— Już to nie mogę powiedzieć, aby mię w czémkolwiek oszukał. Miałemże prawo czegokolwiek żądać? Przywrócił mi majątek, stanowisko, wszelkie przyjemności życia; byłże to powód, aby się miał jeszcze dzielić ze mną swoim skarbem najdroższym? Nie. — Z początku, wszystkie obowiązki stały po mojej stronie. Później, nasze długi mocno się wyrównały..... O, i jak jeszcze! Dziwiłyście się panie, jakim sposobem doszedłem do nędzy? Odpowiedź bardzo łatwa: miałem Halluciniego.

Tu opowiadający uśmiechnął się z gorzką ironią.

— Gdybym miał żonę zbytnicę i trzech synów utracyuszów, nie wiem, czyby mię tyle kosztowali, co ten jeden człowiek.

— I na cóż on tak wydawał? zawołałyśmy obie.

— Bóg raczy wiedzieć na co. Zawsze mówił, że mu potrzeba ogromnych summ na doświadczenia naukowe, i rzeczywiście prowadził je z wielkim nakładem, ale co jeszcze nierównie więcej pochłaniało, to jego codzienne, niewyczerpane fantazy; zbyt kował po kryjomu, głucho, ale kosztownie. To co on

zwał biedą, byłoby dziś dla mnie prawdziwym dostatkiem, ale bo też w jedzeniu i wszelkich nawyknieniach dochodził do epikureizmu, o jakim pierwój nie miałem pojęcia. I tak naprzykład, najdroższe tytonie nazywał mdłą trawą; jemu potrzebny był *haszysz*, ów narkotyk indyjski, którego tak trudno unasdostać, a jednak musiałem go ciągle sprowadzać za bajeczne summy, bo kilka dni przebytych bez haszyszu wtrącało go w ponurość i rozpacz. Takich niebezpiecznych nawyknień miał mnóstwo; w każdym kraju uczył się nowych, a zwiedziliśmy krajów nie mało. Namówił mię na podróże, na które chętnie przystałem, bo moje rodzinne strony obrzydły mi po kilku latach dla nieustannych dokuczai, jakich doznawałem od obrażonych kuzynów i całej rodziny. Intrygami i obmową tak w końcu mocno podkopali mój spokój, tylu mi narobili nieprzyjaciół, że wolałem się wynieść. Objechaliśmy Europę i dalsze nawet strony. Hallucini prowadził dwór osobny, i z początku wszystko mu ślicznie wystarczało. Bo trzeba paniom wiedzieć, że zaraz po odebraniu spadku, oddałem mu na zupełną własność, urzędownie, czwartą część mojej fortuny.

— To ładnie. Przerwała pani Marta.

— I mnie się też zdawało, że ładnie, ale professor niekoniecznie był mojego zdania; od pierwszej chwili spostrzegłem w nim przykre

zdziwienie; może spodziewał się połowy? Udałem, że nie rozumiem przesadzonych wymagań, jednak ich pamięć mię korciła; zawsze to nie miło wiedzieć, że jest ktoś na świecie, co nas posądza o niewdzięczność. Postanowiłem innemi sposobami go obdarzać, i tysiącem przysług dopełniać miary według niego niepełnej. W głównych stolicach bawiliśmy po roku, czasem i więcej; wszędzie co mogłem, skupowałem dla niego, dla siebie zaś prawie nic, chyba zwierciadła, o! już co tych, tom sobie nie żałował. Dzięki ich mnogości, mogłem studyować różne ludy i obyczaje bez wychodzenia z gabinetu.

— Ale jakże się pan wozileś z takim ogromnym przyborem? Spytała pani Marta.

— Nie miałem potrzeby wozić. Każde zwierciadło wypróżniłem aż do dna, wyssałem niejako z niego całą przeszłość, potem czyściuteńkie odprzedawałem, a na jego miejsce przychodziły inne. Nie mogę jednak powiedzieć, abym żył z samemi tylko zwierciadłami. Nie chcąc uchodzić za oryginała, pragnąc też poznać trochę i mój świat współczesny, oglądałem ciekawości, uczęszczałem do najlepszych towarzystw. Hallucini owszem nie chciał wcale w nich bywać; on wszędzie żył z samą *Bohemią* społeczną, z długowłosą bandą artystów i aktorów, między którymi królował jako Sułtan i Mecenas, pozwalając, aby go bawiono, wielbiono, i—obdzierano.

Twierdził, że tylko w takich kołach istnieje prawdziwa zabawa, a potrzebował jęj czasem gwałtownie, bo całe dni siedział nad księgami jak rabin. W każdém mieście miał dwa mieszkania: jedno urzędowe, tchnące anachoretyczną surowością, przeznaczone do pracy i naukowych doświadczeń, drugie, tylko wtajemniczonym wiadome, kapiące od złota i przepychu. Tam swoim klientom i parasytom wyprawiał bankiety, o których wieść roznosiła babilońskie legendy; ja z samęj prawie tylko wieści je znałem, bo spróbowawszy parę razy tych przyjęć, usunąłem się pełen dziwnego niesmaku, a gospodarz nie nalegał o mój powrót.

— To jednak wiele,—zauważyła pani Marta,—że ten człowiek pana nie popsuł.

— Może jedynie z tęg przyczyny nie popsuł, że miałem do niego wysoką antypatyę. Wymawiałem ją sobie jako niewdzięczność, walczyłem z nią jakby ze złą skłonnością, a jednak nie mogłem go szczerze polubić. Dość było, aby mi jaką przyjemność zachwalił, już traciła dla mnie cały urok,—dość, aby mię do jakiego przedsięwzięcia namawiał, już mię doń odchodziła ochota. Nieraz też spotykałem u niego jakichś ludzi osobliwszych, o zbójcekich twarzach i odartych ubiorach, którzy za mojem wejściem jak widma znikali. Przychodziło mi na myśl, czy to nie Cyganie, z którymi mógł

po całym świecie utrzymywać stosunki, jako rodzaj tajemnego wodza? Ale domysł ten nigdy nie wyszedł z granic przypuszczenia; może to byli po prostu faktorowie, co mu ułatwiali setne interesa; bo miał ich wszędzie pełno; zdaje mi się, że handlował różnemi sekretami, że ludziom za grube pieniądze pokazywał wizye, ale tę całą stronę swego życia ukrywał przedemną, zapewne z obawy, abym się nie dowiedział, że posiada inne źródła dochodów, i nie ujął mu co z mojej szczodroty, bo ten człowiek wszędzie podejrzewał zdradę i wyrachowanie.—Ja nie miałem prawa ani ochoty wtrącać się w jego życie, i choć wiele rzeczy mi się nie podobało, udawałem, że nie widzę ani słyszę, tém bardziej że i on nie mieszał się do mnie w niczém, nie odciągał mię od moich spokojnych upodobań. Czasem tylko z sardonicznym uśmiechem nazywał mię „nie-winiątkiem”, — „fenomenem białości”, — ale na tem kończyła się cała wojna...

Przez kilka lat wszystko szło dobrze. — Nagle, Hallucini stał się ponury i opryskliwy. Pewnego dnia oświadczył mi..... że jego majątek wyczerpał się co do grosza. Tę wiadomość donosił mi spokojnie, jakby rzecz najprostszą w świecie; zdawał się przekonany, że te summy na to mu tylko dałem, ażeby je wydał, i że niezwłocznie nowemi je zastąpię. Zdziwiłem się i przeraziłem, — jednak zdołałem

jeszcze ukryć moje wrażenia, i zapewnić go z niemniejszym spokojem, że nie powinien się zbytecznie martwić, i że póki ja cokolwiek posiadam, nigdy mu niczego nie zabraknie. Tak się też i stało. Wprawdzie, nauczony doświadczeniem, już kapitałów do rąk jego nie oddałem, ale mu wyznaczyłem ogromne dochody, a przytem obsypywałem go darami, starałem się uprzedzać najmniejsze jego życzenia, tak że nie poczuł żadnej zmiany, chyba na lepsze. Przyjmował wszystko z uśmiechem, ale bez wielkich podziękowań, jako dług sobie należny, a jeśli czasem widział, że jego żądania wydają mi się zbyt wygórowane, jeżeli dostrzegł na mojej twarzy wahanie, zawsze umiał jakoś nastawić rozmowę na scenę testamentu, i rzucał mi takie samo spojrzenie, jakie rzucił w owiej pamiętnej chwili, kiedy odtrącając mój pierwszy uścisk, zawołał: „Zobaczmy jak długo ta wdzięczność potrwa.....” Wtedy i mnie chwyciło poczucie honoru, przypominałem sobie, że przyjął wyzwanie, i zgadzałem się z największą gotowością na wszelkie ofiary...

I znów kilka lat upłynęło bez burzy. Wprawdzie ciężkie to zadanie iść przez życie z człowiekiem nielubionym, a z którym wiąże nas powinność nigdy nie mająca końca; to jakby dwaj więźniowie skuci jednym łańcuchem; chcieliby na dwa krańce świata się rozejść, a tymczasem jeden bez drugiego ruszyć się nie może.

— Po co szukać tak dalekich podobieństw?
—Rzekła pani Marta.—Powiedz pan, że to jak stało niedobrane.

— Ma pani słuszność. Oj, niedobrane! Czasem doprawdy żałowałam, że się testament odnalazł; byłbym wolał nigdy nie odzyskać spadku, a mieć ręce rozwiązane i żyć jak inni ludzie. Czasem znowu karmiłem nadzieję, że mego socyusza przerobię; nie wiem, czy grał przedemną komedję, czy istotnie wywierałem wpływ na jego duszę, czy tylko przyzwyczajenie zaślepiąło mi oczy, ale były epoki, w których mi się wydawał jakiś lepszy.

A przytem, — im więcej poznawałem przeszłość tego człowieka, tém się mniej dziwiłem nieufności i goryczy, jakie w nim wyrobiła. Przechodził on przygody straszne, niezaprzeczenie straszne, a co mię zastanawiało: nie szukał w nich żadnej chluby, nie stawiał się jak ofiara, ani jak bohater; nie lubił nawet o tych przygodach mówić, musiałem gwałtem z niego wyciągać opowiadania. Czy uwierzycie panie? Do dziś dnia jeszcze nie wiem, jak się rzeczywiście nazywał. Zaraz po naszym pierwszym spotkaniu oświadczył, że nazwa Halluciniego jest fantazyjnym pseudonimem, i powiedział mi pod sekretem drugie, prawdziwe nazwisko. Ale po kilku latach wyznał, że i to drugie jeszcze nie jest prawdziwem, i wymienił trzecie; a gdy potem kilkakrotnie następowało podobne odwo-

ływanie, sędzę, że wszystkie musiały być fałszywe.

— Podejrzana figura..... Wtrąciła pani Marta.

— Niezaprzeczenie. Ale nie udawał szczerego, jawnie sobie z ludzi żartował. Kazał się nazywać *professore*, a kiedy pytałem, gdzie i na jakiej zasiadał katedrze? mówił, że w Benarès wykładał kurs robienia essencyi różanej, albo że w San-Francisco był professorem deklamacyi. Pod temi bredniami ukrywał on postrach, bolesny i rzeczywisty postrach; zdaje mi się że i włosy, fiałkowe i cała jego postać były sztucznie zmienione, a wszystko to w skutek tragicznego zajścia, jakie w pewnej stolicy miał z pewnym ministrem. Mam porozumienie, że ta stolica leży nad Dunajem, bo w naszych podróżach, z dziwnym uporem nie chciał nigdy jechać do tego miasta, ani nawet przekroczyć granic tego państwa. Nazwiska ministra także się domyslałem, chociaż go ani razu nie wymienił. Musiał to być ów potężny dyplomata, co przez pierwszą połowę naszego wieku trząsł z Wiednią całą niemal Europą, sławny z olbrzymiego rozumu, a jeszcze więcej z szatańskiej przewrotności.

Hallucini, dzięki zdradzieckim zwierciadłom, robił nieraz odkrycia równie ważne i jeszcze ważniejsze niż z moim testamentem. Otóż raz, szczęśliwym a raczej nieszczęśliwym trafem,

odkrywa on okoliczność ogromnej politycznej doniosłości; jaką ona była, nie chciał nigdy powiedzieć, ale twierdził, że mogła zachwiać byt owego państwa, a szczególnie osobiste znaczenie ministra.

Idzie więc prosto do niego, wyjawia mu na wpół swoje odkrycie, podejmuje się za wysokim wynagrodzeniem objawić i resztę, a nawet rządowi tamtejszemu sprzedać sekret zwierciadlany, który w ręku mądrych dyplomatów mógł stać się kluczem nieledwie cudownej wszechwiedzy. Minister słucha go z najżywszym podziwieniem i jeszcze żywszą wdzięcznością, nazywa go wybawicielem, obiecuje mu złote góry, nietylko fortunę, ale zaszczyty i łaski, nakoniec prosi, aby na trzeci dzień się stawił dla ostatecznego podpisania umowy. Professor wychodzi z duszą upojoną, już widzi się u szczytu marzeń. Ale na drugi dzień, pod pozorem jakichś formalności policyjnych nie dosyć ściśle dopełnionych, zostaje nagle przyaresztowany i wtrącony do najgłębszego więzienia. A wiadomo, czém były wówczas tamtejsze więzienia, dosyć czytać Silvia Pellica. Z początku sądził, że czysta pomyłka, pisał dziesięć listów do ministra, nie wątpił, że wszystko stało się bez jego wiedzy, że lada godzina oburzony dygnitarz przyleci, aby go uwolnić i przeproszać. Ale schodziły dni, tygodnie, schodziły miesiące, a nikt się nie zjawiał. Wyobraźcie sobie panie, dziewięć lat przesiedział w *carcere duro*.

— Dziewięć lat!—Powtórzyliśmy z przerażeniem.—I za co?

— A tak, za co? Widocznie, wiedział *za wiele*. Może minister zadrżał nietylko o państwo, ale i o siebie; nie chciał, aby wolno chodził pod słońcem człowiek, przed którym on, potentat, musiał spuścić oczy; może lękał się, aby kiedyś, w chwili złego humoru, groźny mędrzec nie poszedł służyć innym rządóm? Zresztą, więzienny sposób dojścia prawdy był bezpieczniejszy i *tańszy*; po co honorami przytrzymywać ptaszka, kiedy można go przytrzymać w klatce? po co płacić za sekret, kiedy go można darmo wyłudzić torturą? Brano też biednego profesora na męki najwyszukańsze; później, chciano go zmordować latami zapomnienia i grobowej ciszy. Wszystko przetrzymał ze stałością godną lepszej sprawy. Lepszej mówię, bo cierpienia jego nie płynęły ze źródeł najszlachetniejszych; zamiast podzielić się z całą ludzkością swoim wynalazkiem, zamiast z bogacić nim naukę, chciał go obrócić na użytek machiawelizmu, użyć go za narzędzie władzy dla siebie i kilku potężnych intrygantów. Chciał za jego pomocą gubić drugich, zgubił samego siebie. Wszystko to prawda, niemniej przecież był ofiarą godną głębokiej litości, i co przecierpiał, to starczyłoby za nie wiem jakie zbrodnie.—Miał czas na rozmyślania... Zdaje mi się jednak, że nie umiał z nich

wyciągnąć właściwej nauki, bo wyniósł ztamtąd, nie skruchę, nie uznanie sprawiedliwości Boskiej, ale niepohamowaną zawziętość na los i na ludzi. Nie śmiem go potępiać.... Któż z nas może ręczyć, jakimby wyszedł po dziewięciu latach więzienia?

Professor był przekonany, że już nigdy nie zobaczy otwartego nieba, tysiąc razy przeklął swój wynalazek, co miał z nim razem zginąć w tych podziemnych pieklach. Jednak, inna przyszłość była mu przeznaczoną. Zdołał uciec. Jakim cudem? Czy przy obcej pomocy, czy dzięki własnej mądrości? Tego nikomu nie powiedział; ale uciekł tak misternie, że zatarł za sobą wszelkie ślady, i nawet, w umyśle ministra zostawił uspakajające przekonanie, że podczas ucieczki na czólnie zatonął.

Minęły potem lata, Europa w różnych przewrotach jak wąż kilka razy odnowiła skórę, nastąpiły inne czasy, o zbiegu dawno zapomniano, nikt za nim nie gonił, nikt go nie wysledzał, on jednak ciągle zmieniał nazwiska i postacie, widmo więzienne wszędzie za nim chodziło, i nawet w czasach, kiedy go poznałem, jeszcze zdawał się żyć pod nieustanną groźbą.

Całą tę historję podchwyciłem tylko z urywków, z niedokończonych wyznań, i nigdy może nie byłbym dobrze jęj zrozumiał, gdyby nie przypadkowa okoliczność, która mię na prawdopodobny ślad naprowadziła. Dostałem

zwierciadło niezmiernie ciekawe; było z boku nadpęknięte, ale środek jeszcze wybornie pokazywał; w niém znalazłem ani mniej ani więcej tylko żywy dyaryusz kongresu wiedeńskiego. Musiało to lustro wisieć w głównej sesyjonalnej sali; później dla owego uszkodzenia pewnie zostało wyrzucone i nowém zastąpione, a nikt się nie domyślał, że z niém razem wyrzucono hieroglify przeszłości, i że znajdują się ludzie, którzy je potrafią odczytać. To zwierciadło niezmiernie mnie bawiło; dla mojej wyłącznej uciechy odbywały się po raz drugi wszystkie te olbrzymie posiedzenia, którym w historii niewiele jest równych, bo na tym kongresie około pięciuset członków zasiadało. Przeciągały przedemną postacie monarchów i całej ówczesnej dyplomacyi, która liczyła tylu mądrych a strasznych ludzi; poznawałem ich łatwo z portretów, a żywo mię obchodzili, bo wielu z nich jeszcze żyło i światem kierowało; dziś nawet podobno jeszcze się niektórzy trzymają.— Pewnego dnia, w najlepsze się przyglądam i spisuję scenę, kiedy do mnie wchodzi Hallucini. Wołam uradowany — A! Jakże się cieszę z odwiedzin, chodź pan prędko i patrz, jak się to robią tytaniczne bigosy.— Professor siada, patrzy w okienko, a ja mu jakby w szopce, wymieniam figury, które już wystudyowałem: Oto wążka, idealnie lisia sylwetka Talleyranda..... tu znowu smocza głowa Harden-

bergą..... tam z boku siedzi Nesselrode, rysy nieruchome i bezkolorowe jakby z lodu.....

Podczas moich uwag, w głębi zwierciadła drzwi się otwierają i wchodzi człowiek z profilem szakala, z piersią okrytą gwiazdami.— O, teraz patrzmy,—wołam,—oto prawdziwy monarcha kongresu, książę Metternich.....

Mówiłem najspokojniej, a tu mój professor jak się nagle zerwie..... z krzykiem lwa zranionego, rozdarł zasłonę, i pięścią uderzył w zwierciadło tak, że je rozbił na szuki, wołając w najgwałtowniejszym gniewie: „O! Ten człowiek! Ten człowiek!.....”—Po chwili ochłonął, zmieształ się i tłómaczył w sposób niezrozumiały—ale ja zrozumiałem wiele,—zrozumiałem nade wszystko, ile musiał wycierpieć, kiedy on, sfinks niewzruszony, oś ~~stóp~~ do głowy zakuty w zimną ironię, mógł unieść się do takiego zapomnienia.

O tak..... wycierpiał wiele,—bo nie dość na tém wszystkiém, co opowiedziałem.... w jego życiu zaszło jeszcze inne rozczarowanie, może gorsze, boleśniejsze..... zawód, który istotnie mógł na zawsze wyleczyć ze wszelkiej wiary do ludzi.

— Cóż znów takiego? zapytała pani Marta coraz goręcej zajęta.

— Ja nie byłem pierwszym jego uczniem. Przed wielu laty, we Florencyi, spotkał młodzieńca zachwycającego rozumem, wymo-

wą i wszelkimi darami Nieba. Młody człowiek nazywał się Angelo, zdawał się też do bry jak anioł, a do mistrza przywiązany jak gdyby syn z ducha. Professor dał się zupełnie podbić jego urokowi, przypuścił go do wszystkich swoich tajemnic, dzielił się z nim zyskami i chciał się podzielić przyszłą chwałą.—Aż tu dnia jednego, wszedłszy przypadkiem do introligatora, spostrzega świeżą, wilgotną jeszcze książkę, w której Angelo całe jego odkrycie ogłasza za swoje, szczegółowo je objaśnia, i z najbezczelniejszą dumą się niem chwali. Autor potrafił całą robotę wydawniczą przeprowadzić w ścisłej tajemnicy; dzieło było już wydrukowane w dwóch tysiącach egzemplarzy, za kilka dni miało się na świat ukazać, tylko jeszcze je zszywano i brakowało okładek.—Hallucini, płacąc podstępem za podstęp, z niesłychanemi ofiarami całą edycję zakupił i zniszczył, a zdrajca Angelo...

Tu pan Cezary się zatrzymał.

— Cóż zdrajca Angelo? powtórzyłyśmy obie.

— Kiedy pytałem profesora, co się z Angelem stało, odpowiedział: „Nemezys go dosięgła —umarł w samą porę.”—Mówił to z takim niedobrym uśmiechem, że mróz mi przeszedł po kościach. Pytałem w duszy ze drżeniem, czy ta śmierć nie przypadła jakoś nadto w porę, i czy nie mistrz sam podjął się roli Nemezys? Może go posądzam najniesłuszniej.... mo-

że umyślnie rzucił podobne pół-słowo, ażeby tylko mnie nastraszyć? Bądź co bądź, takim to sposobem Hallucini uratował swój sekret, a stracił reszty swojej swobody i ufności.

— Ale proszę pana,—zapytałam,—dla czegoż Hallucini sam nie wydał dzieła o swoim odkryciu? Byłby tym sposobem najlepiej ugruntował swoje prawa, jeżeli notabene je posiadał, bo i on może otrzymał ten sekret od innych?

— Nie myli się pani, otrzymał go od innych, i wcale się z tém wyznaniem nie taił. Czy go wyczytał w starych księgach, czy posłyszał od mistrzów, co go sobie ustną tradycją podawali, tego nie określał wyraźnie, ale nigdy odkrycia nie podawał za własne, i owszem bardzo szeroko się rozwodził nad jego historją, bo ten wynalazek ma całą historję, i dawne wieki doskonale go znały, chociaż pod różnemi zasłonami.

— Powiadasz pan,—przerwała pani Marta,—że dawne wieki to wiedziały? Czemuż jednak, aż do dnia dzisiejszego, nigdy o czémś podobnem nie słyszano?

— Przepraszam panią, i bardzo słyszano. A czémże były *magiczne zwierciadła*?

— Aha, prawda!—zawołałyśmy obie z przyjemném uczuciem osoby, co w ciemnym labiryncie nakoniec trafia na wyjście.

Ja jednak po chwili dodałam:

— Ale tym sposobem, to każde zwierciadło może być magiczne?

— A, ma się rozumieć!—potwierdził pan Cezary.—Dawniejsi uczeni, czyli jak ich wówczas nazywano czarnoksiężnicy, czarodzieje, dla utrzymania sekretu pletli tłumom niestworzone bajki, tłómaczyli, że zwierciadło powinno mieć takie a takie kształty, przejść przez różne zakłęcia, ale między sobą śmieli się z tych fałszowanych recept, i wiedzieli doskonale, że magia leży nie w zwierciadle, ale w mechanicznym przyrządzie, który na nie działa.

— I dla czegoż,—zagadnęła pani Marta,—ukrywali rzecz tak nieszkodliwą a dla nauki użyteczną? Cóż im z tego ukrywania przyszło?

— Bardzo wiele. Najprzód aureola nadprzyrodzonej potęgi, potem zysk pieniężny. Weźmy nawet prostych kuglarzy, na czémże zależy ich powodzenie? Na znajomości różnych drobnych sekrecików, których całą wartość stanowi tajemnica. Gdyby publiczność raz się ich dowiedziała, niktby już nie chciał patrzeć, ani, co gorsza, płacić za wejście do sali. Tak samo z sekretem zwierciadlanym; gdyby raz go wprowadzono w dziedzinę poważnej nauki, stałby się własnością wszystkich, każdy mógłby sobie wywoływać przeszłość, odkrywać rzeczy ukryte, a wtedy już po całej magii! Dopóki zaś spoczywa tylko w ręku wybranych jednostek, cóż to dla nich za olbrzymie pole do wyzyskiwania ludzkiej ciekawości, namiętności i uczuć! Od wieków, po wszystkich krajach, zawsze

słyszeć było o guślarzach, czarownicach, znachorach, co umieli odnajdywać rzeczy zaginione, odkrywać tajemnice familijne i polityczne, pokazywać na żywe oczy nieboszczyków. Te wszystkie podania uchodzą dziś u ludzi naukowych za baśnie, a jednak stare książki tak są niemi przepelnione, tak solennie i urzędownie je stwierdzają, że człowiek rozsądny pyta w końcu: czy podobna, aby całe wieki dały się oszukiwać? Otóż wynalazek zwierciadlany pokazuje, że to wcale nie były oszukaństwa ani czcze fantasmagorye, dziś widzimy, że można odnajdywać rzeczy zaginione jak Hallucini odnalazł testament, że można pokazywać nieboszczyków jak Hallucini pokazał mi opiekuna i tylu innych, że można podpatrzeć tysiąc tajemnic, których znajomość pozornie wygląda na czary...

Tak, moje panie, czarów nie ma, a raczej wszystkie czary są, ale wszystkie dadzą się wytłómaczyć środkami czysto przyrodzonymi. To też ludzie prawdziwie rozumni, ludzie genialni, o niczem nie śmieją ostatecznie wątpić. Mędrak w swojej pysze kręci głową i mówi:— Ponieważ nie rozumiem, jakim sposobem to się mogło zrobić, więc nie mogło się zrobić.— Stój mędrku! Świat się nie kończy na tobie. Czego ty ani twój wiek nie rozumiecie, to może dla innych wieków stanie się tak jasnym i powszedniem, że każdy żak będzie to pojmo-

wał.—O! Człowiek wyższy bywa zawsze pokornym; w granicach swojej wiedzy rozbiera i sądzi, ale po za temi granicami zawiesza sąd i czeka. Taki naprzykład Göthe, który przecież należy do najtrzeźwiejszych myślicieli, i który pół życia poświęcił naukom przyrodzonym, z jakąż on oględnością, z jakim uszanowaniem wyraża się, ile razy przyjdzie mu potrącić o magię.....

— No, proszę pana,—przerwała pani Marta,—on przecież wiersze pisał, to jemu wszystko wolno.

— Tak pani; ale w tych wierszach, w tej poezji, czujemy wyraźnie, że czary nie są przedstawione jako proste zmyślenia; czujemy, że poeta do pewnego stopnia sam w nie wierzy, i tém najwięcej nas oczarowuje. Nie próżno on do swego Fausta naczytał się tylu ksiąg magicznych; umysł tak wielki nie mógł przeoczyć prawd, co się tam kryją pod rebusami i allegoryami; jako wieszcz prawdziwy, umiał zgadywać *sens ukryty*, niewypowiedziane dopowiedzieć, a nawet zdaje mi się, że więcej wiedział, niż powiedział..... On i zwierciadlanej zagadki się domyslał.....

— Zkądże to pan wnosisz? zapytałam niepomału zdziwiona.

— Z kilku obrazów zawartych w Fauście, w tej przepaścistej księdze, o której sam Göthe mówił, „że ludzie będą musieli dużo się namor-

dować, nim odgadną wszystkie sekreta, jakie tam pozamykał.”—Otoż najprzód, w jaskini u Czarownicy, podczas kiedy Mefiſtofeles przyrządza ze starą wiedźmą napój odmładzający, Faust zatrzymuje się przed wiszącym na boku zwierciadłem, i spostrzega w niem postać kobiecą; ta postać go zachwyca, przykuwa, ta postać jest dla niego pierwszém objawieniem piękności i miłości, owego *das ewig Weibliche*, co go kiedyś ma zbawić. A jednak w jaskini, oprócz ohydnej czarownicy, nie ma żadnej innej kobiety; jestto więc odbicie istoty; co dawniej się w niem przejrzała, Małgorzaty czy Heleny, w każdym razie odbicie *przechowane*. I uważajcie panie, że kiedy autor do innych scen magicznych używa tylu zaklęć, formuł i ceremonij, tu wszystko odbywa się po prostu, bez żadnych wywoływań ani dziwactw; ta to właśnie cudowna prostota dowodzi, że Göthe uważał widzenia w zwierciadłach za zjawisko czysto naukowe.—Albo w drugiej części Fausta, czy nie jeszcze wyraźniejszy dowód? Karawana bożków morskich, Trytonów i Nereid, wyprawia się na zdobycie Kabirów, tych bóstw tajemniczych, o których jeszcze, Homer mówi jako o największém z misteryów, bóstw niepojętych dla samych nawet bogów, a których ludzkie oko nigdy nie oglądało. I oto wracają z wyprawy, i wiozą tryumfalnie, ale co? Nie samych Kabirów, bo tych nigdy nikt nie zdobę-

dzie, wiozą tylko zwierciadło z płyty sztyldkretowej, w której Kabiry się przejrzały, wiozą odbicie ich postaci, jedyny sposób, w jaki ludzie i niższe duchy mogą widzieć tych niewidzialnych. A co? Więc Göthe wiedział, że przedmiot, raz odbity w zwierciadle, nie ginie, ale w niém zostaje.

Tu miałam ochotę wtrącić nie jedną uwagę,—pan Cezary nie dał mi dojść do słowa, zapalając się coraz mocniej, zawołał:

A Mickiewicz? On jeszcze wyraźniej, a jeżeli nie wyraźniej, to jeszcze głębiej niż Göthe określił tajemnicę, o której mówimy. I nie mogło być inaczej; on także należał do tych *wszystko-wiedzących*, co pod nagłym światłem natchnienia czytają w księdze wewnętrznej. Każdy z nas nosi w duszy taką księgę *wiedzy pierwotnej*, ale prawie nikt nie domyśla się, że ją ma w sobie. A! gdybyśmy umieli ją otwierać, nie potrzebowalibyśmy niczego się uczyć. Cóż kiedy najczęściej ta księga aż do śmierci bywa zamknięta na siedm pieczęci? Tylko ludzie obdarzeni geniuszem, albo (co jeszcze lepsze) posłuszni wskazówkom łaski, umieją czasem odchylić tam jakąś kartkę i wyczytać jakiś urywek, a potem świat się dziwi, zkąd ci ludzie wiedzieli, jakim sposobem przepowiedzieli rzeczy, które w historyi albo w nauce później się dopiero pojawiły? — Zastanówcie się panie nad pysznym wierszem Adama o

Twardowskim, a przyznacie, że wiedział niezaprzeczenie, co to jest zwierciadło *magiczne*.

— Przepraszam, — zagadnęła moja towarzyszka, — ja tam nie widzę ani słówka o żadnym zwierciadle, chyba że pan cały wierszyk uważasz za moralne zwierciadło, w którym się złe żony mogą poznać?

— Ach! moja pani, jak widzę, między nami jest nieporozumienie: ja nie mówię o tej krotchwilnej przypowieści, którą Mickiewicz cisnął w jakimś przystępie urazy do płci pięknej, i którą ochrzcił nazwiskiem biednej pani Twardowskiej; mówię o wierszu zupełnie innej wagi, innej doniosłości: miałem na myśli ową *Piosenkę dziecięcia*, „ulubioną i tyle powtarzaną razy, o zaklętym młodzieńcu przemienionym w głazy,” która stoi między Fragmentami z *Dziadów*, temi, co zostały najpóźniej wydane; według mnie to jeden z najczystszych brylantów Mickiewiczowskiej kopalni, a jednak mało kto się dotąd na nim poznał; ten wiersz olbrzymi, gromami kuty, jest daleko mniej znany i mniej ma rozgłosu, niż owa żartobliwaballadka. Może i panie go nie znacie?

Pani Marta rzeczywiście nie znała tego Fragmentu. Pan Cezary przerzucił parę kart swojej książki i zaczął czytać:

Wyłamawszy zamku bramy,
Twardowski błędził wśród gmachów,
Biegł na wieże, schodził w jamy.
Co tam czarów! co tam strachów!

W jedném sklepisku zapadłem,
 Jak dziwny rodzaj pokuty!
 Na łańcuchu, przed zwierciadłem,
 Stoi młodzieniec okuty.

Stoi, a z ludzkiej postaci,
 Mocą czarownych omamień,
 Coraz jakąś częśćkę traci,
 I powoli wrasta w kamień.

Aż do piersi już był głazem,
 A jeszcze mu błyszczą lica
 Męstwa i siły wyrazem,
 Czułością świeci źrenica.

„Kto jesteś,” — zakłęty rzecze, —
 „Coś te gmachy zdobył śmiało,
 „Gdzie tak, mnogie pękły miecze,
 „Tylu wolność postradało?”

— „Kto jestem? O, drzy świat cały
 „Przed mą szablą, na me słowa
 „Wielkiej mocy, większej chwały:
 „Jestem rycerzem z Twardowa.”

Młodzieniec dziwi się téj nazwie Twardowa,
 o której za jego czasów nie słyszano.

„Nie zgadnę, jak długie lata
 „Mogłem w więzieniu przesiedzieć;
 „Ty świeżo wracasz ze świata:
 „Możesz mi o nim powiedzieć.”

Więc wypytuje się o chwałę Olgierda, o brzegi Świtezi, o swoją Maryllę. Twardowskiego niecierpliwą te rzewności. Odpowiada:

„Po co pytać? Czasu strata!
 „Gdy cię wyrwę z téj opoki,
 „Wszystkie ciekawości świata
 „Własnymi odwiedzisz kroki.

„Znam czarodziejską naukę,
 „*Wiem dzielność tego zwierciadła;*
 „Wraz go na drobiazgi stłukę
 „By z ciebie ta larwa spadła.”

To mówiąc, nagłym zamachem
 Dobył miecza i przymierza;
 Ale młodzieniec z przest్రachem:
 „Stój!” zawołał na rycerza.

„Weźmij zwierciadło ze ściany
 „I podaj je w moje ręce;
 „Niech sam skruszę me kajdany
 „I uczynię koniec męce.”

Wziął i westchnął; lice zbladło
 I zalał się łez strumieniem,
 I pocałował zwierciadło—
 I cały stał się kamieniem.

Ach, co to za arcydzieło! Co ten młodzieniec musiał tam widzieć, żeby aż skamienieć

z podziwu, z przestachu, może z żalu? Bo przecież nikt nie przypuści, aby miał się przyglądać jedynie odbiciu własnej osoby? Takie widowisko byłoby niesmacznym powtórzeniem historyi greckiego Narcyza,—nie, on tam widział coś więcej..... Ach, możnaby tomy o tém pisać. O tych kilkunastu strofach możnaby powiedzieć jak o Fauscie, że wieki miną nim ludzie zgłębią wszystkie tajemnice tam złożone.

Tak rozprawiając, pan Cezary wracał się jeszcze do różnych strof na wrywki, głosem niejako podkreślał niektóre wyrazy, lubował się w każdym wierszu, zwłaszcza w dwóch ostatnich:

I pocałował zwierciadło—

I cały stał się kamieniem.

Ja także byłam zachwycona. Jednak, szczerze mówiąc, te ustępy z samych poematów czerpane, nie wydawały mi się *dowodami* w przedmiocie, który wymagał podstaw naukowych. Ale nie miałam odwagi buntować się głośno przeciw powadze poezyi, a przytém chodził mi po głowie inny, ważniejszy zarzut, z którym pilno było mi wystąpić.

— Pan tedy chcesz za pomocą zwierciadeł wytłómaczyć wszystkie widzenia? Zgoda, póki chodzi o wypadki już minione, o postaci osób nieżywych,—ale te same legendy, na które się pan powołujesz, opowiadają jeszcze inne rze-

czy: mówią o pokazywaniu duchów, nie samego kształtu nieboszczyków, ale prawdziwych duchów,—a co więcej, mówią bardzo często o wyjawianiu przyszłości. Tu już nie wiem na co się zdadzą zwierciadła, które w każdym razie tylko przeszłość mogą pokazywać?

— Najprzód proszę pani, co się tycze widywania duchów, twierdzę śmiało, że zawsze jest łatwiej zobaczyć je w zwierciadle niż w rzeczywistości. Panie patrzycie na mnie ze zdziwieniem i z niedowierzaniem? Zaraz się wytłómaczę. Duchy rzadko ludziom się pokazują, bo je wstrzymuje obawa bardzo słuszna: wiedzą, że człowieka nieprzygotowanego, widok ich może po prostu—zabić... Nie mówię tu o wizjach wypływających ze świątobliwości; z takimi wizjami Bóg zsyła razem i siłę ich zniesienia. Ale dla ludzi żyjących po ziemsku, zakutych jeszcze w skorupie zmysłowej, wszelki widok nadprzyrodzony bywa niebezpieczny. Naszą naturę fizyczną ogarnia wówczas lęk śmiertelny, którego żadna odwaga duszy ani rozumu nie przemoże. Zresztą ta odwaga jest czystą fanfaronadą; nieraz mówimy, żebyśmy nie wiem co dali, aby zobaczyć ducha, a niech nam się objawi najlżejszy znak z tamtego świata, już truchlejemy aż do głębi wnętrzości,—i nie tylko my, ludzie słabych nerwów, ale najwaleczniejszy wojak, najdumniejszy filozof struchleje. Słyszałem nawet między gminem

wieść dosyć rozpowszechnioną, że każda *śmierć nagła* jest niczém inném, jak tylko niespodzianém, piorunującym zobaczeniem ducha.—Ów postrach nikomu nie uwłacza, nikogo nie powinien dziwić, jest to po prostu wrażenie konania, pierwszy przełom śmierci, który musimy koniecznie przebyć, jeśli chcemy spotkać się z tymi, co już śmierć przebyli.—Duchy to rozumieją, to też chodzą koło nas nadzwyczaj nieśmiało, dają nam drobnouchne sygnały, byle nas ostrzedz o swojej obecności, i wypróbować stopień naszego postrachu. Najczęściej lubią tynek wyrzucać z muru, albo zapukać w ścianę, albo klamkę spuścić. Takie znaki wydają się na pozór śmieszne i dziecinne, a jednak są wzruszające, gdy wspomnimy, że pochodzą z ich wzajemnej obawy; ach, bo i one się boją,—nie śmieją wyraźniej się objawić,—a źródłem tej trwogi jest nietylko troskliwość o nas, (między duchami bywają i złośliwe, któreby może chętnie nam szkodziły), ale także poczucie własnej, strasznej odpowiedzialności, bo według powszechnie znanego podania, *duch odpowiada za życie osoby, której się pokazuje*, odpowiada jak żywy człowiek, i śmierć tej osoby, sprawiona nieopatrznie spotkaniem, jest mu poczytana za proste *zabójstwo*.—A jednak, duchy nieraz pragną nas widzieć! Jak my tęsknimy do nich, tak one tęsknią do nas; lubią odwiedzać miejsca, gdzie dawniej mieszkały; to też krążą pomię-

dzy nami, ale ostrożnie, biorąc się na różne sposoby i wybiegi. I tak, najczęściej przycho-
dzą w nocy. Lud rozumie to doskonale, kiedy
twierdzi, że pianie kura je wystrasza; istotnie,
pierzchają przed światłem dzienném, nie z za-
dnej antypaty do samego światła, ale z obawy,
aby dzień ich nie zdradził oczom ludzkim. Za
to noc dla nich bardzo dogodna. Nie bez przy-
czyny też dzieci mają wrodzony i taki nieprze-
party wstręt do ciemnego pokoju; czują tam
obecność istot niezrozumiałych, — z posłuszeń-
stwa pójdą, ale będą drżały i pośpiewywały dla
dodania sobie fantazyi. I my starsi, jeszcze
nieraz podlegamy tym ostrzegawczym instyn-
ktom. Wiadoma rzecz, jak jest niemiło siedzieć
w wieczór w oświetlonym pokoju, kiedy drzwi są
na roścież otwarte do drugiego, ciemnego; te
drzwi otwarte nas korcą, zdaje nam się, że
z nich coś wyjdzie, że z nich coś na nas patrzy;
i nie próżne to przeczucie: rzeczywiście nieraz
duch stoi tam i patrzy, rad, że nas widzi, sam
pozostając niewidzialnym. O! Gdybyśmy pil-
niej badali tysiące drobnych wskazówek, zrozu-
mielibyśmy, że stosunki z innymi światami nie
są tak zupełnie zerwane, jak się na pierwszy
rzut oka wydaje. Sięgnijcie panie we wspo-
mnienia wszelkich czasów i krajów: nie ma prawie
ruiny, gdzieby według legendy jakiś duch się
nie błakał; tak, najczęściej one osiadają na
pustkowiu, aby żyjącym oszczędzać swego nie-

bezpiecznego widoku. Są jednak między niemi i śmielsze, które zachodzą aż do mieszkań naszych, tylko czynią to bardzo przezornie, w godzinach, w których śpimy, albo kiedy wyjdziemy z domu. Wiadomo, jak w pustych pokojach często coś trzeszczy i szemrze; to one, korzystając z chwilowej swobody, chodzą sobie bez obawy, oglądają miejsca niegdyś drogie, przepatrują rzeczy służące nam do codziennego użytku, czytają nasze rękopisma, i cieszą się tém wszystkiém, jak my rozrzewniamy się nad pamiątkami po nich pozostałemi. A w tych wędrówkach po mieszkaniu, przesuną się nieraz przed zwierciadłem, i niechcący zostawią w niém odbity swój obraz. A co? Widzicie panie, doszliśmy do celu. nie próżno twierdziłem, że ducha łatwiej zobaczyć w zwierciadle niż w rzeczywistości. Ja sam nieraz widziałem..... to jest..... przysiędzbym nie przysięgł, czy to były duchy? W każdym razie widywałem jakieś słupy szare, niewyraźne, zwłaszcza w scenach żalobnych, jak na przykład przy śmiertelném łożu mego opiekuna..... W takich godzinach jest najwięcej podobnych zjawisk; ludzie mówią, że duch wyszedłszy z ciała, nie może jeszcze przywyknąć do swego nowego stanu, i krąży przy zwłokach przez kilka dni, aż do pochowania ich w ziemi; mówią nawet, że boi się własnego trupa, i z téj to przyczyny jest zaleconém, aby zawsze ktoś przy zwłokach czu-

wał. — Tych wszystkich mniemań bynajmniej nie podaję za pewniki, może kiedyś dopiero potrafię je lepiej sprawdzić. — Długo brałem te mętne słupy za pył, co wiruje w promieniu przepuszczonym przez szparę okiennicy, albo za cienie rzeczywistych osób i przedmiotów, które mogły stać w taki sposób, że tylko cień ich dosięgał zwierciadła... Nakoniec, na powtarzane wciąż moje pytania, Hallucini objaśnił mi, że to są duchy, a ich niewyraźność tłumaczył niedokładnością maszyny, która rzeczy ludzkie wybornie odbijała, ale dla nieludzkich była jeszcze za słabą. Obiecywał jednak, że z czasem.....

Pani Marta, która podczas całego ustępu o duchach, trącała mię łokciem i usta ręką zasłaniała, w tej chwili wybuchnęła zupełnym śmiechem, wołając:

-- Ależ proszę pana, jak duchy się zwiedzą, żeście je państwo podpatrzyli, to zaczną jeszcze ostrożniej chodzić, tak, aby nawet ich odbicie nie padło na zwierciadła, i wtedy będzie po wszystkiém.

— Najprzód,—odrzekł poważnie pan Cezary, choćby obawy pani się sprawdziły, jeszcze zostanie nam przeszłość; duchy już narozrzucały w zwierciadłach tyle swoich obrazów, że mielibyśmy cały ich świat do studyowania. Ale próżne obawy, bądź pani spokojna; wynalazek nasz nie spłoszy duchów, bo one są mądre, one

dobrze wiedzą, że ich obraz *odbity* nie sprawia przerażenia. Ja przecież nieraz je w ten sposób widziałem, a jednak żyję; nie pamiętam nawet, abym kiedy się ich na prawdę przeląkł, dopóki zwłaszcza nie powiedziano mi, że to są duchy. Pani patrzysz nieraz na portret umarłej osoby i wcale go się nie boisz, a gdyby jej duch ci się pokazał, choćby podobniusięki do tego malowidła, sprawiłby wrażenie całkiem inne? Odbicie w zwierciadle jest także rodzajem portretu...

W tém miejscu ja się wtrąciłam:

— To prawda. Słyszałam o wielu osobach, co miały wizyę w zwierciadle, dostrzegły na przykład białą figurę za sobą, a zniosły ten widok dość odważnie; wprawdzie taka wizya zawsze bywa poczytywana za wróżbę nieszczęścia, jednak w saméj chwili nie przejmuje wielkim postrachem. Wszak i owe dziewczęta, co w wilię Świętego Andrzeja siedzą przed zwierciadłem dla przekonania się, kto będzie ich przyszłym, nieraz podobno go widują, a jakoś nie słycać, aby która umarła ze strachu? Miałeś pan słusność, portret a oryginał to wcale co innego. Pańskie teorye niesłuchanie mię pociągają. Wielu osobom, — tu spojrzalam z pod oka na moją towarzyszkę, — mogą się one wydawać zbiorem zabobonów i przywidzeń, ale ja, zanadto wierzę w możebność stosunków z innym światem, zanadto jej pragnę i do niej

tęsknię, ażeby jakiegokolwiek przypuszczenie odrzucać na lekko. Jednak ze mną nie łatwa sprawa, jeszcześmy nie skończyli... We wszystkim, co się tycze duchów, dobrze, daję panu za wygraną, ale największa trudność zostaje do rozwiązania: przyszłość. Tu ciekawa jestem, jak pan sobie poradzisz? czy dowiedziesz nam, że i przyszłość można widzieć w zwierciadle?

— Ja też nie mówiłem, aby można ją widzieć w zwyczajném zwierciadle, kryształowém. Są inne zwierciadła... Ale toby za daleko mnie zaprowadziło...

Tu pan Cezary zastanowił się i zawahał. Po dłuższej chwili podniósł głowę:

— Ha! Kiedy już tyle powiedziałem, dopowiem i resztę, chociaż tylko w głównych zarysach, bo gdybym chciał tłómaczyć cały system Hallucinięgo, musiałbym wykładać kurs kilkomiesięczny, może i kilkoletni...

Na wspomnienie kursu „kilkoletniego,” twarz pani Marty wyraziła rozpaczliwy przestrah.

— Nie bójcie się panie; wiem ja dobrze, jak trzeba rozumować z tą połową rodu ludzkiego, którego główną zaletą jest *zmysł odgadywania*. Mężczyzni żądają wywodów ścisłych i wyczerpujących, damy się owszem niemi niecierpliwą, wolą szkic leciuchny, który można „dośpiewać w duszy.” A więc będziemy szkicowali. — Widząc, jak Hallucini robi i robi doświadczenia, które nigdy go nie zadawałają, widząc, jak męczy się w poszukiwaniach...

— Przepraszam pana, że zaraz na początku przerywam; ale chciałabym wiedzieć, czego on jeszcze szukał? Przecież już posiadał sekret zwierciadlany?

— Ja też go się o to samo pytałem, to samo zdziwienie sto razy wyrażałem. Długo zbywał mię tajemniczym uśmiechem, aż dopiero po kilku latach, gdyśmy doszli do większego zaufania, pewnego razu wynurzył się:

„Mój kochany Cezary, już czas ci powiedzieć, że ten wynalazek, co tobie wydaje się olbrzymim, w moich oczach to jeszcze za ledwie drobnostka, zupełnie jakby dziecko w kolebce. Nie przeczę, że ma wielkie znaczenie, jako zawiązek przyszłych odkryć, bez niego nie byłoby czém zacząć, ale gdybym go zostawił w takim stanie, w jakim spoczywał od czasów Trysmegisty, w jakim poprzednicy mi go przekazali, nie miałbym prawa do żadnej chwały. Przyszła chwila rozkwitu dla nowój nauki. Nasza epoka jest pełna takich rozkwitów niespodzianych, takich dojrzewan pozornie nagłych, a na które wieki się składały. Wszak astronomia i chemia, przez całe tysiące lat śniły sobie w astrologicznych i alchemicznych powijakach, aż dopiero niedawno, prawie w naszych oczach, wyrosły na poważne, prawdziwe nauki? Tak i ja, z urywków, hieroglificznej magii zwierciadlanej, chcę wyprowadzić prawdziwą naukę, i wyprowadzę! Wtedy dopiero będę miał co ogłaszać i czém

się unieśmiertelnić. W poszukiwaniach już zaszedłem niezmiernie daleko; chodzi mi tylko o wydoskonalenie téj maszyny, którą dotąd widzisz w stanie najpierwotniejszego dzieciństwa, a która tém będzie w porównaniu do przyszłej, czém oczne rury Chaldejczyków do dzisiejszego teleskopu. Im silniej potrafi pokazywać, tém szersze pole otworzy do badania. Bo za prawdę mój Cezary, gdybyśmy mieli ograniczyć się na samych lustrach ze szkła i merkuryszu, nie dalekobyśmy zaszli. O nie! Wkoło nas jest więcej zwierciadeł. Wszystko jest zwierciadłem.

„A najprzód, oczy ludzkie. (A nawet i zwierzęce). Nauka dziś dowiodła, że w każdym oku przedmioty zostawiają swój wierny chociaż zdrobniały obraz, i tych obrazków gromadzą się całe stosy; kto wie, czy to nie one stanowią *księgę pamięci*? Najsilniej tę własność objawia oko, które długo pozostawało w ciemności; wtedy wewnątrz jego zarasta jakimś osobliwszym, gorąco-purpurowym osadem, na którym przedmiot, odbity w nagłym świetle, rysuje się tak wyraźnie, że można go z zewnątrz najdokładniej rozeznąć. Próbowano już nawet zastosować to odkrycie do badań sądowych, naprzykład w razie zabójstwa, którego sprawca pozostawał niewiadomym, chciano w oczach ofiary odszukać jego wizerunek; ale próby okazały się omylne, często nawet nawodzące na fałszy-

we domysły, bo oko pokazywało zawsze tylko *ostatnią* scenę, jaka się przed niem przesunęła, a ta ostatnia mogła być długim konaniem oddzielona od chwili samej katastrofy; do jej wytlómaczenia sąd byłby nieraz potrzebował wielu scen poprzednich, pod tamtą odrysowanych, a tych już nikt nie mógł dopatrzeć. Otóż Hallucini obiecywał, że kiedyś, jak ze zwierciadła tak i z oka będzie można wyciągać *wszystkie* warstwy odbić, i już nie allegorycznie ale na prawdę czytać z oczu człowieka jego przeszłość, odbudować wszelkie a wszelkie obrazy, na które patrzył od swego urodzenia.

— Oj,—przerwałam ze śmiechem,—nie wiem, czyby każdy poddał się téj operacyi? czyby chciał drugim pokazać wszystko, na co kiedykolwiek patrzył?

— Ha! Może i słuszną pani obawa. Niejednen pewno zawołałby z Owidyuszem: *Peccatumque oculos est habuisse meum...* To też były to wyborny probierz na sumienia. Pisałem i zawsze powtarzam, że ten wynalazek może mieć wpływ i na moralność.—Ale idźmy dalej. Rozejrzyj się pani, gdzie chcesz, choćby we własnym pokoju: czyż tylko zwierciadło powtarza tam przedmioty? Nie, każdy mebel wygładzony, każdy bronz, każda kłamka, nawet froterowana posadzka, nawet pokost na obrazach, nawet lakier na drzwiach i oknach, odbijają wszystko, wprawdzie nie tak wyraźnie

jak zwierciadła, ale Hallucini zapewniał, że z pomocą spotęgowanej maszyny, możnaby te odbicia doprowadzić do zupełnej czystości. Siedzisz pani przy biurku, to widzisz się w politurze biurka, w kuli od lampy, w marmurowej półce, w złotej bransoletce, w połyskach atłasowej szarfy. Maczasz pióro? Twoja ręka odbiła się w kałamarzu. Pijesz filiżankę herbaty? Twarz twoja odbiła się w herbacie. A jeśli wyjdiesz z domu, wszędzie to samo, w dole, w górze. Oto ptak przeleciał i przejrzał się w blasze świecącej na wieży kościoła. Oto promień wystrzelił i mignął w bagnecie tego żołnierza, co przechodzi drogą. Weszłaś pani do ogrodu? Oto na drzewie błyszczą wiśnie, na parkanie błyszczą winogrona, jakby tysiące gałek szklanych, gdzie majaczą tysiące odbić. A co traw połyskliwych, co liści niby woskowanych, które drgają od ciągłych odblasków jakby długie, wąskie lusterka! Może w ogrodzie jest sadzawka? A toż gotowe zwierciadło. Ale nie trzeba i sadzawki: każda kropla deszczu, każda kropelka rosy powtarza cały krajobraz, nawet w brzydkiej kałuży odnajdziesz pani śliczne niebo i własny wizerunek. A jeżeli staniesz nad rzeką, a toż istne panoramale! A dopieroż nad morzem, nad tém olbrzymim zwierciadłem, co od stworzenia świata połknęło miliony, miliardy obrazów, a żadnego jeszcze nie oddało! Ale odda je, odda,—i wszyst-

kie powierzchnie gładkie albo świecące będą musiały je oddawać, jak tylko nasz magiczny przyrząd zacznie działać, jak zacznie zrywać zewsząd odbicia nakształt owych kartek sklejonych, które zdieramy z kalendarza. A wtedy już nie przyjdzie żałować, że Egipcyanie i Grecy nie znali naszych zwierciadeł, wszystko się odnajdzie, wszystko—aż do Atlantydy i do arki Noego, i do pierwszego poranku świata, który w oceanie się przeglądał.

— Pyszne to rzeczy, ale i zastraszające,—odezwałam się z rodzajem trwogi.—Taka wieczna kontrola byłaby może istotnie zdrową dla moralności publicznej,—ale za to dla spokoju domowego, no... to zupełnie, jakbyśmy mieszkali w szklanych domach. Ach, okropny ten Hallucini ze swoją szpiegowską maszyneryą. A tożby nie zostało już kąta na świecie, gdzieby można się schować przed okiem uczonych, notabene nietylko współczesnych, ale i potomnych? Gotowiby z jednego guzika odczytać całe życie ludzkie? Ktoby chciał ujść z pod ich śledztwa, tenby nie śmiał wypić szklanki wody, musiałby wyrzec się bransoletek, sukien jedwabnych, mebli politurowanych, i siedzieć chyba w jakiejś wieży kamiennój...

— A i toby nie pomógł!—zawołał tryumfująco pan Cezary.—I toby jeszcze nie pomogło, bo i tam dojdzie światło, a w świetle nic nie ginie. Któryś z uczonych, jeżeli się nie mylę

Babbage, powiedział, że atmosfera jest niejako „biblioteką zachowującą na swoich kartach wszystko, cokolwiek wyrzekł, kiedy mąż albo niewiasta,” bo każdy dźwięk, trąciwszy raz falę powietrzną, wywołuje dalsze falowanie, i przedłuża się ciągle, wiecznie... tak samo, i jeszcze słuszniej możnaby powiedzieć, że *atmosfera jest nieskończoną galerią obrazów*, bo każdy obraz, odbiwszy się o falę powietrzną, siłą tego falowania odbija się i dalej, dalej, do nieskończoności. To też Hallucini nazywał atmosferę *olbrzymią kopułą zwierciadlaną*, która nasz glob otacza i powtarza wszystko, co się na tym globie dzieje. A po za powietrzem, eter chwyta owe odbicia i podaje znów dalej, a raczej, to ani eter ani powietrze, ale samo światło jest owym przewodnikiem, który przenosi obrazy na swoich promieniach, jak iskra elektryczna przenosi nasze słowa.— Pojęcia te wydają się jeszcze ciemne, bo nauka ledwo ich zaczątki zbadała, ale Hallucini zaszedł w nich daleko, na ich poparcie przytaczał mi tysiące wypadków, a nawet wielu autorów, którzy już nieśmiało rzucali podobne domysły. Przeczytam i paniom parę z tych ustępów, ażebyście nie sądziły, że to wszystko wylęgło się jedynie w naszych głowach. Oto naprzykład ciekawa kartka z pism Caha-gneta:

„Że osoby i przedmioty mogą wytwarzać „własny obraz i wielokrotnie się podwajać, na

„to mamy dotykalne dowody, pokazujące jaw-
 „nie, że obraz rzeczy wyciska się niejako w miej-
 „scu, w którym ta rzecz pozostawała. — I tak,
 „pan Teste w swoim Dzienniku przytacza na-
 „stępne, ciekawe zdarzenie: Pewna jasnowi-
 „dząca wchodząc do pokoju, odzywa się: Co
 „za śliczna dziewczynka siedzi tu na krześle!—
 „Zdziwiony pan Teste robi jój uwagę, że się o-
 „myliła, że niema żadnej dziewczynki. Ale
 „tamta zamiast ustąpić, idzie dalej w swoim
 „twierdzeniu, zapewnia, że na każdym krześle
 „sposstrzega dziewczynkę, a było tych krzeseł
 „sześć.—Pan Teste nie mogąc sobie zdać spra-
 „wy z takiego przywidzenia, poprzestał na ze-
 „braniu szczegółów dotyczących ubioru owych
 „dziewczynek. — Wkrótce potem, dowiedział
 „się od innych osób, że zupełnie podobna
 „dziewczynka bawiła się w tym pokoju na chwi-
 „lę przed wejściem jasnowidzającój, że skakała
 „po wszystkich krzesłach, i na każdym z kolei
 „siadła.“

Skończywszy czytanie, pan Cezary spojrział na mnie pytająco.

— Wszystko to być może, — odrzekłam, — jednakże... no, nie powiem, abym to koniecznie miała między bajki włożyć, ale powiem, że Cahagnet nie jest żadną powagą ani naukową ani filozoficzną. Samouczek to, bardzo zadziwiający, zawsze przecież tylko samouczek, co z rzemieślnika w bluzie chciał nagle wyjść na Hierofanta.

— Pani surowo go sędzisz. Spirytyści inaczej myślą, i może potomność podzieli ich zdanie. Ale nie chcę spierać się o Cahagneta, za dalekoby nas to zaprowadziło. Może panią lepiej przekona inny rodzaj autora, na przykład książdz Gratry?

— Co? Książdz Gratry? A! To co innego. Mój kochany, nieoceniony książdz Gratry! Jeżeli on co podobnego twierdzi... Ale czekaj pan... Zaczynam sobie przypominać, że kiedyś w jego książkach spotkałam...

— Aha, widzi pani! Przypomnienie stanie się jeszcze wyraźniejsze, kiedy zajrzemy do tekstu. W mojej księdze mam pełno wyciągów z dzieł a raczej arcydzieł tego prawdziwego mędrca.

Oto najważniejszy..... jest-to sławny ustęp z Epilogu, jakim Gratry zakończa swoje wspomniane studjum: *La connaissance de l'âme*:

„Tak, postać tego świata mija, ale istota jego „trwa. Z tego wszystkiego, co istnieje, nic nie „zostanie zatraconém.

„Na dowód owej trwałości wszechrzeczy, oto „piękne podobieństwo, a raczej prawda naukowa, która może trafić i do umysłu i do serca.

„Wiadomo wam, że światło, pomimo swojej „niesłychanej szybkości, podlega jednakże warunkom czasu. Od słońca do ziemi przylatuje „w ośm minut; od najbliższych nam gwiazd „we trzy lata; od najdalszych, (zawsze jednak „jeszcze należących do naszego zbiorowiska),

„biegnie przez trzy tysiące, sześć tysięcy lat,
„nawet dłużej.

„Światło ziemskie, odwrotnie, dostaje się do
„gwiazd w tychże samych odstępach czasu.
„Obraz całego globu, ze wszystkimi jego wi-
„dzialnymi szczegółami, wzbija się nieustannie
„w niebo, — do pierwszych gwiazd dochodzi
„wé trzy lata, do ostatnich z naszego zbiorowi-
„ska idzie sześć tysięcy lat.

„I tak, w chwili kiedy Zbawiciel cierpiał na
„Golgotcie, boska światłość jego oblicza, jego
„postaci, jego spojrzenia wzniesionego ku nie-
„bu, wszystkie te światła poszły w przestrzeń,
„poszły i dotąd idą; cały obraz Ukrzyżowania
„jeszcze się nie zatarł; od owéj chwili dwa ty-
„siące lat ledwo upływa, więc obraz ów znaj-
„duje się jeszcze między gwiazdami naszego
„zbiorowiska. I jeżeli na jakiejś pośredniej
„gwieździe jest istota obdarzona wzrokiem by-
„strzejszym lub narzędziami potężniejszymi od
„naszych, istota owa widzi ten krzyż, to obli-
„cze, tę koronę cierniową,—tak, widzi to wszyst-
„ko dzisiaj, teraz, jeśli tylko patrzy w tę stro-
„nę. A choć i nie patrzy albo, śpi, w każdym
„razie owo cudowne widowisko przesuwają się
„koło niéj, i ze wszystkimi swemi szczegółami
„i poruszeniami, i będzie tam widzialne kilka
„godzin. I tak samo na tysiącach a tysiącach
„światów, i to przez jutro, i pojutrze, przez lat
„sto, przez lat milion, aż do skończenia wszech-
„rzeczy.

„A jak scena Kalwaryjska, tak i wszystkie „sceny z żywota ludzkości odbijają się w przestrzeni i płyną w niej bez końca.

„Ziemia, co wypła krew Abła, według Pisma „woła wciąż do nieba, i tak jest rzeczywiście, „wołanie to jeszcze nie ustało. Ramię Kaima „ciągle jeszcze gdzieś podnosi się i uderza. Strugi krwi, co raz wypłynęły, nie zatrzymują się „w nieskończoności, i palec nauki mógłby na „niebie pokazać nam gwiazdy, do których plama krwi Ablowej dopiero teraz dopływa.

„I to samo powtarza się z dziejami wszystkich ludzi, z waszą własną przeszłością, z przeszłością tych wszystkich, których potraciliście „i oplakujecie...

„A więc i moje życie niezatarcie jest przechowane? Gdy na to wspomnę, ach ileż myśli ogarnia mię i poraża... Nie, to nie żadne „złudzenie, to rzeczywistość jeszcze rzeczywistsza, niż się z razu zdaje,—wszystkie moje ruchy i czynności, wszystkie nawet spojrzenia „i postawy w miarę, jak je wytwarzam, rysują „się i niejako wyrzeźbiają w obszarze eteru. „Otoż więc z jednego przynajmniej stanowiska, nieśmiertelność już zapewniona mnie i moim dziełom.”

Podczas całego czytania pani Marta patrzyła niedowierzająco to na mnie, to na pana Cezarego. Kiedy skończył, zapytała nieśmiało:

— I to ksiądz pisał?

— Tak pani!—zawołałam z uniesieniem, (które mię zawsze porywa, ile razy jest mowa o tym skromnym a wielkim filozofie, co lepiej niż Fe-don potrafił na sto sposobów udowodnić mi nieśmiertelność).

Tak pani, dodałam: to ksiądz, wzorowy kapłan, którego pisma są nietylko dozwolone, ale polecane przez władze duchowne, — a zarazem badacz idący z biegiem wieku, myśliciel nie lekający się spojrzeć w oczy najśmielszym pytaniom. Nasza epoka jeszcze nie dość go oceniła, a jednak on będzie jednym z najchlubniejszych jój przedstawicieli; ten człowiek idąc śladem wszystkich wielkich pisarzy Kościoła, dziwnie umie pogodzić nieruchomość prawd wiecznych z ruchomością doczesnego postępu; klejnoty, które nauka nieustannie zdobywa, a które nieraz obca ręka obrobiła ostrzem zaprzeczenia, on wszystkie umie użyć na ozdobę ołtarza.. Tak panie, przyznaję, — powyższy ustęp silnie popiera pańską teorię, ale..... (w każdym ludzkiem rozumowaniu musi być jakieś „ale”), dla czegoż nikt z nas nie widzi tych obrazów krążących w świetle?

— Wyborne pytanie! a dla czegoż pani na niebie nie dostrzegasz i połowy gwiazd, które jednak luneta od razu ci pokaże? Dla czego patrzysz na kroplę wody, a nie domyślasz się w niej tysiąca mieszkańców, które mikroskop wyraźnie ci objawi? Al zawsze człowiek wraca

do swojej dziecinnéj maksymy: „Czego nie widzę, tego nie ma.” Ale na ten raz, nawet i pierwsza połowa maksymy jest niezupełnie prawdziwa, bo istnieje mnóstwo ludzi, którzy te rzeczy widzieli: czémże inném są wszystkie *widzenia*? Widzeniom jednak dajmy pokój... Wolę nie dotykać i ekstazy, która może sięgać w inne sfery... Nie będę się nawet wspierał na somnambulizmie ani mesmeryzmie, które dla wielu umysłów są jeszcze przedmiotem spornym, i tém łatwiej podlegającym krytyce, że zwykle towarzyszą stanowi chorobliwemu,— ale za to przytoczę dowód jeden, zwycięski, na który ani zwątpienie, ani sarkazm nie znajdą odpowiedzi. Wiadomo przecie, że są ludzie, którzy posiadają tak zwany *dar drugiego widzenia*, *don de seconde vue*. Istnienie takich ludzi jest rzeczą dowiedzioną. Akademię nie potrafiły dotąd wytlómaczyć ich daru, a nie mogąc go wytlómaczyć, wolą nie zwracać nań uwagi. Jest to dyplomacya, która nic nie dowodzi. Milczenie faktu nie niszczy. Zobaczymy, co mówią o tém badacze głębiej patrzący, taki na przykład Görres, (któremu pani, jak sądzę, wierzysz lepiej niż Cahagnetowi). Oto co ten kolos mądrości pisze, w trzecim tomie swojej *Mistyki*:

„Takie usposobienie panuje głównie w północnej części Wielkiej Brytanii..... gdzie znane jest pod nazwą: *second sight* czyli *drugiego widzenia*. Ludzie niém obdarzeni noszą w ję-

„zyku gaelickim przydomek *Phissihin* od wyrazu *Phis*, *wiedzieć naprzód*, albo *Taishatrim* od słowa *Taisk*, oznaczającego rzecz, której nie można uchwycić ręką, ale którą można widzieć ludzkiemi oczami...

„Już od niepamiętnych czasów Bretońskie wyśpy słynęły z tego daru... Pojawia się on nietylko sporadycznie w tej lub owej wiosce, ale czasem i jednocześnie w różnych miejscowościach o kilkadziesiąt mil od siebie oddalonych, a których mieszkańcy nigdy nie mieli między sobą stosunków... Ludzie skłonni do tego stanu, nie są to żadni melancholicy, ani zapaleńcy, których wyobraźnia dałaby się łatwo ułudzić. Nie poczytują też go sobie za łaskę, ale owszem za przykrą i niewygodną przypadłość, którejby radzi jak najprędzej się pozbyć... Nie zależy on ani od płci, bo kobiety równie jak mężczyźni mu podlegają, — ani od wieku, bo słyszano dzieci w kolebce krzyczące z przestraszu, kiedy ktoś z dorosłych miał tuż przy nich widzenie, — ani od zdrowia, bo dar ten wcale nie wybiera koniecznie osób wątłych albo chorowitych, ale zstępuje, gdzie mu się podoba; w pewnych rodzinach przechodzi z ojca na syna dziedzicznie, podczas kiedy gdzie indziej znika z jednego domu, ażeby niespodzianie pokazać się w drugim. Czasem otrzymuje go się dopiero w starości, nie wiadomo z kąd, i dla czego. Co także zauważono, to, że nigdy

„nie trafia się w stanie pijaństwa. Owi tak „zwani *widzący*, są to zazwyczaj ludzie prości „i ograniczeni, wstrzemięźliwi i szczerzy; opo- „wiadają, co widzieli, nie przywiązując wielkiej „wagi do tych rzeczy, a jeśli drudzy im wie- „rzą, to nie na lekko; dobrze pierwój zważają, „czy widzenie się sprawdza; ale też po spraw- „dzeniu już nie czynią gwałtu zmysłom ani roz- „sądkowi, i nie przeczą oczywistości...

„Widocznie więc chodzi tu o władzę czysto „przyrodzoną, która nie potrzebuje żadnych „bodźców zewnętrznych, i zdaje się polegać na „jakiémś odrębném usposobieniu systemu ner- „wowego...

„Pokazanie się widziadła sprawia tak wielkie „wrażenie, że patrzący nie może już nic innego „widzieć, ani o niczém inném w owój chwili „myśleć. Na twarzy jego maluje się frasunek „albo wesołość, stosownie do znaczenia wizyi. „Ta zwykle bywa bardzo krótką, trwa tylko „tyle czasu, ile widzący może patrzeć bez mru- „gnięcia powiekami... Nigdy on nie wie, gdzie, „kiedy i co zobaczy? Nieraz widzi przedmioty „w ogromnych odległościach, naprzykład aż „w Ameryce położone; czasem są to dzieła na- „tury albo sztuki, domy, drzewa, okręty i t. p. „przedstawiające mu się w miejscach, w któ- „rych jeszcze nie istnieją, ale gdzie kiedyś będą „stały... „Słyszycie panie? *Gdzie kiedyś będą „stały.* „Najczęściejćj przecież widuje ludzi i róż-

„ne przygody, jakie ich *w późniejszym czasie* mają spotkać, narodziny, śluby, kłótnie, bitwy, „zwłaszcza też różne rodzaje śmierci i pogrzeby...

„Zjawisko to zresztą nie zamyka się wyłącznie w granicach Wielkiej Brytanii; można „i gdzieindziej spotkać je między ludem, i to „nierównie częściej, niżliby kto sądził. Jeszcze „na początku przeszłego wieku, pojawiała się „w Delfinacie i sewennach, a rozruchy wówczas tam wybuchające, opierały się głównie „na widzeniach tego rodzaju. Narodom germańskim także władza ta nie była obcą; miała u nich wielkie znaczenie między Alrunami; „dziś jeszcze można ją odnaleźć w Westfalii, „w okolicach Salcburga i gdzieś w Szwajcaryi. Pojawiała się też i wśród ludów słowiańskich, widzimy ją przynajmniej w Czechach „wysoko rozwiniętą podczas tamecznych wojen „religijnych. Ale już nigdzie nie rozwinęła się „do wyższego stopnia, jak między plemionami „pochodzenia fińskiego; przez nią to owe „miona tak wielce zasłynęły w magii.”

Görres jeszcze szeroko się rozpisuje, przytacza wiele wydarzeń osobliwszych; nie on jeden zresztą o tym pisze. Zaciekawiony tytuł opowiadania, Hallucini jeździł umyślnie do Szkocyi; przywiózł nawet z tamtąd kilka słoików, gdzie były w jakimś płynie przechowane oczy takich ludzi; badał te oczy anatomicznie; miał

nadzieję, że odkryje w ich budowie jakieś odmiiany, jakieś zboczenia, które będzie mógł zastosować do swojej maszyny, i mówił mi, że istotnie wiele zawdzięczał tym studjom.

Na wieść o przechowywaniu ludzkich oczu w słoikach, oczy pani Marty zaokrągliły się z przestachu. Pan Cezary ciągnął z rosnącym zapalem:

— Są więc ludzie, którzy w powietrzu widzą więcej, niż my upośledzeni, a że widzą *lepiej* od nas, na to najwymowniejszym dowodem jest zwykle sprawdzanie się ich przepowiedni, bo według słów, jakie czytaliśmy przed chwilą, i według wszelkich innych świadectw, ludzie ci widują często wypadki, które dopiero mają stać się kiedyś. I oto znaleziona odpowiedź na ostatnie pani pytanie: przekonywamy się że w *zwierciadle światła* można widzieć przeszłość.

— Jest to odpowiedź,—odrzekłam,—nie ma co mówić; szkoda tylko, że to dziwo trafia się raz na milion, i kto nie miał szczęścia urodzić się chłopem szkockim lub westfalskim, albo przynajmniej należeć do ich otoczenia, ten musi poprzestać na wieściach, jakie ktoś od kogoś zasłyszał. I jeszcze od jakiego to kogoś! Dla czegoż ta władza zstępuje; tylko na ludzi prostych i ograniczonych? Ten szczegół, w którym Görres zdaje się dopatrywać jeden dowód więcej, w moich oczach osłabia wszystko; prostota i naiwność są przesłaniczne, rozrzewniające, do-

póki się trzymają na gruncie uczucia i legendy, ale gdzie chodzi o ścisłość doświadczeń naukowych, o rozróżnienie zjawisk od zabobonów, tam ich świadectwo jest bardzo podejrzane. Dla czegoż ludzie uczeni, a przynajmniej prawdziwie wykształceni, podobnych wizyj nie miewają?

— Sądzisz pani, że nie miewają? A Sokrates ze swoim Demonem? A Brutus widzący cień Cezara? A Tasso otoczony widmami? A Göthe ze swoim sobowtórem? Tak, znowu Göthe; ile razy mowa o czém wyższém, zawsze nam trzeba wracać do tego Tytana; zresztą jego imię tu najwięcej ma wagi; o Sokratesach i Brutusach mogłabyś pani powiedzieć, że za starzy, o Tassie, że niezupełnie przytomny, ale Göthe! Już jego przecię nikt nie posądzi o ławowierność ani chorobliwość; otoż ten chłodny, ten ministeryalny, ten prawie nam współczesny Göthe, miał raz w życiu chwilę *drugiego widzenia*; raz, ale miał. Co ją spowodowało? Nie żadne fizyczne cierpienie, gdyż wówczas był w kwiecie młodości i zdrowia; może raczej boleść moralna, wypadek ten bowiem spotkał go w jednej z najcięższych godzin jego życia, w chwili rozstania się z ukochaną Fryderyką. Sam go opisał w pierwszym tomie swoich *Pamiętników*, a opis ma tém większe znaczenie, że został skreślony w wiele lat później, w epoce rozwagi, kiedy się już zwykło odrzucać mrzon-

ki i surowo przebierać we wspomnieniach. Mam i ten opis w moim skarbcu; lakoniczny on i oględny, ale tém wiarogodniejszy. Oto znalazłem:

„Widok mojej ulubionej tak mi ranił serce, „że już prawie przestałem uczęszczać do Sesenheimu; niepodobna mi jednak było wyjechać, „nie zobaczywszy jej raz jeszcze. Wspomnienie téj ostatniej bytności w Sesenheimie zatarło mi się już zupełnie w pamięci, wiem tylko, „że cierpiałem okropnie, że Fryderyka miała „oczy łez pełne, kiedy ja siedząc już na koniu, „jeszcze do niej wyciągałem rękę. Gdym na „koniec wyjechał i z wolna oddalał się od wio- „ski, spostrzegłem..... jeźdźca, który dążył po „tój samej, co i ja dróżce, ale w przeciwnym „kierunku, w stronę Sesenheimu. Tym jeźdź- „cem byłem ja sam; miałem na sobie ubiór popielaty, obszywany złotymi galonami, jakiego „nigdy nie nosiłem. Otrząsałem się, aby rozpędzić przywidzenie, i zaraz też znikło. Szczególną jest rzeczą, że w ośm lat później, odnalazłem się na téjże samej drodze, jadący konno w odwiedziny do mojej Fryderyki i odziany takimże samym ubiorem, w jakim się „sobie niegdyś pokazałem; trzeba jeszcze wiedzieć, że wybór owego ubrania wcale nie wypadł z mojej woli, ale był dziełem przypadku. „Czytelnicy pomyślą, co zechcą o tém osobliwszém widzeniu, mnie ono zaraz wydało się

„proroczém, a wlewając we mnie przekonanie, „że jeszcze kiedyś zobaczę się z moją najdroższą, natchnęło mi więcéj odwagi do zniesienia „tój bolesnéj chwili.”

A cóż? Nieprawda, że to zadziwiające? Takie zadziwiające, że autor nie wdaje się nawet w tłumaczenie zjawiska, zastanawia się tylko nad przypuszczalnym jego celem i dopatruje w nim zamiar przyniesienia pociechy; istotnie, w owéj chwili musiał on sobie myśleć: „Ach, już pewno nigdy nie będę w Sesenheimie!” A wizya odpowiedziała mu allegorycznie: „Otoż nie, patrz: jeszcze będziesz tam jechał.” Mnie jednak co innego najwięcéj zastanawia i zdumiewa w tém opowiadaniu: oto ów ubiór popielaty z galonem, ubiór, którego Göthe jeszcze nie posiadał, który może nawet nie był jeszcze skrojony! Ten szczegół jest porażającéj doniosłości..... Jak to? Więc wszystkie, wszystkie kształty, nawet najznikomsze drobnostki, nawet nasze ubrania, mają swoje idealne jakieś pierwowzory? I czy to jeden Göthe? Podobnych podpatrzeń przyszłości, dobrze poszukawszy, znajdziemy pełno w historyi, w życiorysach sławnych ludzi, we wspomnieniach naszych znajomych, wszędzie. A z tych wszystkich przykładów cóż ostatecznie wypada? Oto, że wszystko, co ma być, już istnieje, — wszystko jest nieśmiertelne, — a chwila *stawania się* sta nowi tylko zjawisko przejściowe téj nieśmiertelności.

— Ależ mój panie — wtrąciła pani Marta z przekąsem, — to coś zakrawa na turecki fatalizm?

— Przepraszam panią, bynajmniej. Trzymając się pani zdania, musielibyśmy odrzucić i proroctwa, a jednak je religia przyjmuje. Wypadek jakiś nie *musi* stać się dla tego, że był przepowiedziany lub naprzód widziany, ale dla tego *mógł* być widzianym i przepowiedzianym, że już się stał *in potentia*. Gdzie? Może w myśli Bożej. Może wszystko zostało stworzone od razu, nie tylko to wszystko, co napełnia przestrzeń, ale i to wszystko, co zamyka się w czasie, bo dla Przedwiecznego czasu nie ma. Dla nas tylko biedaków przedmioty i wypadki występują *kolejno*, w obec wieczności wszystkie one są *jednoczesne*. Każda rzecz, każda chwila stoi między przeszłością a przyszłością, jakby między dwoma zwierciadłami, w których zarówno się odbija. Przeczucie jest tylko odwróconym wspomnieniem. Nie wiem, czy panie jasno mi rozumiecie? Są to przedmioty nadzwyczaj trudne, przez naukę jeszcze prawie niedotknięte, i do których myśl człowiecza przystępuje z postrachem, jak niegdyś do tajemnic Eleuzy. Zresztą nie biorę na siebie odpowiedzialności za te przypuszczenia, opowiadam tylko pojęcia Hallucini'ego; w jego ustach wyglądały one nierównie dowodniej i bogaciej, niż w moim pobieżnym szkicu; chciałem tylko wskazać, czego

on właściwie szukał? Chciał po prostu zrobić rodzaj lornetki, przez którąby każdy i w każdej chwili mógł widzieć to, co dotąd widywali tylko ludzie wyjątkowo obdarzeni, i mówił mi kilka razy, że do ukończenia tego narzędzia już mu bardzo niewiele brakowało.

Nie na tém koniec: Hallucini szedł jeszcze dalej, twierdził, że kiedyś będzie można *widzieć myśli ludzkie*.

— A, dziękuję panu, — wtrąciła pani Marta, — już jabym nie chciała żyć wtedy na świecie. Wprawdzie pan mi powiesz znowu, że to dobre na umoralnienie ludzi, zwłaszcza złych, którzy więcej się boją sądu ludzkiego niż sumienia, — wszystko prawda, jednakże byłoby to straszliwie niewygodne. Wiedział Pan Bóg, co robił, kiedy nam urządził w głowie rodzaj celi samotnej, gdzie możemy uciec od świata i schować się przed natrętami. Najuczciwszy człowiek nie byłby rad pewnie, gdyby zawsze i wszędzie pierwszy lepszy mógł czytać w jego myślach, témbardziej że za nasze myśli nie zawsze odpowiadamy.....

— Pani mię nie zrozumiałaś. Ja nie mówiłem o widzeniu myśli wówczas, kiedy one tworzą się w głowie, ale wtedy gdy już z niej wyszły, a raczej gdy odbiły się na zewnątrz. Bo tylko uważcie panie dziwny przebieg twórczości umysłowej: człowiek najprzód wyrabia w mózgu swoim jakąś myśl mętną, nieokreśloną; aż gdy

ją urobi doskonale, nagle stawia ją przed sobą, i widzi ją, zupełnie widzi. Cóż się stało? Oto myśl, dojrzawszy do wyraźnych kształtów, odbiła się w zewnętrzzném świetle, jak gdyby w zwierciedle i podwójnie istnieje, podmiotowo i przedmiotowo,—człowiek w sobie ją czuje, a przed sobą ją widzi. Obraz téj myśli zostaje w przestrzeni, drga i posuwa się z powietrzem, czasem ten, co ją wydał, nie może już jój odnaleźć; ileż to razy mówimy: „Ach, jaka szkoda! Miałem wyborną myśl, i gdzieś mi się podziała...” A wtedy cóż najlepiej pomaga? Wrócić na to samo miejsce, gdzie owa myśl nam przyszła, tam często ją odnajdziemy, ona jeszcze tam wisi w atmosferze odfotografowana, i to nazywa się *przypomnieniem*. Im umysł potężniejszy, tém silniej odfotografowuje na zewnątrz swoje myśli; ich postaci odczepiają się od swego twórcy, płyną na falach światła, mogą świat opłynąć, mogą nawet na inne światy zawędrować, a jeśli mamy się trzymać systemu Gratrego, to i do nas mogą przychodzić myśli z innych światów, na promieniach gwiazd i słońc obrazowo odbite; dla tego to o ludziach wyższych mówi się: „Z nieba mu przyszło natchnienie.” O tak, nieraz ludziom się zdaje, że mówią symbolicznie, a tymczasem powiedzą wielką, naukową prawdę. Takich prawd pełno jest w potocznej mowie zaklętych..... istne hieroglify owéj pierwotnej wiedzy zaginionej, któ-

rą ludzkość powoli napowrót odczytuje. To wszystko nam tłumaczy niesłychaną cześć, jaką światniesiewszelkiej duchowej *twórczości*. *Twórczość!* Także wyraz mający znaczenie głębsze, niżeli ogół sądzi. Uczony, poeta, artysta, rzeczywiście tworzy, i to nie czeze abstrakcy e, ale prawdziwe istoty, kraje, światy, które na prawdę żyją, — życiem nie tak może silném i pełném jak nasze, — zawsze jednak mają pewny rodzaj życia, kto wie nawet, czy nie mają i wiedzy o swoim istnieniu? Weźmy za przykład Hamleta: według Hallucini'ego, są trzy Hamlety na świecie, — jeden historyczny, prawdziwy królewicz duński, co umarł przed wiekami, a którego dusza jest dzisiaj w niewiadomych nam sferach. Drugi, Hamlet z dramatu, występujący w postaci wszystkich aktorów, jacy go na wszystkich scenach grają. Ale jest jeszcze i trzeci Hamlet, ideał Hamleta, utworzony przez myśl Szekspira *przed* napisaniem dramatu, bo Szekspir tylko dla tego napisał dramat, ażeby ludziom dać wyobrażenie o téj swojej wizyi; ten Hamlet jest ze wszystkich trzech najpiękniejszy, cudownie piękny, — do historycznego niepodobny wcale, a do scenicznego bardzo mało, bo nie ma w świecie autora ani aktora, coby potrafił osiągnąć ideału, tylko im bardziej się do niego przybliża, tém bardziej świat się nim zachwyca. Czytałem w jednej włoskiej książce, że Rafael, nim odmalował Madonnę Syks-

tyńską, zobaczył ją przed sobą, wyraźnie *zobaczył*; ja temu najzupełniej wierzę; im wyższy geniusz, tém wyraźniejsze miewa wizye; to właśnie stanowi potęgę wyobraźni, potęgę, która daleko większe ma znaczenie na świecie, niżeli się ogółowi zdaje; nie trzeba nawet być geniuszem, ażeby ocenić doniosłość téj władzy, którą wszystkie umysły, w niższym albo wyższym stopniu posiadają. Człowiek nie może jasno pomyśleć o żadnej rzeczy, której nie ma *wyobrażenia*. Kiedy matematyk myśli o trójkącie, mimowiednie rysuje przed sobą idealny trójkąt, inaczej nie mógłby myśleć o nim. Kiedy autor chce opisać fantastyczną okolicę albo przygodę, co nigdy nie istniała, wymyśla ją, czyli rzeczywiście stwarza, i odtąd nie można już powiedzieć, że ta okolica albo przygoda nigdzie nie istnieje, bo na prawdę obraz jój odbił się w świetle jak Fata-Morgana, i odtąd będzie się przedstawiał nietylko autorowi, ale i czytelnikom. Ileż razy czytelnik mówi: „Ach, jak to pysznie opisane! zupełnie jakbym widział.” I nie myli się, on istotnie widział. Pani, co sama piszesz książki, pewno mię dobrze rozumiesz?

— No, tak.... do pewnego stopnia.... Jednak ośmieliłabym się uczynić zarzut: nie wiem, czy można człowiekowi przypisywać zupełną twórczość jego myśli? Prawda, są chwile, w których myślimy to, co chcemy i tak, jak chcemy, jednak

są inne,—takich nawet jest najwięcej,—w których myśli nachodzą nas wyraźnie z zewnątrz, bez współdziałania naszej woli, zupełnie jakby istoty obce. Nawet wyrażenia potoczne to stwierdzają, kiedy mówimy: „Przyszła mi myśl szczęśliwa.” Albo: „Nachodzą mię smutne myśli...”

— A czy wiesz pani, co się wówczas dzieje? Te myśli, które przychodzą nam z zewnątrz, to są myśli innych ludzi, obrazy ich pojęć, co przepływają przed nami jak owe Fata-Morgana. Słuszném też jest twierdzenie, że za ten rodzaj myśli nie odpowiadamy; człowiek może je przyjąć lub odpędzić.

— Ależ w takim razie, proszę pana, przyjmowanie cudzych myśli, które naiwnie bierzemy za swoje, byłoby duchową kradzieżą?

— Bynajmniej. Myśl, której nikt nie użytkował, staje się własnością wspólną, jak powietrze, którym oddychamy. Czyż pani się troszczysz o los gazów, jakie z płuc pani odchodzą po każdym odetchnięciu? Rozpierzchną się one w atmosferze, ulegną rozmaitym przemianom, i każda istota będzie miała prawo na nowo nimi oddychać, jutro, przez całe wieki, do skończenia świata. Nic też trudniejszego jak sprawdzić, kto jest rzeczywistym twórcą jakiejś idei; któż z ręką na sercu ośmieli się powiedzieć: „Ja pierwszy to pomyślałem?” A może już niejednen pomyślał to samo, tylko swojej myśli pod

żadnym kształtem nie objawił? Jeżeli nie objawił, nie ma prawa o nią się upomnieć; ten dopiero, co pierwszy wcielił ją w czyn, sztukę albo słowo, ten będzie uznany za jej twórcę. Mieć wielkie myśli a umieć je oddać, to dwa dary zupełnie odrębne, i które nie zawsze chodzą w parze; mnóstwo jest ludzi posiadających pierwszy, a całkiem pozbawionych drugiego; tacy ludzie są bardzo nieszczęśliwi; mają doskonałe pomysły, a nie umieją ich urzeczywistnić, widzą ideały, a nie umieją ich drugim pokazać, i całe życie moczują się ze swoją połowiczną siłą. Ale i te istoty na pozór zwichnięte, bywają nadzwyczaj użyteczne; karmią drugich swemi pomysłami, chociaż to czynią bezwiednie. Obrazy ich myśli póty krążą w powietrzu, póty się napierają innym duszom, aż kiedyś, może po śmierci swego twórcy, może w jakie tysiąc lat później, zostaną przez kogoś uchwycone i szczęśliwiej zużytkowane.....

— Ah, moi państwo..... — krzyknęła pani Marta, chwytając się oburącz za skronie, — moi państwo, nie gadajcie takich rzeczy, bo doprawdy może się w głowie przewrócić.

— Rzeczywiście, — odparł z głębokim przekonaniem pan Cezary, — są to przedmioty groźne, a ja muszę chyba mieć bardzo mocną głowę, kiedy pomimo tyloletniego przebywania w tych zawrotnych sferach, zachowałem jeszcze dzięki Bogu równowagę umysłu.

Moja towarzyszka rzuciła mi uśmieszek wyraźnie znaczący:

„No, już jeżeli ten zachował równowagę umysłu, to nie wiem, kto ją stracił?”

W obawie, aby uśmieszek nie popsuł harmonii, zagadałam pana Cezarego innym zwrotem rozmowy:

— To jednak rzecz dziwna, że Hallucini, wtajemniczywszy pana we wszystkie swoje wyobrażenia, we wszystkie nadzieje, odmawiał panu tak uporczywie praktycznego klucza téj wiedzy?

— Wierz mi pani, miałszczerą ochotę powierzyć mi wszystko, ale bał się mojej..... jakby to powiedzieć? Bał się szlachetności, którą zawsze pragnąłem łączyć z nauką. Nieraz mówił mi: Jeszcze nie możesz zostać prawdziwym adeptem, bo jeszcze z serca jesteś dzieckiem. Po prostu jesteś za dobry. Chciałbyś wszystkiém dzielić się ze wszystkimi, a tego nie można,— wszędzie muszą być stopnie, musi być hierarchia. Najwyższa mądrość nie dla gawiedzi. Jeśli chcesz wejść między wybranych, musisz trzymać z nami..... i wyłącznie z nami.....

— Przepraszam pana,—zawołałam,—jedenj rzeczy nie mogę zrozumieć. Ze wszystkich rysów tego portretu widzę jasno, że Hallucini był, co się nazywa, niedobrym człowiekiem. Otoż to mię niesłychanie dziwi. Mąż obdarzony tak ogromną nauką, szczęśliwiec, który twierdzi, że

obcuje z duchami, że ma dotykalne dowody na życie zagrobowe, ach, zdawałoby się, że taki człowiek powinien być lepszy od innych?

O, — pani, to niekoniecznie. Owoc z drzewa wiadomości może pójść równie na zdrowie jak na zgubę duszy. Wiedza jest władzą czysto bierną, której można użyć tak na złe jak na dobre. To też starożytność zawsze rozróżniała magię *czarną* od *białej*. Czytaj pani mistyków, a wykażą ci, jak siły piekielne umieją doskonale naśladować i przedrzeźniać działanie sił niebieskich. Hierofanci egipscy walczyli z Mojżeszem, Szymon Magik walczył z Apostołami. Wprawdzie dobra siła *w końcu* zawsze zwycięża, ale nim ten koniec nadejdzie, tymczasem zła siła nacieszy się i obłowi, i wielu przekłada tryumf natychmiastowy choć niétrwały nad ów tryumf wieczny, lecz daleki. Tacy trzymają się zdania, że „lepszy wróbel w garści, niżeli trzy na dachu.” Faust albo Twardowski są właśnie upoetyzowanym typem takich ludzi. A w naszym czasie czyż się nie dzieje podobnie? Weźmy uczonego, co używa rozumu na wydoskonalenie armaty, albo jakichinnych zabójczych narzędzi; gotów on sprawić niesłychane dziwy, na przykład, że będą się piorunowały dwa wojska, które się nawet nie widzą, — dojdzie do skutków prawdziwie magicznych, ale to będzie *czarna magia*. Może i on potrzebny, może i on mimowiednie Boskim planom służy, nie twierdząc

zresztą, aby to wszystko czynił z nienawiści do ludzi, nie można jednak powiedzieć, aby działał z miłości, ani nazwać jego dzieła chwalebny. Byłoby lepiej, gdyby użył tego samego rozumu na wydoskonalenie jakiejś maszyny przemysłowej, albo przyrządu chirurgicznego do gojenia ran. Ale nie, on woli robić armatę albo karabin, a dla czego? Bo to dziś najwięcej popłaca, najwięcej daje znaczenia. Zawsze historia Fausta, zawsze sprzedawanie wieczności za doczesną korzyść.

— Masz pan zupełną słuszność, — odparłam, — wiem już teraz, do jakiego rzędu mędrców zaliczyć Halluciniego. Ale im lepiej go rozumiem, tym trudniej mi pojąć, jak człowiek pełen pychy mógł pozwolić, aby jego sława razem z nim zaginęła? Że też przed samą śmiercią, choćby przez ambycję, nie pomyślał o przekazaniu potomności swoich wynalazków i swego imienia? Szlachetność pańska, na którą za życia się u skarżał, w takiej chwili mogła mu właśnie służyć za rękojmię, że pan przykładowo wykonasz tę missyę?

— Ach pani, gdyby śmierć była się Hallucinemu objawiała powoli, pod kształtem długiej, ostrzegającej choroby, gdyby można było ją przewidzieć choćby na jeden dzień, na jedną godzinę pierwej, o! wtedy, nie wątpię, jestem nawet pewien, że w ostatniej chwili byłby mi wyjawiał swój sekret; ale rzeczy inaczej się obróciły.....

fatalny zbieg wypadków—jakby uderzenie piorunu, — wszystko nagle zamieszał i zakończył. Ażeby wyjaśnić tę katastrofę, muszę wrócić do moich własnych dziejów.

Nasiedziawszy się w Paryżach i Londynach, Rzymach i Konstantynopolach, objechawszy Grecyę, Palestynę i Egipt, zachciało nam się skał lodowych i zorzy północnej; zwiedziliśmy Szwecyę i Norwegię, zajrzeli nawet do Szpicbergu, a potem spuszczać się znów ku sercu Europy, zawitaliśmy do Warszawy. To miasto od razu niezmiernie mi się podobało. Z czego? Nie umiałbym określić. Warszawa ma taki urok, jaki posiadają niektóre kobiety, co to nie są ani bardzo piękne, ani bogate, ani uczone, a przecież więcej wabią, niżeli wszystkie tamte. Nosi ona w sobie jakąś sprężynową moc oddziaływania, jakies niby drożdże duchowe, które sprawiają, że w niej wszystko nieustannie się rusza, i wyrasta, lekko, ale zawsze do góry. Już też było mi i tęskno do mowy rodzinnej, do towarzystwa ziomków. Postanowiłem tu pozostać, wstrzymwałamie tylko obawa, czy Halluciniemu podobna się pobyt w pomniejszej stolicy? Przystał z gotowością, która mię aż zadziwiła; prawda, że miał koci dar przywiązywania się do każdego miejsca, a przytém, tu znalazł mieszkanie, na którym wielkie pokładał nadzieje. Trzeba pańiom wiedzieć, że wszędzie, gdzieśmy dłużej bawili, wypytywał się o domy napiętnowane

jakąś tajemniczą legendą. Nie ma miasta, co by nie posiadało pałacu, kamienicy albo dworku, o których starzy ludzie mówią, że tam się coś pokazuje, coś puka, coś chodzi. Otoż w takich to mieszkaniach professor zwykle urządzał swoją naukową pracownię, twierdząc, że tam doświadczenia lepiej się udają, że tam łatwiej schwytać niepochwytnie. Osobliwszy też miał dar wyszukiwania wszędzie takich domowstw, i w Warszawie zaraz wynalazł ten dworek i ten oto pokój, gdzie panie siedzicie, a o którym także krążą niezwyčajne wieści.

— Ach, opowiedzże nam pan te wieści! zawołałam z radością. Ale pan Cezary rzucił ukośne wejrzenie ku pani Marcie, jakby wskazywał, że jój obecność stoi na przeszkodzie.

— Po co? rzekł— Wiadomość, do której Halucini przywiązywał ogromną wagę, dla niewtajemniczonych wyda się rzeczą najzwyczajszą w świecie; gotowiruszyć ramionami. A resztą i czasu nam zabraknie, jeżeli będę ciągle zbaczał z drogi. Wracam więc do mojej osoby. W Warszawie udzielałem się więcej niż gdziekolwiek; zacząłem nawet wyraźnie szukać towarzystwa. Już od kilku miesięcy jakiś przewrót odbywał się w mojem usposobieniu; dobrze jeszcze nie rozumiałem, czego mi potrzeba, ale czułem, że takie życie, jakie dotąd wiodłem, już mi nie wystarcza. Wszystko ma swój koniec, i u mnie prawa życia nagle dopomina-

ły się o swoje zaległości. Od lat dwunastu żyłem w zamknięciu i pracy, z samymi widmami nieboszczyków, za cały pokarm dla duszy mając ich smutki już dawno minione i radości dawno wystygłe. Ależ oni kiedyś na prawdę smucili się i radowali, oni rzeczywiście żyli, a ja co? Gdyby też po mojej śmierci przyszło komu na myśl moje życie tak samo studyować w zwierciadle, cóżby znalazł? Człowieka, co żyje tylko życiem drugich, spisuje tylko czynności drugich, a sam nic nie przedsiębrał, nic nie przeboleł i nic po sobie nie zostawi. Powoli stawałem się podobny do owego młodzieńca zakłętego, co patrzył, patrzył w zwierciadło, „aż cały stał się kamieniem.“

Gdybym jeszcze posiadał główną tajemnicę, gdybym coraz dalej mógł posuwać odkrycia, a! nauka starczyłaby za wszystko. Ale z taką wiedzą czysto bierną, przewidywałem, że daleko nie zajdę. Byłem jak te kobiety, co trawią dni na czytaniu romansów; od książki oderwać się nie mogą, ale własne ich życie im cięży, bo im się wydaje mdłe i bezcelowe. Kiedy znoszono mi nowe zwierciadła, mówiłem sobie: „No, i cóż? Jeszcze kilkanaście wypadków zapiszę, jeszcze życie jakiegoś rodziny poznam, a dalej co? To wszystko nie da mi ani chwili szczęścia, ani ziarnka zasługi.“ Coraz krócej trwały moje zwierciadlane sessye, coraz większej wartości nabierały dla mnie te codzienne sprawy,

uciechy i kłopoty, które mogą z góry wydawać się mrówczemi, a jednak dla każdego z nas mają niezastąpiony urok, bo są jego własne. Z wiecznego widza chciałem raz przecię sam zostać aktorem, choćby potknąć się na scenie, choćby zostać wygwizdanym, byle mieć rolę i zobaczyć, co ja też potrafię? A przytém czułem, że trzeba co prędzej naprawić brak równowagi, który mię już nabawiał zawrotu; miałem głowę pełną, przepelnioną, a serce puste. Garnąłem się do ludzi, nieśmiały, ale i niespokojny, jakbym kogoś szukał. Długo podtrzymywała mię nadzieja, że w Hallucinim powoli wyrobię sobie przyjaciela; teraz i to marzenie mię opuszczało widziałem, że nie przebiję tój stalowej piersi. I pytałem nieraz ponuro: „Dla kogo tu żyć?”

Wchodziłem w mój rok trzydziesty piąty, w tę drugą młodość, która czasem bywa gorętszą od pierwszej, zwłaszcza u ludzi, co w nauce i samotności przechowali jeszcze nietknięty puszek na skrzydłach duszy. Widok tylu uroczych postaci kobiecych, które się przesuwaly w kryształ, dawniej mię zachwycił, teraz niecierpliwił; zawsze były blizkie a zawsze niedostępne. Zacząłem baczniej patrzeć na postaci żyjące; ale zwierciadła uczyniły mię niezdolnym; przy spartańskiej przeszłości, miałem wyobraźnię wymagającą, jakby jaki Fidyasz. Po takich cudach urody jak Marya Stuart, lady Hamilton, pani Récamier, które na własne oczy

oglądałem, wszystkie współczesne piękności wydawały mi się miernymi. Ach, jam wtedy jeszcze nie rozumiał, że nie ta jest najpiękniejszą, co jest najpiękniejsza, ale ta, która jest ukochana.

W takim usposobieniu serce moje było jak prochownia; brakowało tylko jednej iskry, ażeby płomień wszystko zajął. Hallucini spostrzegł moją melancholię i niemiłosiernie ją wyśmiewał, nazywając mnie zabalsamowanym egzemplarzem niemieckiej studenteryi. Zacząłem go unikać, coraz mniej w domu siedzieć, coraz więcej zawierać stosunków, zawsze pod pozorami zabawy, a rzeczywiście dla dopukania się jakiegoś prawdziwej sympatyi. Byłem istotnie rozmarzony jak student; nieraz wyszedłszy z wesołej kolacyi, całe noce błądziłem po ulicach, patrząc na gwiazdy i zatrzymując łzy, co mi się bez powodu cisnęły do oczu. Codzień po południu moim ładnym karyklem pędziłem do Trzech Krzyży, a tam wysiadłszy w Alejach Belwederskich, szedłem pieszo, powoli, pojąc się wonią lip, słuchając słowików, oglądając się za każdym i za każdą, bo zawsze czekałem na owego przyjaciela, czy ową towarzyszkę, których przecucie krążyło w koło mnie.

Przez kilka dni z rzędu zauważyłem, że przy tym domu, co stoi u początku Alei, (a gdzie później wprowadzono szkołę), siedział wędrowny handlarz, pilnujący kilku niepozornych

mebelków; były tam dwa okrągłe stoliczki, jakiś obraz, parawan i gotowalniae lusterko wszystko oparte o mur domu. Ile razy przechodziłem, zrywał się i wołał: „Niech pan kupi, oto zwierciadło najpiękniejszej kobiety, jaka jest w Warszawie.” Dziwił mię niezmiernie wybór miejsca tak niezwykłego dla podobnej tandety, a nadewszystko sposób zachwalania towaru; przypomniały mi się Włochy i dowcipni ich straganiarze. Zauważyłem jeszcze, że ile razy przeszedłem, choć inne osoby nadchodziły za mną, handlarz milczał i najspokojniej siadał. Więc ja byłem wyłącznym celem jego zaczepek? Pomyślałem sobie: „Oho! Musi wiedzieć, że mam passyę skupowania luster, i zagiał na mnie parol. Ale się bratku omylisz, już mam dość tych przenudnych zwierciadeł.”

Tak się zarzekałem; jednak ta scena mię bawiła, i codziem wybierając się do Alei, myślałem sobie: „Czy też dziś jeszcze zastanę mego osobliwszego kupca?” Był codziem jak na zawołanie, codziem zapraszał mię uprzejmiej a razem i żałośniej; moja obojętność wyradzała w głosie jego rodzaj wyraźnej desperacyi. Żal mi go się zrobiło, pewnego dnia zaczepiam go: „Powiedzcie mi mój człowiecze, jakim sposobem wiecie, że to najpiękniejsza osoba w Warszawie?”—A on na to: „Bo ją widziałem, sama mi to lusterko sprzedała.” Handlarz wyglądał jakoś na wędrownego Węgra, mówił z obcym akcen-

tem.—„Niech pan kupi, powtarzał, tanio sprzedam.” Jasię targowałem: „Co mi po tém? Przecież w lustrze jój nie zobaczę?”—A on znowu: „E!... zawsze to miło posiadać rzecz, co była w ślicznych rączkach.”—Pragnąłem przynajmniej więcę się dowiedzieć; pytam jak się ta pani nazywa? Dyskretny kupiec odpowiada: „Nie wiem.”—„Gdzie mieszka?”—„Nie pamiętam.”—Pytam się jeszcze: „Musi być biedna, kiedy swoje meble sprzedaje?”—On się uśmiechnął i mówi: „Niekoniecznie... może wolała inne lustro, ładne kobiety miewają gust zmienny.”

Ostatecznie, że cena była niska, a ramka prześliczna, w stylu odrodzenia, cała w złote róże i aniołki, kupiłem i kazałem do siebie odnieść.—Później, przez jaki tydzień, natłok innych zajęć odwracał moją uwagę, i sprawunek poszedł w zapomnienie. Ale któregoś dnia deszcz padał, nikt ze znajomych nie przyszedł, w braku lepszej rozrywki biorę aniołkowe zwierciadło i nastawiam przyrząd. Z początku widzę pokój najzwyczajniejszy, czasem mignie dziobata klucznica, czasem służba przesuwa na krześle jakąś chorą, bardzo starą damę. Na raz pojawia się postać..... O potęgi niebieskie! Nic chyba równego nie istniało na ziemi. Typ jój był nie polski, nawet że tak rzeknę nie europejski; z początku sądziłem, że Georgianka, później, że Kreolka, w końcu przestałem szukać porównań i uznałem, że to po prostu ideał

wszech-piękności. Cereę miała złotawą, jakby słońcem podszytą; kibić sprężystą nakształt węża; oczy mogłyby zda się spalić widza, gdyby nie rzęsy nieprawdopodobnej długości, z po za których wzrok padał przyćmiony, jak promień kiedy się przekrada przez gałązki.—Marya Stuart, lady Hamilton, wszystkie a wszystkie od razu zgasły. Pierwszy raz widziałem na żywe oczy taką istotę, jaka zawsze mi się marzyła. A co większa, z téj nadludzkiej piękności przeglądało tyle dobroci! Taka była skromna! Nikt jój nie służył, sama sobie włosy układała, a jakie włosy! Czarne, miękkie, pierścieniste. Kiedy je wszystkie rozpuściła, w tym czarnym płaszczu włosów, z temi gwiazdami w oczach, cicha, mdlejąca a ognista, wyglądała jak noc podzwrotnikowa.

A jaka zdawała się łagodna! Do staréj damy i do staréj klucznicy mówiła słodko, nieledwie z pokorą. Ach, cóżbym nie był oddał wówczas, aby usłyszeć jeden dźwięk jój głosu! Wystawiałem sobie, że musi być smętny, jak te szklane dzwony, z których Frauklin zbudował harmonikę. Bo nad nią zawsze unosił się jakiś smutek. Przed zwierciadłem, była w głębi pokoju kanapka; tam po całych godzinach widziałem ją rozmarzoną, nieruchomą, trzymającą książkę, na którą nigdy jój oczy nie padły, albo karniolowy różaniec, którego ziarenek nigdy nie przesuwiała.—Ubiór jój był zawsze jednakowy: suk-

nia ciemna i schludna, gładki kołnierzycek, zresztą żadnej ozdoby; czasem tylko we włosy wpięła kwiat czerwony, a wtedy zdawało się, że ciągnie za sobą kometa.

Zaraz na drugi dzień poleciałem do Alei, aby złapać handlarza i gwałtem od niego wywieźć się gdzie mieszka właścicielka zwierciadła? Ale mego Węgry już nie było. Kilka dni prawie przemieszkalem w Alejach, wciąż czyhając i wyglądając: już się nie pokazał na oczy; zdawało się, że tylko czekał chwili, w której sprzeda lustro, aby przepaść jak kamień w wodę. Nie mogłem sobie darować, że od razu nie wyłudził adresu wymową albo pieniędzmi. Deszcze wróciły, i ja bezowocnie wróciłem do domu.

Całe dni teraz siedziałem przed zwierciadłem, przechodząc przez nieopisane rozkosze, ale i nieopisane męczarnie. Kiedy się przeglądała w lustrze, wzrok jej padał wyraźnie na mnie, czułem ten wzrok, upajał mnie, byłem jej wdzięczny za to długie, długie spojrzenie. Ale po chwili spostrzegalem się, że to złuda, że ona patrzy na siebie a nie na mnie, że ona mię nie widzi, a nawet nie wie o mojem istnieniu I już po całej radości. Nieraz ręce złożywszy, mówiłem do niej, zasyłałem rodzaj modlitwy: próżno! ani odpowiedzi, ani znaku porozumienia. Coraz bardziej zwalniałem bieg przyrzędu, ażeby jak najdłużej przeciągać obrazy; pragną-

łem z jój ruchów i zajęć odgadnąć jój charakter; pod miękkim rozpieszczeniem téj wiecznej zadumy, pod tą prawdziwie kreolską bezczynnością, zdawało mi się, że dostrzegam cały wulkan uczuć, co przysypany kwiatami, tylko czeka wybuchu. Całe dni patrzałem, całe noce marzyłem, aż po kilku tygodniach spojrzawszy w moją duszę, przeląknłem się kataklizmu, jaki po niej przeszedł,—byłem innym człowiekiem, — zakochałem się, jak Faust, ze zwierciadła.

Tylko ta miłość była natchniona nie przez piekło, ale przez najczystsze moce nieba, szlachetna i na wskroś poetyczna.

Ale jednocześnie z tém wielkiem odkryciem, uczułem także, iż w podobnym rozłączeniu dalej żyć nie potrafię; postanowiłem całą Warszawę do dna przewrócić, wszystkie jój domy zejść od piwnic aż do poddaszy, dopóki nie znajdę mojej wizyi.

Zwierciadło oszczędziło mi téj pracy. Pewnego poranku, kiedy moja wróżka najprzesliczniej włosy układa, wchodzi do niej *groom* ze srebrną tacką, na której podaje list. Moja piękność otwiera go i czyta, a tymczasem druga strona papieru, zwrócona do lustra, przedstawia mi najwyraźniej podpis; co prędzej zatrzymuję przyrząd, aby unieruchomić obraz, i odwróciwszy litery, czytam:

A Mademoiselle Felicie Merlin—Rue Warecka—
był nawet i numer.

Wpół oszalały z radości, lecę na ulicę Wackerką, do wskazanego domu. Pytam się stróża; ten z początku zaprzecza, mówi, że nie ma osoby z podobnym nazwiskiem. Ale kiedy nalegam, kiedy maluję starą damę wożoną na krześle, stróż przyznaje, że istotnie mieszka tu dama wpół paralityczka, co ma przy sobie pannę do towarzysstwa. Może to ta, o którą pytam? Biegnę do rządcy domu, sprawdzam imię i nazwisko, pokazują się też same co na adresie listu.

Przez dwa dni krążyłem nieustannie w okół kamienicy, zadzierałem głowę ku gankom i szybom, nic nie mogłem dojrzeć, wszystko było hermetycznie zasunięte muslinem. Przechodzący oglądali się za mną podejrzliwie, ja wciąż stałem, zawsze w nadziei, że ujrzę choć rękę, chociażby pierścień czarnych włosów. Drugiego dnia wieczorem los nagroził moją wytrwałość: zajeżdża staroświecka landara, z bramy wytacza się chora dama, którą dwóch ludzi winduje do powozu, a za nią idzie..... moje bóstwo! Jeszcze dziś ją widzę, w skromnej zielonej kapotce, której garniowanie otaczało jej twarz obłoczkiem. Kiedy przechodziła, nie mogłem powstrzymać lekkiego wykrzyku; obejrzała się zdziwiona, spotkałem jej wzrok, ten sam wzrok..... i od téj chwili pokochałem nietylko jej postać, ale duszę.

Obie panie pojechały na spacer, a ja nie stałem już dalej na warcie, ale póty chodziłem po-

między znajomymi, aż znalazłem takiego, co u nich bywał, i ten w parę dni później przedstawił mię chorój damie; była to bardzo zacna matrona, wdowa po generale z napoleońskich czasów, która dla kuracyi dużo podróżując, przywiozła sobie z zagranicy tę zachwycającą towarzyszkę. Kilka miesięcy przeleciało mi w tym domu jak gdyby jeden dzień świąteczny. Felicja była cicha i małomowna, ale jedno jój spojrzenie zawierało całe tomy, całe poemata, jedna syllaba z jój zaklętych ustek wydarta, więćej znaczenia dla mnie miała niż najświetniejsze rozmowy innych kobiet.

Hallucini dostrzegł we mnie zmianę, — którą zresztą nietrudno było dostrzedz, — i zaczął jak zwykle żarty stroić z księżycowych westchnień i marzeń. Ale ja na ten raz już mu nie dałem żartować, wybuchnąłem z uniesieniem prawdziwego uczucia, siłłem się na odmalowanie mego ideału, a gdy słuchał z szyderstwem i ciągłym niedowierzaniem, prosiłem aby spojrzał w zwierciadło i powiedział mi czy kiedy widział co równego? Długo nie chciał patrzeć, mówiąc, że on już nieciekawy, że wszystkie ładne kobiety sobie równe. Póty nalegałem aż dał się namówić i spojrzał, raz jeden; spostrzegłem z podziwieniem, że się gwałtownie zaczerwienił, potem szybko odstąpił od zwierciadła i rzekł: „No, rzeczywiście niezwykajna, ale o czém tu gadać? Ożenić się przecię nie ożenisz?” — „A dla cze-

goż nie miałbym się ożenić?" zapytałem urażony jego despotycznym tonem.

Wtedy professor zaczął mi przedstawiać, że małżeństwo byłoby dla mnie samobójstwem duchowym, że odciągnęłoby mnie od świętszych celów i poszukiwań, w których mogę się dosłużyć najwyższego kapłaństwa, że przywiązałoby mnie do ziemi i do téj fortuny, którą powinienem wyłącznie poświęcić nauce. To zakończenie ostatecznie mię oburzyło; pomyślałem sobie: „Po co mi wracałeś tę fortunę, jeżeli chcesz mi ją całą pozrzeć, i trzymać mię jak małoletniego w nieskończonej opiece?”

Pierwszy to raz Hallucini mieszał się w moje postępowanie. Doprawdy, gdyby chciał mię namówić do tego małżeństwa, nie byłby mógł wziąć się na lepszy sposób. Postanowiłem choćby na złość jemu, ożenić się, mieć wolę i raz przecię zakosztować szczęścia. Tegoż samego dnia jeszcze poszedłem się oświadczyć.

Po ludzku sądząc, byłem dla Felicji wielką partyą. Z pocałowaniem ręki byłbym dostał niejedną pannę wysokiego rodu i mienia, a ona tymczasem była biedną sierotą, wychowaną bardzo pierwotnie w jakimś włoskim klasztorze, i zmuszoną do pełnienia gorzkich obowiązków *dame de compagnie*. Ale mnie to wszystko wówczas przez myśl nawet nie przeszło, szedłem ze drżeniem, wstydząc się mojej zuchwałości, nie przypuszczając, ażeby tak nadziemską

istota raczyła aż do mnie zstąpić. Podziwienie pani generałowej na moje oświadczyzny z początku mię przestraszyło, nie pochwyliłem jego prawdziwych powodów. Za to Felicya nie okazała ani wielkiego zdumienia, ani wielkiej radości; wprawdzie jój ogromne oczy zawsze wyrażały podziw, ale to był podziw dziecka, co z lepszych światów dostawszy się na ziemię, nie może jeszcze dobrze téj ziemi zrozumieć. Na moje najczulsze, najgorętsze wyrazy, niewiele więcej odpowiadała niż w zwierciadle, ale kiedy się uśmiechnęła, kiedy swoją rękę pozwoliła mi ująć, stała się jeszcze bardziej zadumaną, jak Peri, co sobie raj przypomina i która z sobą odbłask raję przynosi.

Małżeństwo moje narobiło wiele hałasu. Ludzie z początku dziwili się i przyganiiali; ale kiedy żonę w świat wprowadziłem, kiedy piękność jój uderzyła wszystkie oczy jak słońce, przestano się dziwić, zaczęto zazdrościć. Bo też jój piękność teraz dopiero uwydatniła się w stosowném otoczeniu; ciemne suknie i zielone kapotki zastąpiłem całemi skrzyniami szalów tureckich, tkanek indyjskich, najświetniejszych klejnotów, które umiała nosić jakby urodzona królewna. Prowadziliśmy dom otwarty i chętnie uczęszczany, gdzie sam sprawiałem prawie wszystkie obowiązki, bo Felicya siedziała tylko w głębi, jakby jakieś bóstwo na ołtarzu. Już to wykształcenia, w znaczeniu świato-

wém, trudno jój było przyznać, ale że mówiła mało ustami a dużo pięknoscią, wszyscy ją znajdowali rozumną. Miała przytém jakiś cichy majestat, który sprawiał, że gdziekolwiek weszła, wszędzie mimo woli i mimowiedzy stawała się pierwszą. A była nietylko małomówną, ale i nieruchomą; rozmiłowana w haremowej bezczynności, nie mogła się nacieszyć, że ją wyzwoliłem od tych drobnych a zmudnych zajęć, do których niegdyś obowiązki ją przymuszały, nie mogła mi się dość nadziękować. A, już co wdzięczną to umiała być aż do rozrzewnienia; żeby też kiedy czego zażądała, o co się przymówiła, nigdy! a wszystko ją radowało, bawiło nieledwie po dziecinnemu. Prawda, że i pod względem uczuć była istném dzieckiem; nie znalazłem w niej tego wulkanu, który zapowiadał się z oczu, ale znalazłem stworzenie potulne, ślepo przywiązane, a w każdym razie najwygodniejszą żonę, jaką wymarzyć można. Bawić się? Dobrze. Siedzieć w domu? Jeszcze lepiej. Nigdy mię nie podejrzewała, nie śledziła, mogłem cały dzień jój nie widzieć, a przecież za powrotem nie zastałem ani wyrzutu, ani twarzy schmurzonej. Żeniąc się, byłem w obawie co dalej pocznę z nauką, z memi doświadczeniami, których nie chciałem porzucić, a nie mogłem, ani też miałem prawa nikomu powierzać? Zgodny charakter Felicji od razu rozwiązał te trudności. Prosiłem, aby nie wchodziła

do mego, jak nazywałem, chemicznego laboratorium, i nietylko nigdy nie weszła, ale się nawet nie pytała, ani próbowała odgadnąć co się tam zawiera? Wolno mi było ile tylko chciałem, przestawać z książkami i zwierciadłami. Felicya czekała, zawsze uśmiechnięta, zawsze jednakowa. Czy to była obojętność? Czy natura mistyczna, żyjąca wewnętrzną poezją? Po całych godzinach siedziała na ottomance, bawiąc się jakim klejnotem, lub trzymając książkę o nierozciętych kartkach. Nieraz pytałem z podziwieniem, czy się tak nie nudzi? Odpowiadała: „Nigdy. Między ludźmi to czasem się nudzę, ale sama z sobą nigdy.” — A kiedy po ty sięcrazy rzucałem pytanie: „O czém się tak zamysliłaś?” Mówiła: „Sama nie wiem o czém....” — Raz tylko, pamiętam, odpowiedź wypadła inaczej: „O czém? O kraju, w którym się rodziłam.” A kiedy wypytywałem gdzie ten kraj leży, jak się nazywa, nie chciała odpowiedzieć i tylko oczy podniosła w niebo. Ach ileż razy badałem ją, czy pamięta rodziców? czy wie co o swoim pochodzeniu i dzieciństwie? Musiała albo rzeczywiście nie wiedzieć, albo mieć sobie srogo nakazaną tajemnicę, bo rozmowa najczęściej kończyła się na łzach jak u dziecka, aż nie chcąc jój dłużyć, zaniechałem pytań.

Hallucini przyjął wiadomość o moim ślubie ze wzburzeniem, które mi sprawiło wielką wewnętrzną radość; w tém wzburzeniu widziałem

omyłone rachuby, ukróconą tyranję, i chciwie pasłem oczy tym widokiem. Niedługo jednak dał mi się nim cieszyć; bardzo prędko powrócił do równowagi i do naszych spokojnych, naukowych zatrudnień. Kiedy chciałem go poznać z moją żoną, odmówił stanowczo, tłumacząc się ironicznie, że „z damami wysokiego tonu nie umie rozmawiać.” Odmowa ta bardzo mi na rękę wypadła. Znając jego złe zasady i pogardliwy pogląd na kobiety, wolałem nie nalegać. Zostaliśmy więc w życzliwych, ale coraz rzadszych stosunkach; przychodził do mnie czasem, i to już bocznemi schodami, posiedział ze mną godzinkę w gabinecie i wymykał się nie chcąc, aby moja żona jego cień nawet zobaczyła.

Co dziwniejszego paniom powiem: stał się daleko mniej wymagającym. Na przekorę wszelkim przewidywaniom, zaczął mój grosz oszczędzać i cenić; ile razy dochód swój pobierał, to przychodził solennie mi dziękować i naddatków żadnych już nie żądał. Tą delikatnością podbił mię ostatecznie. Sądziłem, że wydoskonalił się duchowo, część zasługi przypisywałem własnemu wpływowi, a ta myśl koronowała szereg błogich wrażeń, któremi wówczas losy mię obsypywały z usłużnością doprawdy nieprzykładną na tym smutnym świecie. Wtedy wszystko w mojem życiu składało się do zupełnej harmonii: kwitnące zdrowie i dobry

stan majątku, pomyslności światowe i ciche szczęście w domu, miłość i nauka, serce i myśl rozpromieniona, wszystko szło razem, wszystko ręka wrękę, jak gdyby jakiś taniec zawodziło. Takich pięć lat przeżyłem. To były lata prawdziwie szczęśliwe, ach! może nadto szczęśliwe! Może na téj planecie niewolno tylu słodocy zakosztować bezkarnie? Już wówczas, jak sobie przypominam, doznawałam niekiedy obaw Polikratesa, co czuje, że jakąś ofiarą będzie musiał okupić się Przeznaczeniu. Ach, nie trzeba mi było wyszukiwać tych ofiar, sam los przyszedł po nie, o cały dług upomniał się od razu jak u Joba, wszystko mi wydarł w jeden dzień!

Już w końcu piątego roku zauważyłem, że Hallucini'emu wracają się napady złego humoru i goryczy. Raz wieczorem przyszedł do mnie rozgorączkowany, wszystkie drzwi pilnie pozamykał, i po długim wstępie pełnym utyskiwań, wyznał, że granice rozsądku, jakie sobie zakreslił, są nie do zniesienia, że pensya, którą mu wypłacam, nie wystarcza mu nawet na życie, a cóż dopiero na poszukiwania naukowe, — potém ręczył, że w doświadczeniach jest już blizki najwyższych odkryć, ale na zbudowanie ostatecznego przyrządu, trzeba mu jednorazowej, dosyć znacznej summy, i z tych powodów podejmuje się odstąpić mi zwierciadlanego sekretu za pewnym wynagrodzeniem. — Kiedy za-

pytałem jak wysokie ma być to wynagrodzenie, zaśpiewał mi tak bajeczne summy, że prawie cały mój majątek byłby w nich utonął. Rozśmiałem się z oburzeniem i prosiłem: niech sobie poszuka amatora bogatszego odemnie, dosyć bogatego, aby po zapłaceniu sekretu miał przynajmniej o czém żyć dalej. Potém dodałem poważnie, że za kawalerskich czasów może byłbym się posunął do takiego szaleństwa, ale teraz kiedy mam żonę, dom i obowiązki, choćbym chciał, już nie mogę rozporządzać całością mego mienia.

Ta odpowiedź wydaje się prostą i rozsądną, a jednak..... może byłbym rozsądniej zrobił, nie słuchając rozsądku i zgadzając się na to żądanie? Majątek i tak się rozmarnował, a co-bym wiedział, tobym wiedział. Trudno..... już przepadło. Wtedy mi się zdawało, że najlepiej robił.

Tu mówiący chwilkę się zadumał, a ja zadrżałam, bo pani Marta z nietajoném zniecierpliwieniem ruszyła ramionami. Szczęściem pan Cezary nie dostrzegł tego ruchu, i opowiadał dalej z wielomownością, której szybkość i głośność wzrastała w sposób troszkę niepokojący.

— Myślałem, że mój Hierofant obrazi się tą odmową. Gdzie tam! Wysłuchał jakby na nią był przygotowany, przyznał, że czynię roztropnie, i zakończył głosem szyderyczym: „Istotnie, „może znajdzie się jaki inny amator..... lepszy

„znawca własnej korzyści..... W każdym razie nie będziesz mógł powiedzieć, że nie chciałem się z tobą dzielić memi zdobyczami. Nie, to nie. Jeśli kiedy pożałujesz, sam sobie winę przypisz.”

I odszedł, nietylko wesoły, ale tryumfujący, jak człowiek, co ma za pasem jeszcze inne zamiary.

Istotnie, po kilku tygodniach, przyszedł z temi *innemi* zamiarami. Ach! moje panie, wstydzę się nawet opowiedzieć wam co wtedy słyszałem. Chciał mię wciągnąć w jakieś oszukańskie przedsięwzięcia, w tak zwane *chintage*, co według niego miało nam napędzić huk pieniędzy; chciał za moje fundusze zakładać jakieś *biuro przepowiedni*, a co gorsza, jakąś *rewolwerową gazetę*, gdzie mieliśmy grozić ogłaszaniem skandalów podpatrzonych w zwierciadłach, od czego by się ludzie grubo musieli wykupować. Słuchałem w osłupieniu, a gdy skończył, zmieszałem go z błotem, tylko co za drzwi nie wypchnąłem. Wtedy roześmiał się dziwnie, rzucił mi się na szyję, wyznał, że to wszystko były próby moralne, i że odtąd już nie będę mógł nigdy poskarżyć się na niego. To wytlómaczenie obraziło mię niemal jeszcze więcej niż początek; oświadczyłem sucho, że nie lubię, aby mię brano jak dziecko na próby, że ubliża mojej uczciwości, kto śmie ją próbować, i wiele, wiele innych rzeczy. Ale gdym nagadał i na-

gniewał się, a on wszystko strawił z uśmiechem, cóż miałem dalej robić? Bądź co bądź, był to zawsze ów dobroczyńca, któremu wdzięczność obiecałem do śmierci; nie mogłem z nim zrywać, témbardziej że mi już nie dał powodów do zerwania, święcie dotrzymał słowa, od owego dnia już nigdy nie mogłem się na niego poskarżyć; pokorny, nienarzucający się i nic nieżądający, stał się nawet serdeczniejszym niż dawniej.

Pierwszy raz w stosunkach z nim odetchnąłem zupełną swobodą i ufnością; ale jednocześnie z tą ulgą, pokazała się z innej strony nie spodziana chmura.

Dziwne przeobrażenie dostrzegłem w mojej żonie.

Ta kobieta, dotąd niczego dla siebie niepragnąca, ta cicha, skromna marzycielka, stała się nagle Harpią niesytą upominków, klejnotów a nadewszystko pieniędzy.

Z początku byłem szczęśliwy, że czegokolwiek żądała, że mogłem czémkolwiek sprawić jej przyjemność, ale te żądania przybrały wkrótce niezrozumiałe rozmiary. Gdybym ją był taką znalazł nazajutrz po ślubie, powiedziałbym sobie: Ha, trudno! Lubi zbytek, dobrze to wiedzieć i mieć się na ostrożności. Tymczasem nie,—przez pięć lat przyzwyczaiła mię do innego o sobie pojęcia, purytańską bezinteresownością natchnęła mi cześć, której teraz boleśnie

mi było się pozbywać. Mówilem sobie, że ta nagła chciwość nie może pochodzić z jój charakteru, ale chyba z jakichś obcych wpływów. Kto na nią wpływał? Gdzie i kiedy? Nie mogłem ani zrozumieć, ani cienia domysłu schwycić, a jednak codzien bardziej zmieniała się do niepoznania. Ona, dawniej taka pełna prostoty, samą prawdą żyjąca, teraz wszystko zdawała się obrachowywać; miewała napady ponurości i złego humoru, których dawniej nie znałem; wprawdzie jeszcze więcej było przymilań się i nadszukiwań, ale kiedy zobaczyłem, że tak zasępienia jak pochlebstwa kończą się zawsze jakimś targiem, smutki jój przestały mię wzruszać, słodkie słówka przestały mię rozczulać, — zacząłem ją z pod oka badać, i przekonałem się z podziwieniem, że to wszystko było wykonywane niezręcznie, jakby lekcyja źle wyuczona, w której nawet nieraz biedne dziecko się zapominało. Dziś powiadam: biedne, dziś rozumiem, że i ona musiała męki przechodzić, ale wówczas nie mogłem nic rozumieć, i nawet w przebłyskach jój boleści widziałem dowody jakiegoś winy. Nieraz dostrzegłem, że patrzała na mnie ukradkiem, jak gdyby z rzewną litością, a łzy stawały jój w oczach, — nieraz rzucawszy mi się nagle w objęcia, mówiła: „Przepraszam cię... przepraszam!” I nie chciała tłumaczyć za co mnie przeprasza? Ja sobie powtarzałem: To chyba wyrzuty sumienia..... jeszcze

tyle jest niewinna, że się z niemi zdradza. I smutno mi się robiło — i gorzko. — Kilka razy byłem dość okrutnym, ażeby powiedzieć: Jakażes dzisiaj czuła! Czy znów jaka petycja? — Dziwna rzecz! Takie słowa ją widocznie raniły, i krwawo, — a jednak nie mogły jęj wyleczyć, i znów szło dalej wyludzanie pieniędzy na wszelkie sposoby i we wszelkich kształtach.

Gdybym najinniejszą miał żyłkę do skąpstwa, lub nawet oszczędności, nie dziwiłbym się niczemu; żona skąpca jest tak nieezczęśliwą istotą, że rozpacz może ją doprowadzić do nadużyć i podejść, wyradzających się z każdej niewoli. Ale tu nie śniło się o niczém podobném; jeżeli do czego byłem skłonny, to raczėj do zbytnej hojności, zwłaszcza dla Felicji, to też dręczyło mię nie żądanie funduszów, ale zagadkowe ich użycie. Gdzie się to wszystko podziewało? Bo w domu nie było żadnego przybytku. Przez pierwsze pięć lat wypłacałem jęj z własnej woli bardzo sutą pensyę, niby na stroje, chociaż nie miała potrzeby o nich myśleć, bo sam jęj znosiłem tyle strojów, tyle przepychów, że niepodobna było, już nie powiem zedrzeć, ale nawet przenosić wszystkich. Nigdy też nie spostrzegłem, aby kupiła cośkolwiek, choćby na owinięcie palca, ani dla samej siebie, ani tém mniej dla domu, bo zarząd całym domem należał do mnie, podjąłem się go od razu, chcąc ją zostawić jęj słodkiemu *far*

niente. Myślałem nieraz: Nie ma na co wydawać, niech sobie zbija kapitalik, — i nigdy nie ośmieliłem się zadać najmniejszego pytania. — Ale teraz, kiedy oprócz pensyi, oprócz szalonych strojów, zaczęła wymagać summ coraz okrągglejszych, ogarnął mię istotny podziw. Jeszcze jednak nie mogłem się odważyć na żadną zmianę w postępowaniu; dawałem wszystko co chciała, ile razy chciała, o nic się nie pytając i ciągle wyczekując na dobrowolne wyjaśnienia. Ale wyjaśnienia nigdy nie przychodziły. Felicja była coraz nienasyceńsza i coraz smutniejsza.

Po jakim roku zaczęły się odkrycia innego rodzaju. Ile razy na jaką zabawę chciałem, aby włożyła te lub owe klejnoty, zawsze mi odpowiadano, że są oddane do naprawy albo do przerobienia, i zawsze brakowało najpiękniejszych, a moja żona pokazywała się w samych wybiorkach. Najdroższe koronki wiecznie były w praniu, jeden szal turecki ogromnej wartości był nie do znalezienia, słowem takie dziwy się działy, że jednego dnia poprosiłem jęj ze zdumieniem i żalością, aby mi wytłómaczyła: co to wszystko znaczy? Po długich łzach, przyszło wyznanie, że wszystko to..... „sprzedała..... dla tych co potrzebują..... że ona nie może..... na żaden sposób nie może odmówić pomocy temu, który prosi.....”

Odpowiedź mię rozbroiła. Łagodnie ją stro-

fowałem za taką nieogłędną litość, przedstawia-
łem, że nie potrafię rokrocznie kupować jój no-
wych brylantów i koronek, i zakończyłem so-
lenną prośbą, ażeby najbardziej potrzebujących
do mnie odsyłała, a własnemu miłosierdziu po-
łożyła jakieś granice, choćby dla mojej spokoj-
ności.

Prośba nic nie pomogła. Po jakich dwóch
latach, już chodziła tak skromnie ubrana, tak
sobie widoczniena wszystko żałowała, dochody
rozprasząc w niewidzialny sposób, że mię
brał wstyd przed światem i obawa, aby mię nie
posądzono o sknerstwo.

Jój zwyczaje także się zmieniały. Ta kreolka
niepodobna do rozruszania, teraz dosyć często
wychodziła z domu. Miała powozy i służbę na
rozkazy, a szła zwykle pieszo i sama. Wpraw-
dzie nieobecność jój trwała bardzo krótko, jesz-
czem się nie obejrzał, już wróciła,—byłem prze-
konany, że odwiedza ubogich,—uwielbiałem e-
wangeliczne uczucie, co jój się każe ukrywać
z dobrymi uczynkami,—a jednak czasem.....
czasem..... ogarniał mię niepokój. Nadto jój
niosłem szacunku, ażeby podpatrywać jój kro-
ki. Miałem wprawdzie bardzo łatwy sposób
śledzenia jój życia, jeżeli nie za domem, to
przynajmniej w domu: nasze mieszkanie było
pełne zwierciadeł, ale się brzydziłem podobnym
szpiegowstwem, i obiecywałem sobie uroczyście,
że nigdy się do niego nie ucieknę. Cudzień so-

bie obiecywałem, a jednak codzień kiedy przechodziłem pomiędzy zwierciadłami, głos natrętny mi szeptał: One może wiele wiedzą?

Pożycie domowe stało mi się mniej miłe. Coraz więcej wracałem do mego Hallucini'ego, do rozpraw z nim i doświadczeń naukowych, przy których zapominałem o wszelkich kłopotach i niedobrych myślach. O! bo też wtedy profesor był zachwycający, bez żadnych wymagań, zawsze uśmiechnięty, coraz wymowniejszy i coraz poufalszy. Pewnego dnia, zauważywszy, że już dawno mię nie odwiedził, wybrałem się do niego. Było to w Poniedziałek, pamiętam jakby dzisiaj..... niepróżno Poniedziałek..... dzień feralny.

Zastałem go niesłychanie zajętego nowém i osobliwszém widowiskiem. Przyrząd magiczny był wycelowany jak zwykle, ale na co? Za czarną tkanką, zamiast prostego zwierciadła, stał manekin okryty—zbroją zwierciadlaną. Dziwny ten sprzęt wyglądał na jakąś odwieczną starożytność, zwierciadła składające misterną całość, były już mgliste, w wielu miejscach popękane i poobtłukiwane; główne jednakże kawałki, ten zwłaszcza, który na piersiach tworzył rodzaj pancerza, zachowały się bez uszkodzenia.—Pierwszemu pytaniu było, ma się rozumieć: co to jest? Jakiego to rycerza średnio-wiecznego fantazya? Professor uśmiechnął się tryumfalnie i zawołał: „Aha! Co to jest? Ani

mniej ani więcej tylko skarb, unikat, zawierający w sobie misteryum pyszne i straszne. Tylko chodź i zobacz.”—Przystąpiliśmy do rynsztunku, i na blaszce łączącej naramiennik z napierśnikiem, zobaczyłem drobniutko wyryty napis: *Jan Tauer anno 1557.* — To nazwisko i ta data rozbudziły nagle moją pamięć. Chwytam się za głowę i wołam: Czy być może? A to nieoszacowana pamiątka!

Tu pan Cezary się zatrzymał, jakby i z naszych ust oczekiwał wykrzyknika.

— Cóż, panie jeszcze nic nie miarkujecie?

— Czekaj pan..... czyby to było? Ale nie..... Jakoś na ten raz moja znajomość historii mię zawodzi,—odrzekłam nieco zawstydzona.

Pan Cezary uśmiechając się równie tryumfująco jak niegdyś Hallucini, roztworzył czarną księgę, i szybko trafiwszy na wiadomy sobie ustęp, zaczął czytać:

„Za Zygmunta Augusta, w Warszawie, w roku 1557-m, w lochu na pogorzeliisku kamienicy Starego Miasta przesiadywał bazy-liszek.....”

— Przepraszam, kto taki?—przerwała pani Marta.

— Ba-zy-li-szek,—powtórzył kładąc nacisk na każdą zgłoskę. — „Przesiadywał bazyliszek. „Dwoje dzieci padło trupem od jego wzroku „i dziewczyna wysłana po nie. Urząd miejski „zaczął śledztwo, zmiarkowano, że musiał być

„w téj jamie bazyliszek. Siedział w więzieniu „Szlązak Jan Tauer, skazany na śmierć, temu „obiecano darowanie życia, jeżeli miasto od tak „zgubnego potworu uwolni. Przyjął chętnie to „polecenie; „okryto więc go,” — uważajcie pa- „nie,—” okryto go całego zwierciadłami, i wpu- „szczono do lochu. Po godzinie, wyszedł z dro- „wo, niosąc w ręku nieżywego bazyliszka, któ- „ry przejrzawszy się w zwierciadle, zabił się „własnym wzrokiem.” — Tak opisują kroniki. A teraz, przyznacie panie, że pomysł genialny. Jest to najdowcipniejsze, najmędrzeż użyte zwierciadła, o jakim kiedykolwiek pod słońcem słyszano. O! bo też za Zygmunta Augusta mądry ludzie byli u nas! Co to za pyszne skorzystanie z téj morderczości wzroku, odwrócić go przeciw samemu sobie! Nie prawdaż?

I pan Cezary znowu się zatrzymał, a patrzył we mnie wzrokiem tak upornie badawczym, tak szczerze mówiąc nieprzyjemnym, że zaczęłam się mieszać.

— Istotnie panie — odpowiem, — jak sobie teraz przypominam, czytałam to podanie gdzieś..... w Zmorskim czy Wójcickim..... ale zawsze je brałam po prostu za haśń..... sami ci autorowie nie podają go inaczej, tylko jako tak zwaną *klechdę*.....

→ A co ja temu winien — krzyknął z gniewem pan Cezary, — że Wójcicki albo Zmorski pomieszali prawdę z bajkami? Ja tu pani czytam da-

ty, nazwiska, rzecz działa się w czasach niedawnych, doskonale znanych, a pani mi wyjeżdżasz z klechdą? Fakt historyczny i basta. I notabene, nie jedyny w historii — dodał, uderzając pięścią o poręcz krzesła.

Wtedy pani Marta położyła dłoń na jego rękę, jak się czyni z osobą, którą się chce uspokoić, i spytała:

— Ale pan przecież nie mówisz na seryo? Pan nie masz pretensyi, abyśmy wierzyły w bazyliuszka?

— Mam nie tylko pretensyę, ale mam prawo żądać i wymagać, abyście panie wierzyły, wołał rozogniając się do najwyższego stopnia. — Mam prawo, a to prawo nadaje mi nauka, która bada i tłómaczy tam, gdzie nieuctwo rusza ramionami. Gdybym paniom wytłómaczył.....

Ale tu pani Marta, ze swojej strony także zaperzona, przerwała wybuchem oburzenia:

— A za kogo to nas asanmasz? Za dzieci, czy co? Czy to asan niańka, żeby opowiadać takie brednie? Jeszcze może nam każesz wierzyć w smoki, feniksy i salamandry?

Pan Cezary uśmiechnął się z dumą człowieka zupełnie pewnego siebie.

— Już to proszę pani, — odrzekł, — dużoby mówić o tém wszystkiém. W bajkach ludowych ukrywa się zawsze tło jakiś prawdy historycznej albo naukowej. Weźmy naprzykład takiego gryfa, pół lwa a pół orła; rzecz

zdaje się śmieszna, nieprawdopodobna, zestawienie ptaka z czworonożnym zwierzęciem sprzeciwia się na pozór zasadom natury, a jednak proszę pani, w ostatnich czasach podróżnicy odkryli, że na innym lądzie, w Australii, znajduje się zwierzątko ssące, czworonożne, z dziobem, z prawdziwym dziobem! Nawet nazwano je *Dziobakiem*, *Ornithorhynchus paradoxus*. A co? Reputacya gryfa uratowana. — Albo smoki? Czyż te wszystkie *ichtyosaury*, *plesiosaury* i różne inne stworzenia z epoki przedhistorycznej, które Cuvier i jego następcy tak cudownie odbudowali, nie są wyraźnemi pierwowzorami potworów, o których lud gada? Jest nawet w ich liczbie pewny płaz olbrzymi, nastroszony rodzajem skrzydeł, którego dość zobaczyć na rysunku, ażeby zawołać, że to zupełny, najzupełniejszy smok! O, bo lud ma dobrą pamięć! Nic się dłużej nie przechowuje niż ustna tradycya, i ręczę paniom, dobrze poszukawszy, pokazałoby się, że wszystkie legendy o istotach, które niesłusznie zwiemy *bajecznemi*, są po prostu wspomnieniem jakiejś fauny zaginionej albo ginącej. Czy panie sądzicie, że za kilka tysięcy lat nie wyginą także z oblicza ziemi lwy, tygrysy, hyeny, i wszelkie drapieżne zwierzęta? Już dziś ich mniej daleko niż bywało dawniej. Człowiek przy coraz potężniejszym rozwielenianiu się na globie, rozmnaża istoty użyteczne, a niszczy i wytępia szkodli-

we. Aż nastąpią wieki, w których figury Iwa przyjdzie szukać w starój tablicy heraldycznój, i gdyby nie wysoka oświata, która teraz w opisach, pomiarach, fotografiach, najdokładniej wszystko przechowuje, możeby niejedno dzisiejsze nasze zwierzę uchodziło także kiedyś za bajeczne?

Styl naukowy pana Cezarego troszkę zachwiał stanowczość moich pierwszych powątpiewań. Ale na pani Marcie nie było znać zachwiania. Wcale nawet nie zdawała się słuchać jego uczonych wywodów. Jój wzrok wyrażał głębokie przerażenie; spoglądając to na niego, to na mnie, potrząsała głową jak osoba co mówi:

— Już po wszystkiém Szkoda człowieka!

Pan Cezary musiał dostrzedz to pogardliwe kiwanie, bo nagle poczerwieniał i zatoczył wzrokiem niezaprzeczenie błędnym. Złęklam się, czy ten wzrok nie objawia chorobliwego stanu; ale przyszło mi na myśl, że i rozpacz umie podobnie patrzeć, a pan Cezary musiał tyle razy napotkać wzgardę i niedowierzanie! Zaprawdę, mógł być doprowadzony do rozpacz.

Czułam, że wchodzimy na ów grunt niebezpieczny, z którego zwyklesłuchacze panu Cezaremu uciekali..... Czułam, że i w téj chwili szyderstwo pani Marty gotowo mu zamknąć usta, a ja koniecznie chciałam usłyszeć koniec téj historii, postanowiłam bądź co bądź go zdobyć,

choćby chwilowym kosztem przekonań i rozsądku.

Nadając więc memu głosowi zupełną powagę, zaczęłam:

— Dobrze, zgadzam się na twierdzenie, że w bajecznych legendach można odnaleźć niejako wycisk epoki dawno zapomnianej. Ale jakąż naukową podstawę pan dasz istnieniu bazyliuszka?

Zagadnięty odpowiedział zapytaniem:

— Wierzycie panie w *dżetaturę*?

Pani Marta odcięła się sucho:

— Nie wierzę w żadne zabobony ani głupstwa.

— A pani? nalegał, zwróciwszy się do mnie.

Postawił mię w niemałym kłopotcie. Wstyd mi trochę było pani Marty, a strach mi było jego zrazić,—a przytém..... z ręką na sercu. ... nie mogłam powiedzieć, że w nic a nic nie wierzę.....

Wzięłam się więc na odwagę i rzekłam:

— Ja państwu tylko to powiem: przed moim wyjazdem do Włoch śmiałam się z dżetatury, od powrotu z Włoch, już się z niej nie śmieję.

Moja towarzyszka wzdrygnęła się i spojrzała na mnie prawie tak jak na pana Cezarego..... ale za to panu Cezaremu oblicze rozjaśniło się zwycięzko.

— Otóż to! — zawołał. Dość jest odrobiny doświadczenia, aby się wyleczyć z téj ciemnej

pychy, co kładzie brzydką ironię w usta..... Kiedy pani byłaś we Włoszech i rozumiesz do czego może dojść straszna potęga wzroku, wiedz pani, że bazyliszek jest to po prostu *kogut, co ma dżetatureę*.

Pomimo owego *po prostu*, określenie wcale mi się nie wydało proste. Przy najlepszej woli, ręce mi opadły. Cóż dopiero pani Marta! Zaczęła salopkę naciągać na ramiona, mówiąc półgłosem:

— A, na rany Boskie! Jakże tu dalej wytrzymać?

I już miała wstać, ale ja za rękę ją chwyciłam.

— Kochana pani, przypuśćmy..... co to pani szkodzi przypuścić..... na chwilę..... że to prawda? Jam taka ciekawa końca téj historyi!

Spojrzała na mnie z uśmiechem litości jak na dziecko, któremu się nie ma serca odmówić przysmaczka, i siadła napowrot, — ale odtąd aż do chwili pożegnań już ust nie otworzyła, i głowę ciągle od nas odwracała, patrząc ku drzwiom z upragnieniem. Ja zaś, jak to zwykle w takich razach się dzieje, dla zamalowania jój strasznego humoru, stałam się dwakroć uprzejmiejszą.

— Łaskawy panie, mnie to bardzo zaciekawia..... powiadasz więc pan, że to kogut, który.... Ale najprzód, dla czegoż kogu t?

— Dla czego? To jakbyś pani pytała się, dla

czego grzechotnik jest wężem? Jest nim, bo jest. Czy bazyliszek bywał zupełnie do naszych kogutów podobny, czy stanowił jaki odrębny gatunek, téj wątpliwości nie podejmuję się rozwiązać, bo sam go nie widziałem; ale wszystkie tradycje przedstawiają nam go jako ptaka, i to z kurzego rodu. Wprawdzie wyobraźnia przestraszonych pokoleń dodała do tego wizerunku pełno różnych cudactw, i te nauka odrzuca, jako namiętałości późniejsze, ale one nic nie dowodzą przeciw samemu podaniu. Wszak i historia pełna jest później dorobionych przystrojzeń? Stare pieśni opowiadają szczegółowo, jako cesarz Karol Wielki zdobył grób Chrystusowy; dziś wiemy, że to bajka, że stopa jego nawet nie powstała w Palestynie, a jednak z téj bajki nikt nie wyciągnie wniosku, aby Karol Wielki nigdy nie miał istnieć? Owszem, jest-to jeden jeszcze dowód, jak mocno uderzył wyobraźnię narodów, kiedy na karb jego wielkości kładziono wszystko, co później po świecie działo się wielkiego. I tak bywa z każdym zjawiskiem. Jak dobrze mówi francuzkie przysłowie: *On ne prête qu'au riche*.

Tu pan Cezary znów otworzył księgę i czytał na wrywki:

— „Bazyliszek, z greckiego *basileus*, król, od „grzebyka na głowie, niby dyademu.... U sta- „rożytnych, miał mieć ogon węża w górę za- „darty, skrzydła nietoperza, ciało i głowę ko-

„guta, z narostem na głowie w kształcie korony,
 „od której i nazwisko jego pochodzi. U nas,
 „postać jego przedstawiano, że był wielkości
 „kury, z ogonem gadziny, szyją indyczą i za-
 „biemi oczyma. Wzrok miał tak morderczy,
 „że na kogo spojrzał, ten padał nieżywy. Na-
 „wet kiedy się przejrzał, zabijał się własnym
 „wzrokiem i t. d. i t. d....” Tu właśnie nastę-
 puje anegdota o Janie Tauerze. Oto jak pa-
 nie widzicie, nieżadam, abyście wierzyły w nie-
 toperze skrzydła, albo żabie oczy, ale mam głę-
 bokie przekonanie, że między kurami trafiają się
 osobniki obdarzone siłą wzroku magnetyczną,
 elektryczną czy galwaniczną.....

— Proszę pana, dla czegoż tylko pomiędzy ku-
 rami? Czemuż inne zwierzęta nie mają tego
 wzroku?

— A niech mi pani powie, czemu *dżetatura* tra-
 fia się prawie wyłącznie na półwyspie włos-
 kim? W innych krajach ludzie z *urocznymi o-
 czami* są bardzo rzadcy. Pytanie nawet czy
 wszyscy nie daliby się wywieść z jakich rodzin
 italskich? Wszelkie podania o tych oczach
 i sposobach odwrócenia ich wpływu, rozeszły
 się pierwotnie z ksiąg etruskich. Widocznie
 więc jest to zjawisko czysto fizyologiczne, po-
 chodzące z klimatu i temperamentu. Według
 mnie, jest to *magnetyzm źle użyty*, którym pew-
 ni ludzie są obdarzeni jak pewne węże, co umie-
 ją magnetyzować ptaszki, ażeby je pozrzeć.

— Przyznaję panu, że *dżetatura* może być nieprzyjemna, niezdrowa, nawet szkodliwa, jednak nigdy nie słyszałam, ażeby na miejscu zabijała?

— A wie pani dla czego? Bo cywilizacya przytępiła już w człowieku tę władzę, tak jak w nim przytępiła mnóstwo dziwnych instynktów, co pozostały nietknięte w zwierzętach. Pewien jestem, że człowiek z *urocznymi oczami*, wzięty w stanie zupełnie dzikim, potrafiłby zabijać wzrokiem. Teraz po wiekach oświaty i uobyczajenia, wzrok ludzki dużo złagodniał; dziś nawet u najgorszego człowieka, magnetyzm oczny zawsze jest okiełznany wolą i rozumem; ale włóżmy ten magnetyzm w oko bezmyślnego i rozżartego zwierzęcia, a ślepo uderzy nie mierząc swego ciosu. Kur jest sławnym złośnikiem; uchodzi za symbol czujności, a jabym go raczej obrał za symbol gniewu. Cóż łatwiejszego niż podzięgnąć te stworzenia do najwyższej zapalczowości? Anglicy dziś jeszcze brzydko się bawią walkami biednych kogutów. Bardzo więc łatwo przypuścić, że były między nimi gatunki albo osobniki, które dosłownie piorunowały wzrokiem, tak naprzykład jak..... jak drętwa piorunuje dotknięciem. Wszak wiecie panie co jest *drętwa*? Francuzka *la torpille*, Linneuszowska *Raja torpedo*, gatunek ryb węgorzowatych, których uderzenie wstrząsa i ubezwładnia człowieka, a inne ryby na miejscu za-

bija. Aha! Widzę, że porównanie z *torpedami* zaczyna panią przekonywać. A czemu? Bo dotknąłem przedmiotu znanego i dowiedzionego. Gdyby drętwy należały do istot przedpotopowych, kopalnych, gdyby pisał o nich tylko Herodot albo Wójcicki, rzuciłabyś pani książkę, mówiąc: „Ot stary bazarz, plecie sam nie wie co.” Ale że *Raja torpedo* należy do fauny żyjącej, to pani wierzysz, i nawet niebardzo się dziwisz, chociaż podług mnie drętwa jest równie zadziwiająca jak bazyliisek; jedno i drugie posiada w sobie rodzaj straszliwego stosu Volty; cała różnica, że jedno go posiada w oku a drugie pod pletwami.

— Istotnie, muszę przyznać — porównanie do drętwy uczyniło na mnie dość mocne wrażenie.

Byłabym jeszcze z godzinę chętnie rozprawiała o magnetyzmie wzroku i cudownych jego własnościach, ale widząc jak pani Marta kręci się na ławce, jak chciwie ku drzwiom spogląda, ściągnęłam rozmowę na główny gościniec.

— Bardzo dobrze; już nie chcę panu przerywać przeczeniami ani pytaniami; wróćmy do owój zbroi, która mię niesłychanie zaciekawia. Czyżby to była ta sama?..

— A tak! Właśnie ta sama, która ocaliła życie Szlązakowi Tauerowi, a z nim razem nie wiem ilu Warszawianom i Warszawiankom.

— I jakże dostała się Halluciniemu?

— Najprostszym sposobem. Faktorowie warszawscy, wywiedziawszy się o naszymi guście do zwierciadeł, znosili nam ich pełno, tak nowych jak starych, nawet głównie stare, bo o te dbaliśmy najwięcej. Otoż pewnego razu handlarz przyniósł mu i te dziwne kawałki, znalezione pod strychem jednej z najstarszych kamienic Starego Miasta. Professor wziął je z początku za prostą zabawkę, ale dostrzegłszy napis, pomiarkował coś się święci, i za marny pieniądz kupił ten nieoceniony zabytek. Ach, bodajby nigdy nie był kupował! Człowiek ani wie, jak sam nieraz biegnie naprzeciw nieszczęściu. Biedny professor, tak się cieszył swoją zdobyczą! Tłómaczył mi jój prawdopodobne koleje: musiała być przechowywana w rodzinie Tauerów, albo może i w magistracie miejskim, a teraz mogła stać się ozdobą jakiego muzeum. Ale wartość historyczna była wedle Halluciniogo jeszcze najmniejszą jój zaletą.

„Ja—mówił — znajdę w niej inne skarby, „stokroć drogocenniejsze. Rassa bazyliszków „już widocznie wyginęła na świecie; ludzie pó- „ty je tępili, aż nie słysząc już o nich. Dla bez- „pieczeństwa ludzkiego to lepiej, ale dla nauki „to niepowetowana strata. Otoż ta zbroja „przedstawia już ostatni i pewnie jedyny pod „słońcem sposób sprawdzenia istności bazylisz- „ka. Jeżeli legendy prawdę mówią, zwiercia-

„dłó pokaże mi jego obraz, na żywe oczy zoba-
 „czę to, co już nigdzie nie istnieje tylko w tém
 „odbiciu; przekonam się jak ów potwór wy-
 „glądał, i troszkę może nawet jak spoglądał?
 „Już studuję wszystkie te lusterka od długich
 „tygodni, ba! od całych miesięcy. Przelecia-
 „łem przeszło dwa wieki wtył; przegląd idzie
 „szybko, bo dotąd mało było ciekawych wido-
 „ków; zbroja leżała po strychach i salach, do
 „których prawie nikt nie wchodził; ale teraz mi
 „się wydaje że jestem już blizki celu. Wystaw
 „sobie, już widziałem ludzi w strojach z cza-
 „sów Henryka Walezyusza;—jeden krok jesz-
 „cze, a stanę w epoce Zygmunta Augusta. Lada
 „dzień, lada chwila, zobaczę scenę z Tauer'em,
 „a po niej zobaczę bazyliszka żywego!”

Zapał profesora i mnie z początku porwał.
 Jednak po chwili przyszła mi myśl przestrasza-
 jąca: jeżeli wzrok bazyliszka odbity w zwier-
 ciedle mógł jego samego zabić, czyż i terazniej-
 sze jego odbicie nie groziło jeszcze niebezpie-
 czeństwem dla widza?

— Tu przerwałam panu Cezaremu:

— Czemuż nie położył ruty przed zwiercia-
 dłem? Przecież to wiadomy sposób. Ruta
 wyciąga cały jad z takich oczu. Onego cza-
 su w Wilnie, kiedy bazyliszek wyglądał szcze-
 liną z piwnicy zawalonej, rzucano do niej ru-
 tę; pierwsza wiązka zbielała i uschła, następne
 coraz mniej, aż gdy wydobyto wiązkę zupełnie
 świeżą, bazyliszek już był nieżywy.

Odważając się na tę czarnoksiężką erudycję, przewidywałam, że wiele stracę w oczach pani Marty, która też spojrzała na mnie oczami mówiącemi: „Jak to? I ty już zaczynasz?” — Ale za to ileż zyskałam w oczach pana Cezarego! Klasnął w ręce, wołając:

— Pani wiesz o tém? Ach, z panią aż miło mówić. Otóż przysięgam, ja mu słowo w słowo to samo radziłem, ale Hallucini odrzucił radę z pogardą, oświadczając, że chce widzieć wzrok bazyliuszka żyjący i działający, a nie wyssany przez rutę. Potém tłómaczył mi bardzo obszernie sposoby, jakimi ma nadzieję uniknąć niebezpieczeństwa; najprzód — wedle niego — po trzech wiekach przerwy, odbicie wzroku musiało dużo utracić na swojej sile, niejako zblaknąć i wywietrzeć. Powtóre, samo rozłamanie promienia na tylu ściankach zwierciadlanych, mogło tę siłę podzielić. Nakoniec zapewnił mię; że nie narazi się na sam promień, ale będzie zaglądał z boku. „Przecież—mówił, — i na piorun można patrzeć i nie zginąć od niego, byle się nie znaleźć pod samym piorunem?” Miał nawet zamiar położyć żywą żabę przed zwierciadłem i zobaczyć co się z nią stanie? Gdyby wzrok działał morderczo, chciał unieruchomić obraz, potém zaprosić uczonych z całej Warszawy, i powtórzyć przed nimi doświadczenie. „Toż to dopiero—wołał — będzie się miasto trzęsło od tylu odkryć na raz!” Jed-

nak w tych świętych marzeniach, nagle zwiesił głowę, i biorąc mię za rękę, wyznał ze wzruszeniem, że jest inne niebezpieczeństwo, co go straszy więcej od samej śmierci... „Wzrok bazyliuszka—pisze Valerianus, — kiedy jest osłabiony i już nie może zabijać, wtedy jeszcze „może człowieka pozbawić zmysłów.”

„O! To -- wołał Hallucini—groźba gorsza „od wszystkich... Ale trudno... Dla nauki trze- „ba się nieraz narazić; dla niej ludzie giną w pu- „styniach afrykańskich i lodach podbieguno- „wych. Jeżeli zginę albo rozum stracę, będę „męczennikiem nauki, nie pierwszym i nie ostat- „nim.”

— Przyznacie panie, że ten zapal był piękny i szanowny, okupował niejedną wadę w professo- rze. To też go słuchałem ze szczerem uwiel- bieniem. Gdyśmy w najlepsze rozprawiali, zapukano tu, do drzwi wejściowych. Ude- rzenia odzywały się lekko, ale w pewnych odstępach, jakby na umówiony sygnał, i jedno- cześnie głos kobiecy przededrwi zapytał: „Czy można?”

Słowa były proste, jednak wzdrygnąłem się na nie, jakby na trąbę sądną. Ach, bo w tym głosie poznałem, a przynajmniej wydało mi się, że poznaję głos dobrze mi znajomy. Wiele in- nych kobiecych głosów mogło być do tego po- podobnych, mogłem się mylić, jednak coś szepta- ło mi, że się nie mylę... Głos drogiej osoby

tak żywo drga w sercu, że można go rozpoznać między tysiącem innych.

Najlepiej było wstać i sprawdzić od razu domysł, ale ja skamieniałem. Są chwile, w których człowiek chciałby, powinienby otworzyć oczy, a zamyka je z trwogi, aby nie zobaczyć prawdy, może strasznej.

Hallucini tymczasem rzucił się ku drzwiom gwałtownie, odchyliwszy je nieco, zamienił kilka słów przytłumionych, z których tonu zmiarkowałem, że odpędza natrętne odwiedziny; zatrzasnął drzwi,—suknia zaszeleściła po wscho-
dach,—professor wróciwszy do mnie, śmiał się i utyskiwał na ciekawe damy, co mu nie dają spokoju, co go tu nawet w sanctuarium nauki nachodzą, żądając przepowiedni i sekretów piękności. Śmiał się i żartował, ale z pod oka wciąż na mnie spoglądał; może chciał wymiarkować, czy domyślałem się czego? A może tylko dziwił się mojej nagłej zmianie, bo musiałem być wielce pomieszany. Gdy na wszystkie sposoby usiłowałem dalej nawiązać rozmowę, gdy rozprawiał o zwierciadłach i bazyliisku, ja rozbierałem przypuszczenia, czy to ona, czy nie ona? Przecież Hallucini jój nie znał? Przecież stanowczo nie chciał się z nią poznać? I ona miałaby do niego przychodzić na tę nieznaną uliczkę, do tej zakłętą pracowni? Czy i ona szuka jakich czarów?

Ostatecznie powiedziałem sobie, że pewnie

mię słuch omylił, że to śmieszne złudzenie. Jednak nie mogłem już odzyskać wesołości, i wyszedłem, prawie nie pożegnawszy gospodarza. Ach, gdybym wiedział co nas czeka, byłbym się z nim przynajmniej pożegnał!

W domu zastałem Felicję dumającą jak zawsze na swojej ottomance. Mielśmy tego dnia u siebie wielki proszony obiad, goście zostali na cały wieczór; nie znalazłem ani chwili wolnej do rozmówienia się z Felicją; zresztą, cóż tu powiedzieć? Czcze przypuszczenia, które mogła zbić jedném ruszeniem ramion. Śledziłem tylko ukradkiem jęj rysy i ruchy: była zupełnie spokojna. Ta swoboda i mnie uspokoiła; jednak wpatrując się ciągle w jęj twarz i postać, odkryłem rzecz dziwną: niejaki podobieństwo fizyczne między nią a Hallucinim, jakby pochodzili z tęg samęj rodziny, a przynajmniej z tego samego szczepu. Trudno wytłómaczyć, czemu to podobieństwo nigdy przedtem nie zwróciło mojęj uwagi? Może z powodu, że nigdy ich obok siebie nie widziałem, nigdy ich w wyobrażeniu mojęm nie łączyłem. Owego dnia pierwszy raz w myśli ich zestawivszy, spostrzegłem tę wspólność typu, niezaprzeczoną, choć bardzo daleką, bo Felicja przedstawiała wszystkie jęgo strony miękkie i urocze, a Hallucini przedstawiał stronę potęzną i nie-miłą.

To spostrzeżenie, choć samo przez się nic

niedowodzące, nabawiło mię nowego niepokoju; nazajutrz, jak tylko Felicya wyszła z domu, przeniosłem czarną zasłonę i skrzynkę do jéj buduaru. Może źle robiłem? Ach, pewno, że źle. Kto chce za wiele widzieć, jak ten co słucha podedrzwiami, najczęściej źle wychodzi na swojej ciekawości. Przez nią to może ściągnąłem cios najokropniejszy... Ale wówczas wydawało mi się, że mam zupełne do niéj prawo, że mam nawet obowiązek wglądania w najskrytsze tajniki mego domu. Zresztą wmawiałem w siebie, że to jedyny środek na rozpędzenie czczych podejrzeń i utwierdzenie mojej wiary w Felicyę.

Buduar jéj pełen był zwierciadeł; jedno zwłaszcza, stojące, tak zwane Psyche, odbijało całą połowę pokoju, a z nią i ottomankę, na której Felicya pół życia spędzała. Nastawiwszy przyrząd, spostrzegam ją niezadługo w lustrze, siedzącą na sofie i gorzko płaczącą; twarz ukryła w rękach, nie słyszę jéj łkania, ale go się domyślam po konwulsyjnym ruchu, co wstrząsa tą prześliczną główką. Na ten widok rozrzewnienie chwyta mnie za serce, chciałbym przebić szklaną ścianę, pocieszyć ją, rzucić się do stop jéj, kiedy nagle... spostrzegam u tych stop.. kogo? Hallucinię! Klęczy u jéj kolan, wyciąga ręce, jakby ją zaklinał i błagał, a ona z oczami chustką zakrytemi, daje znak odmowny, ale taki słaby, taki już mdlejący! Odjęła

chustkę od oczu, przemawia do niego z błagalnymi ruchami, jakby się tłumaczyła, jakby go przeproszała! Ach, byłbym dał resztę życia, aby usłyszeć jedno słowo, jeden odcień ich głosu! Co się ze mną działo, tego i nie próbuję opowiedzieć. Po chwili, inna scena. Felicja wstała, z szafy dobywa pudrko, otwiera je i pokazuje je Halluciniemu. W pudrku widzę garnitur szmaragdowy, który jej przed miesiącem dałem. Hallucini ogląda go, uśmiecha się, garnitur mu się widocznie podobał, bierze go i po prostu chowa do kieszeni. Nogi się podemną zachwiały jakby ziemia się rozstępowała; zasłoniłem oczy, nie mogąc dalej patrzeć... Więc to tam ginęły wszystkie moje klejnoty, wszystkie moje dostatki! Chciałem odepchnąć przyrząd, rozbić w pył zwierciadło... Krwawa ciekawość jeszcze raz kazała mi zajrzeć. Scena znowu się odmieniła, ale obecny obraz trudniejszy do wytłumaczenia: teraz Felicja klęczy u stop Halluciniego, teraz ona załamuje ręce i błaga i zaklina,—co dziwniejsza, jego po rękach całuje z jakąś osobliwszą pokorą, a on wyraźnie czyni jej wyrzuty i odwraca się obrażony. W jednej chwili oboje znikli,—pokój został pusty.

Nie mogłem dłużej ustać, siadłem trzęsąc się jak w febrze, rozumiejąc tylko to, że byłem haniebnie zdradzony,

Więc się znali? Widywali się tu w moim

domu? Przypomniałem sobie gwałtowny rumieniec Hallucinięgo, kiedym w zwierciadle pokazał mu Felicyę. Widać, że wielkie, za wielkie sprawiła na nim wrażenie. Może jakiś czas bronił się od tych wrażeń, może przez uczciwość nie chciał się z nią poznawać; ale co potem zaszło? gdzie się spotkali? co ich zbliżyło?

Przystąpiłem raz jeszcze do otworu w zasłonie, chcąc wyczerpać kielich gorzkiej wiedzy, ale po chwili przyrząd zaczął warczeć i stanął. Pomimo nakręcania sprężyny, nie chciał już nic pokazywać, bo zabrakło płynów i proszków, które stanowiły magiczną własność maszyny, a które Hallucini co czas niejaki dolewał i dosypywał. Zgroza mnie wzięła na myśl, że bez współdziałania tego człowieka nie potrafię już nic zobaczyć, że nawet chcąc zbadać jego własne postęпки, musiałbym do niego udać się o pomoc.

Wprawdzie po chwili powiedziałem sobie: „A po co mi jeszcze badać? Czyż nie dość już zobaczyłem?” I zacząłem sobie przypominać tysiące szczegółów, które mnie utwierdzały w mojem przekonaniu. I tak, może przed rokiem, jednego razu przechodząc przez dom Roelera, spostrzegłem jak Hallucini w bramie rozmawiał z jakimś człowiekiem, co na mój widok szybko umknął; umknął, jednak w nim poznałem owego niby Węgra, co niegdyś mi

sprzedał zwierciadło Felicji; a gdym spytał profesora, z kąd zna tego człowieka? odpowiedział mi spokojnie, że to jeden z faktorów, co mu dostarczają zwierciadeł. Odpowiedź ta wówczas mnie zadowoliła, ale dziś we wszystkiém dostrzegąłem dowody potajemnych stosunków. Przyszło mi na myśl, czy i Felicja nie jest Cyganką, nasłaną na mnie jako narzędzie obcej woli? Wszystko teraz przeciw niej się obracało; sam dziwny gatunek jęj urody, osobliwsze rozmiłowanie w beczynności, wszystko świadczyło za tém pochodzeniem.

Uczułem nietylko rozpacz, ale wstyd, na widok oszukaństwa, jakiego padłem ofiarą. Mówiłem sobie: Oto para intrygantów od lat całych wzięła mię w obroty, a ja dawałem się ludzi i wyyskiwać! Jeszcze Hallucini... ten przynajmniej w przeszłości miał zasługi,—ależ ona! ona! której wierzyłem jakby aniołowi z nieba!“

Wprawdzie sceny podpatrzone w zwierciadle mogły uleż różnym tłómaczeniom. Gdyby w takiej chwili można mieć sąd jasny i rozwagę, byłbym zrozumiał, że ta dramatyczna rozmowa nie jest podobna do rozmów czułej pary: Sam zresztą wiek Halluciniowego powinien był odwrócić podejrzenia; ale ten dziwny człowiek, pomimo liczby lat nieodgadnionej posiadał jeszcze tyle szatańskiej potęgi i wymowy, jego włosy sztucznie czy prawdziwie krucze,

nadawały mu taki fałsz młodości, że mówiłem sobie: „Kto wie? Na istotę mało wykształconą i dziecinną jak Felicja, ten czarnoksiężnik mógł rzucić rodzaj uroku, rodzaj opętania, któremu uległa jakby duchowej dzeltaturze.“ Zapłakałem nad nią, i przekląłem godzinę, w której Halucini zaszedł mi drogę jakby zły geniusz mego życia.

W tej chwili drzwi się otworzyły, i Felicja, prawdziwa Felicja, wbiegła, w szalu i kapeluszu, wesoło wracająca z miasta. Zobaczywszy mię w swoim buduarze, z radosnym okrzykiem rzuciła mi się na szyję, a w tym ruchu było tyle szczerości, w jej twarzy tyle niewinności, że zawahałem się i głos w mojej duszy zawołał: „Chyba zwierciadło skłamało.”

Jednak wkrótce sama na nowo obudziła moje podejrzenia. Zobaczywszy czarną zasłonę i nastawiony przyrząd, odsunęła się, wołając z oburzeniem:

— „Cóż to? już i tu wtargnąłeś z twoją zwierciadlaną machiną? Do mnie? To nieszlachetnie!”

Zarzut nieszlachetności tak jest zawsze bolesnym, że nawet wtedy spuściłem przed nim oczy. Ale po chwili podniosłem je, trzęsąc się z gniewem na to nowe odkrycie.

— „Aha! — krzyknąłem — więc ty wiesz co to za machina? A dla czegoż przez te wszystkie lata nigdy nie mówiłaś o niej? Udawałaś, że

nie nie wiesz? O! jak widzę, dużo tu było udawania.“

I wybuchnąłem przepełnioném sercem, opowiedziałem sceny widziane w zwierciadle, obсыпаłem ją wyrzutami i obelgami,—a ona stała z głową spuszczoną, zupełnie jakby winowajczyni,—aż gdy zacząłem wołać:—„No, cóż tak stoisz? Nawet nie próbujesz się bronić?”—podniosła załzawione oczy, i składając ręce, rzekła:

„Mężu kochany! Ty, coś mi był zawsze i jesteś jedynie ukochany! Chwilkę cierpliwości.. Mogłabym się obronić jedném słowem, ale mi tego słowa nie wolno wyrzec. Jestem związana przysięgą. Ale pobiegnę zaraz, teraz, będę póty błagała, aż mię rozwiąże z téj okropnej przysięgi, aż pozwoli mi się usprawiedliwić.. Ach, ja zawsze przewidywałam, ja mu zawsze mówiłam, że te wszystkie sekreta skończą się na nieszczęściu; a on nie chciał wierzyć, mówił, że dla nas wszystkich lepiej, abys ty nie wiedział... A teraz?”

I wybiegła jak wicher.

Zostałem gubiąc się w domysłach. Niezadługo, porwał mię śmiech gorzki.

„Tak—powtarzałem,—pobiegła go ostrzedz, ułożyć z nim nową komedję. Mędrsza ona niż się wydawała, ale im nie pozwolę spokojnie ról się uczyć, zamęcę im spisem..“

I chwyciwszy za kapelusz, wybiegłem także. Właściwe mieszkanie Hallucinięgo było na No-

wym Świcie. Tam pędzę. W pół drogi przypominam sobie, że professor spędza zwykle cały ranek w swoim laboratorium... Felicya wie pewno dobrze gdzie i kiedy go zastać. Jeśli więc mam ich znaleźć, to tylko na ulicy Młynnej... zmieniam kierunek, lecę jak szalony... ale droga długa... Ach, gdyby nie to opóźnienie, byłbym uprzedził może cios najopłakańszy!

Kiedy wbiegałem tu na schody, drzwi od tego pokoju z trzaskiem się rozwarły. Felicya z nich wyleciała trzymając się za głowę i krzycząc w niebogłosy: „Mio padre! Mio padre!”

Pomimo pomieszczenia wszystkich moich pojęć, ten wyraz mię zastanowił, pierwszy raz nasunął mi myśl osobliwszą...

Tymczasem Felicya minęła się ze mną na schodach, i nawet mię nie spostrzegłszy, uciekała przez sień na dziedziniec.

Chwilę zawahałem się, czy biedz za nią, czy iść na górę? Druga chęć przemogła: chciałem spotkać Hallucinię, i jeśli mam powiedzieć prawdę—zabić go na miejscu. Czém? jak? anim wiedział; ta żądza ogarnęła mię ślepo i niosła bez namysłu.

Ale wpadłszy tu do pokoju, zobaczyłem, że mię przeznaczenie uprzedziło. Hallucini leżał na podłodze nieżywy.

Ten widok nagle mię ostudził. Zacząłem się rozglądać. Nie miał na sobie żadnej rany, tylko był dziwnie nabrzmiały i czarny. Leżał na

wznak, z rękami rozkrzyżowanymi, jak człowiek, co upadł z przodu uderzony. Już najmniejszego znaku życia nie mogłem się w nim doszukać.

W pokoju panował nieład trudny do wytłómaczenia. W głębi, zbroja żwierciadlana, potłuczona w tysiączne kawałeczki, świeciła na ziemi w około połamanego manekina. Czarna tkanka, rozdarta, wisiała strzępami. Bliżej, wszystko było przewrócone i porozbijane, — skrzynka z magicznym przyrządem, — szkatułki z płynami i proszkami, — wszystko sypało się i płynęło.

Nie mogąc nic zrozumieć, wybiegłem za Felicyą sądziłem, że od niej dowiem się powodów nieszczęścia. Ale jakże ją zastałem! Biegała po ulicy, zrzuciwszy kapelusz, z rozwianymi włosami, załamując ręce i krzycząc jakimś głosem nieczłowieczym..... A ludzie powychodziwszy przed sienie i fórtki, wołali z przestachem: „Waryatka!“

Istotnie, kiedym ją dogonił, uchwycił za ręce i spojrzał jój w oczy, te oczy mię nie poznały. Felicya była obłąkaną.

Pan Cezary zamilkł i zwiesił głowę, — a ja przerażona zapytałam:

— Na miłość Bożką! Cóż się to stało? Co się tam porobiło?

— O pani! Chyba jakieś oczy patrzące z nieba mogły widzieć co się tam stało. Z dwóch osób które były jedynymi działaczami i świadkami

téj sceny, jedna umarła, druga utraciła zmysły, i tajemnica przepadła między niemi.

Wprawdzie..... gdybym odkrył zagadkę zwierciadlaną, tajemnica ta wyszłaby na jaw, bo owa scena, oprócz dwóch osób, miała jeszcze inne świadki: zwierciadła. Całe laboratorium było niemi obwieszane,—one wszystko widziały, one mogłyby wszystko opowiedzieć; cóż kiedy dotąd są to świadki nieme? Przechowałem je święcie, pilnując ich jak oka w głowie,—pozbyłem się wszelkich rzeczy, byle nie stracić tych dokumentów. Patrzcie panie, oto są te same zwierciadła co wówczas tu wisiały, te same! I pomyśleć, że w nich odmalowana jest cała ta przygoda! Leży tu, w szkłe, jakby fotografia w zamkniętym albumie,—tylko otworzyć, a wyjdzie świeża i żyjąca..... a już tak mało trzeba mi do otworzenia!

Pan Cezary wstał, i pościągawszy łatanę opony, ukazał nam szereg różnokształtnych zwierciadeł, — a ja zadrżałam na myśl co się w nich ukrywa?

— Już więc teraz nie będziecie się panie dziwiły, że tak namiętnie szukam klucza téj zagadki; pędzi mię nie tylko naukowa ciekawość, ale bolesna żądza zrozumienia mojej własnej przeszłości.

Tymczasem karmić się muszę samemi domysłami. Nie zastąpią one czystej prawdy; jednak, po długich latach dumania i rozumowa-

nia, wyciągnąłem z nich wnioski, które nieledwie mogą starczyć za pewność.

Z początku sądziłem, że to mój gniew, moje wyrzuty, stały się powodem wszystkich nieszczęść, że Hallucini i Felicja widząc się odkrytymi izgubionymi, wpadli w rozpacz, co jego doprowadziła do samobójstwa, a ją do obłąkania. To przypuszczenie było tak straszne, że o mało i mnie samego nie pozbawiło zmysłów.

Ale nagle przypomniałem sobie bazyliszka, i z tém przypomnieniem, od razu, wszystko się wytłómaczyło, wszystko stało się jak dzień jasny. Widocznie, Hallucini dalej studyował zbroję, i pomimo wszelkich swoich ostrożności, trafił na wzrok potworu, który go spioruńował. Potwierdzało ten domysł nabrzmienie i zczernienie trupa, zwykły znak śmierci zadanej przez bazyliszka; potwierdzała i nieżywa żaba, którą znalazłem pomiędzy zwaliskami téj sceny, także odętą i prawie na węgiel spaloną. Biedny professor stał się istotnie męczennikiem nauki.

Felicja, moja nieszczęsna Felicja, wbiegła tam pewnie w chwili kiedy już leżał martwy. Przerażona tym niepojętym widokiem, szukając bez wątpienia jego przyczyn, musiała oglądać się do koła, musiała rzucić okiem i na zbroję a w niej napotkać spojrzenie bazyliszka, co w pół wyczerpane, nie miało już dość mocy aby zabić, ale jeszcze jój miało dosyć, aby odebrać rozum.

— Oczemużem patrzył w tę przeklętą Psyche? wołał pan Cezary, wskazując wysokie zwierciadło na nóżkach, co świeciło w kącie pokoju. Nie próżno ono się tak złowróżebnie nazywa! Sama historia greckiej Psychy uczy, że nigdy nie trzeba przemocą wglądać w cudzą duszę. Gdyby nie ta moja zazdrośna ciekawość, Felicja nie byłaby się tu znalazła w chwili katastrofy,—żylibyśmy dotąd szczęśliwi—tém szczęśliwsi, że właśnie zbieg wypadków umożliwił jój wyznanie, rozwiązywał ją z przysięgi przez nagłą śmierć ojca... bo Hallucini musiał być jój ojcem.

Na twierdzenie to nie mam żadnych dowodów autentycznych, — ale mam przekonanie wyciągnięte z tysiącznych wyrażen i wykrzykników, jakie jój się wrywały podczas obłąkania, a przekonanie takie, dla mnie, osobiście, posiada więcej wagi niż najwyraźniejsze dokumenta.

Ciągle powtarzała: „Mio padre! Mio padre!“ — Bo od chwili obłądu, nie mówiła już innym językiem jak tylko włoskim, w którym pewnie była wychowana. Czasem wprawdzie używała także wyrażen z jakiegoś mowy nikomu nieznanój, ale może to były dźwięki bez żadnego znaczenia, dzikie utwory pomieszania.

Powiedzcie panie, z kąd jój ta ciągła myśl o jakimś ojcu, o którym nigdy przy zdrowych zmysłach nie mówiła? Nieraz w krwawój omył-

ce, mnie brała za tego ojca, kląkszy przedemną, całując mię po rękach, włócząc się u moich kolan, (zupełnie jak w owój zwierciadlanej scenie), wołała z rozpaczą: „Ojczy! pozwól, abym „powiedziała wszystko Cezaremu! On się nie „obrazi..... Zobacysz, tobie niczego nie zbraknie.... Ja od niego jeszcze więcej otrzymam „niż dawniej..... Tylko pozwól powiedzieć, bo „w takim ludzeniu dalej żyć nie można, ja na „niegospojrzeć nie śmiem.“—A potóm, zerwawszy się, z oburzeniem dodała: — „Nie chcesz? „Nie pozwalasz? Powiadasz, że nami pogardzi? „A jeśli sam się domyśli albo dowie? O, wtedy „jeszcze więcej pogardzi!“

Czasem zdawała się pamięcią sięgać w dawniejszą, przedślubną epokę; raz ją zastałem płaczącą i skarżącą się: „Pokazał mi go w zwierciadle, pozwolił mi go pokochać, a teraz mi „nie pozwala nawet powiedzieć mu kto jestem? „Powiada, że onby się nie chciał żenić z córką „Halluciniego. Czemu? Czyż to taka hańba? „Nie, nie rozumiem, a jednak muszę przysiędz „milczenie.... muszę, inaczéj mię za niego nie „wyda. Ale co to będzie potóm? Czy ja potrafię całe życie udawać?“

Wprawdzie te wszystkie wyznania, które ja tu jasno i porządkiem wypowiadam, u niej snuły się bezładnie, przeplatane wybuchami dziwactw i śmieszności. Inni słuchali ich z liutośnym uśmiechem, nie widząc żadnego mię-

dzy niemi związku, ale ja dopatrywałem w nich połamane szczątki przeszłości, i z przerażeniem gromadziłem je w sercu, aby z nich odbudować jój bolesne dzieje.

Hallucini w ciągu swego awanturniczego życia, mógł ożenić się i owdowieć (Może i nie raz jeden?). Później, kiedy strwonił fortunę, kiedy wszelkie środki już wyczerpał, kiedy mojej cierpliwości nadużył i czuł, że wymykam się z pod jego wpływu, sprowadził pewnie córkę w zamiarze, aby przez nią ten wpływ odzyskać. A dobrze rozumiał, że dla dopięcia celu musi ukryć jój pochodzenie, bo istotnie.... gdybym od początku był wiedział czyją jest córką, nie wiem czyby mnie odwaga nie była odbiegła.... tak przesądnie bałem się tego człowieka. Ach, ja żeniąc się, byłem pewien, że jemu na przekór czynię, że daję dowód silnej woli, a ja tylko spełniałem jego własne plany! Dla tego to on tak upornie odradzał mi owo małżeństwo.... Aha! znał mój charakter, wiedział, że niczém bardziej do niego mię nie popchnie. A ów rumieniec zagadkowy, to był rumieniec tryumfu! Pewien jestem, że to on podsunął owego faktora ze zwierciadłem, on ułożył scenę z listem, ażebym bez uiczyjój pomocy, niby przypadkowo znalazł adres Felicyi. Zdaje się, że i jój musiał najprzód pokazać mój obraz w zwierciadle, a później, kiedyśmy się poznali, kiedy jój serce, przemówiło, biedaczka przy-

stała na wszelkie warunki ojca, byle połączyć się ze mną.

I nie ma co mówić, cały ten plan był bardzo mądrze osnuty. Hallucini i córce świetny los zapewnił, i mnie uszczęśliwił, i sobie otworzył nowe źródła dostatku. Wszystko szło dobrze, może aż do końca byłoby przeszło bez chmury, gdyby ten człowiek zdolny był zachować w swoich żądaniach jakąkolwiek miarę. Przez pierwsze lata jeszcze się wstrzymywał, ale im dalej, tém więcej wymagał. Córka wszystko mu oddawała, a nigdy mu nie mogła wystarczyć. Pewnie oburzał się na jęj nieśmiałość, radził i uczył jak mnie wyzyskiwać? Ach, co ona musiała wycierpieć! Teraz rozumiem jęj milczenie, jęj niewytlómaczone smutki. Jak jęj musiała ciężyc ta wieczna tajemnica! A ojciec nie pozwalał, i nie pozwalał na żadne zwierzenia, prawdę mówiac nawet i nie mógł pozwolić; raz już zabrnąwszy w komedyc, która się tak wybornie udała, lękał się popsuc wszystko niewczesnem wyznaniem.

Moze i nie naprózno się lękał. Dzis, kiedy śmierć i tyle nieszczęść rozgrzeszyło go nieco w moich oczach, sądzę te wypadki spokojniój,— ale wówczas, gdybym się był nagle przekonał, że zostałem jak to mówią *złapany*, nie wiem czybym nie zerwał z ojcem i nie stracił serca do córki?

A byłoby to największą niesprawiedliwością,

bo ona mnie kochała głęboko, prawdziwie, mnie tylko jednego kochała. O, na tobym przysięgł! Gdyby jój serce zamykało w sobie najmniejszy cień zdrady, byłby się ten cień objawił w czasie obłądu, wtedy kiedy wola już nie stoi na straży instynktów i myśli, byłby wystrzelił jakimś imieniem, jakimś wykrzyknikiem, tymczasem ona tylko o mnie mówiła, tylko mnie szukała.

Tak, szukała! A chociaż stałem jój na oczach, nigdy już nie mogła mię poznać. Kiedy jój mówiłem: „To ja, twój Cezary!” Odpowiadała: „Nie żartuj ze mnie, coś ty za jeden? jak ty śmiesz udawać Cezarego? on odjechał, on mnie wypędził, on zabił mego ojca za to, że ja mu nie powiedziałam prawdy. Jak ja mogłam powiedzieć, kiedy przysięgłam? ale teraz powiem. O ja nieszczęśliwa! gdzie mój Cezary?...” I uciekała odemnie, szukając mnie i nawołując. Ach, to było rozdzierające! Owo uciekanie zaczęło nawet przybierać coraz groźniejsze rozmiary, niezadługo przeszło w zupełną nienawiść, jeszcze jeden dowód jój dawniejszego przywiązania, dowód straszny, ale wymowny, bo wiadomo, że obłąkani najmocniej nie cierpią tych, których niegdys najbardziej kochali. Nieraz pamiętam, kiedym na nią wołał: „Felicjo, moja Felicjo!” Odpowiadała żałośnie: „No felice, ma infelice.”

Pan Cezary zasłonił ręką oczy i zamilkł

Pani Marta na dobre zapięła salopę, poczem rzekła wstając:

— No, smutnie się skończyło, ale z tém wszystkiém nam już czas do domu.

— Chwilkę tylko!... zawołałam. Cóż Felicya? czy jeszcze żyje? a maszyny Hallucini-ego, cóż się z niemi stało?

— Felicya żyje dotąd, chociaż jakby nie żyła... stracona dla mnie i dla świata. Halluciniemu sprawiłem przyzwoity pogrzeb, jego laboratorium zaraz odnająłem dla siebie i zatarasowałem nic nie tknąwszy, w myśli, że kiedyś do niego powrócę, ale dopiero kiedyś, bo w owój epoce zajęty byłem jedynie leczeniem Felicji. Z początku miałem nadzieję, że to łatwo pójdzie. Tymczasem, po kilku miesiącach wyrok tutejszych lekarzy wypadł niepomysłnie. Zatrwożony, zacząłem ją obwozić po całej Europie, próbować wszystkich klimatów i kuracyi. Nic nie pomagało, owszem stan jój ciągle się pogorszał. Dwóch przedmiotów zwłaszcza nie mogła znosić: widoku zwierciadła i mojej osoby; jedno i drugie przyprawiało ją do najgwałtowniejszych wybuchów. Kiedy wszyscy doktorowie jednomyślnie uznali, że ten rodzaj choroby jest nie do wyleczenia, wpadłem w istotną rozpacz. Co tu dalej z nią robić? Musiałem tylko z daleka czuwać nad nią, bo na oczy jój nie mogłem się pokazać.

Nakoniec trafiłem na rodzaj lekarstwa, które

nie przywróciło jój zdrowia, ale przyniosło wielką ulgę. W przejeździe przez Wenecyę, zauważyliśmy szczególny i niemal cudowny wpływ, jaki to miejsce na nią wywierało; musiała chyba wiek dziecinny przepędzić w Wenecyi, bo ledwo się tam odnalazła, wszystkie jój myśli zmieniły się i jakby cofnęły w przeszłość; zapomniała zupełnie o swoim ojcu, o mnie, o latach zameżcia; wydawało jój się, że jest małą dziewczynką, i jeśli tylko nie widziała ani mnie, ani zwierciadeł, była swobodna jakby dziecko, nawet wesoła aż do figłów. Korzystając z téj prawdziwie opatrznej wskazówki, umieściłem ją w zakładzie obłąkanych, który się znajduje pod Wenecyą na pięknej, ozielenionej wyspie. Przewidując, że Felicya może mię przeżyć, bo tacy chorzy długo żyją, zapisałem na jój imię część mego majątku, z której ma do dziś dnia wygodne, a nawet zbyt-kowne utrzymanie. Jest dla niej osobne mieszkanie z ogródkiem, jest pieczołowita opieka. Felicya przekonana, że się znajduje w klasztorze na pensyi, od lat całych odrabia lekcye, odmawia pacierze, polewa kwiatki, stroi lalki, bawi się z urojonemi rówienniczkami, i po swojemu jest szczęśliwa. Jeszcze niedawno dyrektor zakładu mi donosił, że coraz weselsza i zdrowsza.

Ja przez jaki rok siedziałem w Wenecyi, zawsze oczekując co chwilę polepszenia. Ale

przeświadczywszy się, że moja obecność tylko szkodę jój przynosi, powoli wróciłem do Warszawy, dokąd mię przyciągało laboratorium Hallucinięgo i zagadka zwierciadlana, jedyny już odtąd cel mojego życia.

Po stracie domu, szczęścia, wszelkich związków, długo chodziłem jakby struty, długo miałem nadzieję, że anioł śmierci przyjdzie mię wybawić. Ale śmierć nie przychodzi wtedy, kiedy jej żądamy. Widząc nieużyteczność moich oczekiwań, powiedziałem sobie, że to życie złamane musi mieć chyba jeszcze jakiś cel do spełnienia, że muszę być jeszcze do czegoś na świecie potrzebny, i rzuciłem się napowrót w objęcia nauki. Ach, co to za dziwna czarodziejka! Nie powiem, aby mię pocieszyła, — na rozdarte moje serce nie ma już na tym świecie lekarstwa, — ale potrafiła mię ogłuszyć, przenieść w inne sfery i tak zająć, że czas, co mi w beczynności śmiertelnie ciężył, teraz dzięki jój obietnicom, nie wiedzieć gdzie mi się podziewa. Oto już kilkanaście lat jak za nią gonię; kilkanaście lat, a mnie się zdaje, że onegdaj zacząłem. Anim się spostrzegł, jak mi włosy zbielały, jak siły opadły; codzienne oczekiwanie wielkiego wypadku utrzymuje człowieka w naprężeniu, w jakimś wyzwoleniu od zmysłów, podobném do stanu duchów nieśmiertelnych.

Mogłoby się zdawać, że posiadłszy wszystkie

przrzyądy profesora, i po jego śmierci mając już prawo je rozbierać, badać, porównywać, powinien byłem prędko dojść do jego tajemnic? I mnie się tak z początku zdawało, ale szereg przeszkód czysto materyalnych, jakiś drobnostkowy fatalizm, opóźniał mię na każdym kroku. Jak panie wiecie, w laboratorium znalazłem wszystko zburzone. Czy Hallucini upadając przewrócił przedmioty co go otaczały? czy Felicja w pierwszym napadzie szału rozsiała w koło siebie to zniszczenie? dość, że zastałem istny chaos. Machina, którą Hallucini u mnie zostawił, była wprawdzie cała, ale jak na przekorę wyczerpana, a tutejsza w drobne szczęty rozbita. Z potłuczonych flaszeczek płyny się wylały. Gdybym jeszcze był od razu przystąpił do poszukiwań, kto wie? kilka kropel ze dna wysączonych, kilka pyłków starannie pozbieranych, byłoby może od razu dokoła cudu? Ale między katastrofą a moim powrotem do badań, zaszła długa przerwa, całe cztery lata przejeżdżone z Felicją i przepłakane bez celu. Kiedy się odnalazłem w tym pokoju, wszystko w nim leżało niby zupełnie tak samo, a wszystko było już inne; cudowne proszki poginęły w grubych warstwach kurzu, ciecze się zsiadły i porozkładały, nawet czarne te tkanki, co u Halluciniego zawsze były miękkie i jakby tłuste, pozsychały się na istne wióry, i nic nie mogło przywrócić im połysku.

Wziąłem się do chemii, do téj saméj chemii, co w uniwersytecie tak mi się przykrzyła; teraz pożerałem jéj tajniki. Zgłębiłem optykę. Nie ma prawie nauki, którójbym na pomoc nie wezwał. Książki, narzędzia, doświadczenia, dużo kosztowały... pochłonęły cały dostatek... oprócz działu Felicyi, którego ma się rozumieć nie dotknąłem i nigdy nie dotknę, chociażby przyszło umrzeć z głodu, choćby przyszło wyrzec się odkrycia....

— O nie! zawołałam. Przeznaczenie nagrodzi tę szlachetność. Doczekasz się pan jeszcze dni lepszych.

— Przez kilka lat, oprócz téj pracowni miałem w środku miasta moje własne, piękne mieszkanie, potem je porzuciłem i tu się zupełnie przeniósłem; byle zatrzymać ten pokój. Niepodobna przypuścić, aby Hallucini tu gdzieś nie schował swojego sekretu. Musi być czy w ścianach czy w podłodze jakaś skrytka, a w niéj rękopism, albo narzędzie, albo flaszka?... Ja znajdę tę skrytkę. A jeżeli nie znajdę, to może i lepiej, sam dojdę do wynalazku. Już tyle zrobiłem! Gdyby tylko jeszcze jakaś ręka szlachetna...

Nie dokończył wyrazami, ale wzrokiem błagalnym.

— Aj! — zawołała pani Marta, dobywając zegarek, — trzy kwadranse na piątą! Już ledwo, ledwo zdążymy na obiad. No, do widzenia. Wrócę ja tu kiedy.

I nim zdołaliśmy się obejrzeć, już była za drzwiami. Poczekala na mnie dosyć długo, bo ja wynagradzając jój milczenie, musiałam za obie dziękować i obiecywać. Może nawet obietnic tych troszkę za wiele się sypnęło.... Ach, to tak trudno, opuszczając nieszczęśliwego, matematycznie mu odmierzać nadzieję!

Wysłałam pod wrażeniem jeszcze nieokreślonym, ale pełnym oszołamiających marzeń.

Schodzące wschodów nie śmiałam oczu podnieść ani wszcząć rozmowy, z trwogi, aby pani Marta jedynym słówkiem nie rozwiła tego upojenia.

W sieni znowu spotkałyśmy właścicielkę domu.

Nasze odwiedziny trwały tak długo, że przez te kilka godzin miała czas i przyrządzić obiad, i zjeść go, i przebrać się na przechadzkę; a nowy ubiór przemienił ją w inną osobę; ledwieśmy poznały zabiedzoną gosposię w tej prawdziwej warszawiance o wciętym fioletowym kostiumie i czupurnym kapelusiku.

Czekała na kogoś, i uderzając o próg parasolikiem, wołała:

— „Michał! A chodźże już Michale!”

Wytoczył się nakoniec Michał, a raczej pan Michał, pewnie małżonek fioletowej pani. Brzegiem rękawa jeszcze doglądał swój cylinder, bo miał cylinder i to świeżusienki, i pomimo buzi nieco buraczkowej, wyglądał na

pana właściciela i na człowieka mniej więcej edukowanego.

Spostrzegłszy nas, uśmiechnął się opiekuńczym uśmiechem gospodarza, co robi honory swego domu.

— Panie odwiedzałyście naszego biedaka? Bardzom wdzięczny. Zdałaby mu się pomoc, oj zdała!

— Pomoc może się znajdzie, — odrzekła pani Marta, — ale i pan mógłbyś też chcć troszkę odnowić tę szkaradną izbę.

— A! tego nie mogę, odparł pan Michał z majestatycznym oburzeniem. Tam nic nie godzi się zmieniać ani tykać, to pokój historyczny.

— Z jakiego względu historyczny? zapytałam nadstawiając ucha.

— Przed laty kilkudziesięciu, w tym domu, na téj facyatce, mieszkał sławny niemiecki autor Hoffmann.

— Jakto? Hoffmann, autor *Powieści fantastycznych*? ten czarodziej? ten nieporównany Hoffmann?

— Ten, ten, proszę pani.

— I masz pan jaki dowód?

— Jakiż mogę mieć dowód? Czyżbyś pani chciała, ażeby kontrakt o komorne przechował się od lat sześćdziesięciu? Pisanego dowodu nie mam, ale tradycya utrzymuje się ciągle.

Dom przez wiele rąk już przechodził, każdy

właściciel przekazywał ją następnemu, a żaden nie tknął pokoju, przez uszanowanie dla pamiątki.

Pomyślałam sobie: „osobliwszy sposób szanowania pamiątek! w każdym razie *najtańszy*. No, i proszę? Taka znakomitość tu mieszkała, a my autorowie nic o tćm nie wiemy... Ale bo też jeszcze pytanie czy to prawda? A dla czegożby nie miała być prawda? Hoffmann, ożeniony z Polką, niezmiernie rozmiłowany w Polsce, a nade wszystko w Warszawie, za tak zwanych pruskich czasów spędził tu długie lata. A teraz pytanie, dla czego pan Cezary nie chciał go wymienić? Aha, filut, zna ludzi... bał się, aby w wyobrażeniu pani Marty, a może nawet i w mojem, nazwisko Hoffmanna wszystkiego nie popsuło...”

Tak rozmyślając, zgubiłam wątek rozmowy. Kiedy oprzytomniałam, już moja towarzyszka była za progiem sieni, a pan Michał kończył w te słowa:

— Tak moje panie, tak, bieda z tym naszym lokatorem. Podobno i on był kiedyś literatem, nie dziwota, że dzisiaj w nędzy. Mówią nawet, że wiersze pisał; nie dziwota, że ma bzika.

Na te bluźniercze wyrazy obejrzałam się jakby sparzona, przez zaciśnięte zęby rzuciłam panu Michałowi w oczy straszne słowo: „Filister!” I przeszyłam go wzrokiem, któremu byłabym chciała nadać bazylijską potęgę.

Ale widać, że mój wzrok nie posiada podobnych gromów, bo pan Michał nietylko nie padł spiorunowany, ale się nawet nie zachwiał, a mojej obelgi musiał nie dosłyszeć, albo nie zrozumieć, bo ciągle wiévając kapeluszem, pożegnał nas jak najuprzejmiej.

Za furtką, ja wybuchnęłam zgrozą, pani Marta śmiechem:

— A, wyborne! wyborne! powtarzała. „Za twoje myto jeszcze cię obito.” Na samém wyjściu ładny cię spotkał komplement za twoje poczciwe zajęcie się tym półgłówkiem....

— Jak to, półgłówkiem? Więc i pani już przypuszczasz....?

— Nie, już nie przypuszczam, ale jestem pewna, ani wątpię.

— Jednak, w całym tym naukowym sekrecie zwierciadeł i w saméj historyi, nie widzę nic przeciwnego rozsądkowi, nic niemożliwego.

— Dobrze, ale bazyliszek?

— No, to prawda.... przecież.... dla jednego szczegółu trudno wszystko odrzucać. Przez tyle godzin mówił najprzytomniej, nawet bardzo pięknie. Sama pani słuchałaś go z zajęciem....

— Nie przeczę, dałam się złapać pozorom, bo też to nie żaden melancholik ani furyat, ale tak zwany fiksat. Z podobnymi ludźmi można czasem cały dzień mówić i jeszcze się nie spo-

strzedz. Dopiero kiedy trącisz o ich strunę fałszywą, nagle ci wystrzelą z konceptem. I ten długo się nie zdradzał, ale jak się też zdradził, to porządnie.

— Jakże jednak pani wytłómaczysz nagłą śmierć Halluciniego, nagłe obłąkanie żony?

Wytłómaczyć niełatwo, przecież znalazłoby się jeszcze sto innych przypuszczeń prawdopodobniejszych. Nagła śmierć nie jest żadną nadzwyczajnością; mogła być apopleksya, albo jakiś wybuch aptecznych substancyi, któremi ów cygan tak lubił się bawić.

— A Felicya z czego straciła zmysły?

— Ach, moja droga, przy takim mężu nie dziwno, że zwaryowała; dziwię się tylko, że nie wcześniej.

Zwykłym tokiem rozpraw ludzkich, im silniejsze czułam natarcie, tém bardziej zacinałam się w oporze.

— Proszę pani, mówmy spokojnie, naukowo. Są w magnetyzmie, a nadewszystko w potężo wzroku ludzkiego rzeczy jeszcze niewyjaśnione, siły jeszcze nie zużyte. Naprzykład... pogromcy lwów. To fakt niezaprzeczony; a jednakże, gdybyśmy zkądinąd o nim nie wiedziały, gdyby nam taki pan Cezary pierwszy raz o nim wspomniał, czyżbyś pani uwierzyła? Czyż to nie jest dziw prawie równy tamtemu, aby człowiek samém spojrzeniem ubezwładniał i

niejako w kamień obracał dzikie, ślepo rozżarte zwierzę?

Uszczęśliwiona tym dowodem, który mi w samą porę na myśl przyszedł, chciałam go dalej tryumfalnie rozwijać, ale pani Marta ścisnęła mnie za rękę, mówiąc:

— Moja kochańca, jeżeli chcesz bronić bazyliuszka, to adieu! wolę uciec, ażeby się na dobre z tobą nie pokłócić.

I rozeszliśmy się, niby ze śmiechem, a w rzeczy samej z odrobinką goryczy.

Wróciłam do domu wzburzona i niespokojna.

Co rzeczywiście myślę o bazyliuszku, tego wam jeszcze dziś nie powiem.... z obawy, aby w łaskawych waszych oczach nie zaszkodzić albo panu Cezaremu, albo samej sobie.

Ale cała reszta opowiadania, warta według mnie największej uwagi i współczucia.

Ach, jaka szkoda, — myślałam sobie siadając do obiadu, — jaka szkoda że dla kilku szczegółów rażących, niejeden gotów jak pani Marta, zwątpić o wszystkiém, i pana Cezarego nazwać....

Tu nie kończyłam, ale nazwa „półgłówka” dzwoniła mi w pamięci jak czapka trefnisia, i nie pozwalała myślom swobodnie się rozwijać.

Na szczęście, tegoż wieczora wpadła mi w ręce pocziwa książka Washingtona Irvinga:

Żywot Krzysztofa Kolumba. Przerzucając ją trafiłam na ustęp:

„Kolumb zabawił w Kordowie przez lato i jesień 1486 roku.... Blizkim wtedy był zupełnej nędzy, i z trudnością zarabiał na życie rysowaniem kart geograficznych. Miał nadto do walczenia z szyderstwem, wzgardą i dumą, temi nieprzyjaciołmi, co zawsze stawają na przekór skromnej a nieprzyznanej zasłudze. Jedni śmieli się z jego planów jako z marzeń dziwacznej głowy, inni gardzili nim jako awanturnikiem; mówią nawet, że dzieci naigrawały się z niego jak z waryata; kiedy przechodził, sięgały ręką do czoła, niby okazując siedlisko mniemanej jego choroby.”

Przeczytawszy, klasnęłam w ręce:

— Otoż to! Zawsze ta sama historia. A gdyby też Kolumb nie był dojrzał owego światełka, co go w ostatnim dniu ostrzegło o lądzie, gdyby się był wrócił o jeden dzień wcześniej, wszyscybyśmy to samo powiedzieli co ulicznicy Kordowy? O, powodzenie! powodzenie! straszne bożyszcze! W oczach ludzkich, ten tylko ma słusność komu się udało.

Takie były pierwsze nasze odwiedziny u pana Cezarego. Pierwsze, ale nie ostatnie.

Pani Marta wprawdzie, oburzona duchami i bazyliszkiem, o wynalazku już ani słuchać nie chciała, wynalazcy jednak nie opuściła zupełnie. Uważając go za biédaka upośledzone-

go na umyśle, zaopatrywała go w lekarstwa, w ubrania, zdrowe pokarmy, raz nawet sprowadziła doktora. Ten ostatni pomysł nie wypadł szczęśliwie; lekarz trafił na jedną z najgorszych godzin u chorego: wysłuchawszy i wybadawszy, ruszył ramionami, oświadczył na boku pani Marcie że nauka nie ma tu już nic a nic do roboty, że to „organizm fenomenalnie rozstrojony i wyniszczony, który lada chwila zgaśnie,”—co powiedziawszy, oddalił się ze złym humorem, dając do zrozumienia, aby drugi raz go próżno nie fatygowano.

Tymczasem chory, jak się to zdarza bardzo często, na przekorę najmędrszym przewidywaniom ludzkim, żyje i żyje, nie dni ani tygodnie, ale rok cały już przeżył od owego czasu, i ma nawet chwile, gdy zdaje się blizkim ozdrowienia.

Już to trzeba przyznać, że te chwile zawdzięcza nie pani Marcie, ale innym moim znajomym. Bo i ja też nie zaspiałam sprawy; w kółku mi najbliższém, póty rozповідаłam cuda o wielkiém odkryciu, póty się rozczulałam nad niedolą opuszczonych geniuszów, aż znaleźli się poczciwi ludzie, co zebrali składkę, i to nawet kilkakrotnie.

W tym dopiero kształcie dana pomoc, na prawdę uradowała pana Cezarego. Pani Marta i jój wspólnicy przynosili mu wszystko prócz pieniędzy. „Nie trzeba,” mawiali, „podsycać

w nim czcnych marzydeł i dawać mu broni w rękę." To też ich dary przyjmował obojętnie, możnaby prawie powiedzieć, niewdzięcznie. Starania łożone około jego osoby obruszały go i niecierpliwiły, jakby odkradzione wyższym celom.

Dopiero kiedy za gotówkę mógł naskupować narzędzi i książek, a z niemi wrócić do swoich kochanych doświadczeń, zaczął w naszych oczach istnie zmartwychwstawać. Zrobił się czynny, żwawy, przestał wspominać o bazyliškach i wszelkich cudactwach, czasem rozmarszczył się aż do żarciku, mówił rozumnie, naukowo, tak ściśle naukowo, że moje pióro nie potrafi nawet powtórzyć jego technicznych wyrażen. Ile razy sądził się już blizkim odkrycia, (a taki dzień wracał kilkakrotnie), wtedy nagle głos jego nabierał brzmień spiżowych, z pod wyblakłej cery występowały rumieńce i światła, aż rozkosz brała patrzeć na to magiczne odkwitanie pod różczką nadziei. Moi przyjaciele przyznawali z rozrzewnieniem, że chwila podobnego widoku już im wynagradza ich ofiary.

Jedną z największych przyjemności, jakie można mu sprawić, jest wypożyczenie mu pism peryodycznych i przelotnych utworów literatury bieżącej. Bardzo mu się podobały dzieła Flammarion'a, zwłaszcza *Récits de l'infini*, gdzie odnalazł, chociaż pod innym kształtem, wiele

pojęć dawno i dobrze sobie znanych. Ale już czego najchciwszy, to wszelkich *Przeglądów naukowych*, opisujących nowe zdobycze w państwie przyrodzenia. Wynalazki, w które nasza epoka tak jest obfita, namiętnie go zajmują; we wszystkich umie dopatrzeć jakiś dowód na poparcie swoich poszukiwań, bo istotnie, wszystkie nauki za ręce się trzymają. Fonograf go zachwyił. „Patrzcie, państwo,” mówił, „jeżeli można dźwięki utrwaląc i dowolnie „wskrzeszać, czemużby nie można tego samego „czynić z obrazami? Dźwięk daleko niepochwyt- „niejszy od kształtu. Zobaczycie, że niezadługo, „przyjaciele rozłączeni albo umierający, będą „zostawiali drogim sobie osobom nietylko fo- „nograf z żyjącą rozmową, ale i zwierciadełka „z żyjącem, poruszającem się odbiciem swojej „postaci i swoich czynności. A kiedyś... może „jeszcze większa pociecha zaświta nad gro- „bami... Może nauka zdoła rzucić choćby naj- „łżejszy mostek na tę okropną przepaść, co do- „tąd rozdziela żywych od nieboszczyków. Je- „żeli oto, kilka miesięcy temu, uczeni potrafili „najłotniejsze gazy doprowadzić do stanu cie- „kłego a nawet stałego, kto wie czy kiedyś nie „zdołamy skryzalizować i doprowadzić niejako do skrzepnienia tych postaci które dotąd „nazywano larwami, widmami, duchami, a „które są po prostu istotami złożonemi z pier- „wiastków jeszcze lżejszych niż gazy? Nie

„próżno o takich postaciach mówi się, że są
„eteryczne.“

Wprawdzie w liczniejszym kole, pan Cezary rzadko odzywa się z podobnemi wróżbami; dobrze on czuje że taki styl odstręcza mu zwolenników. Przedemną jedną wywnętrza się bez ogródki, i nie wiem czy z tego zaufania mam się chlubić, czy mam go się wstydzić? Pani Marta powiedziałaaby, że to jeden dowód więcej duchowego pokrewieństwa między Parnasem a domem Bonifratrów.

Nie ma jednak światła bez cienia. Jeżeli nawał nowych wynalazków zachęca pana Cezarego, z drugiej strony nabawia go śmiertelnych niepokojów.

„Trzeba się spieszyć,“ mówi on ze drżeniem, — „w naszym czasie, gdy wszystko pędzi, łatwo być wyprzedzonym. Okropnie się boję aby kto nie wpadł na ten sam co i ja pomysł, i z lepszymi środkami nie odkrył go wcześniej.... Bo to odkrycie jest w powietrzu, czuję wyraźnie jak między nami krąży i samo się prosi o głośne wyjawienie. Ale cóż? Pewno no przychodzi nietylko do mnie jednego.... Już może w Paryżu albo w Ameryce jaki uczoney....”

Tu pan Cezary najczęściej nie dokończy i gorączkowo bierze się do roboty. Nie dziwi mię wcale ta gorączka; jednoczesność odkryć w naukach przyrodzonych jest zjawiskiem bar-

dzo częstém i bardzo zastanawiającém. Nie dalej szukając, owo skroplenie i ustalenie powietrza, którém się unieśmiertelnił rok 1877, zostało na raz odkryte aż przez dwóch uczonych, przez Cailletet'a w Paryżu i Pictet'a w Genewie. Każdy z nich szedł odmienną drogą, a jednak obaj doszli do tych samych skutków. Światu nic nie szkodzi takie *bisowanie* prawdy, ale dla odkrywców nie musi być miłym przymusowe dzielenie się jój aureolą, i chociaż gazety pocieszają ich zapewnieniem, że chwała tego odkrycia jest, dość wielką, aby na dwóch starczyła, przecież każdy z nich może mieć żal do przeznaczenia, i gorzko powiedzieć: „Nie trzebaż prawdziwój feralności, ażeby przez „tyle wieków nikomu się nie udało ustalić tle- „nu ani wodoru, dopiero w tym właśnie roku „i miesiącu, kiedy ja wpadłem na mój pyszny „pomysł?”

Doprawdy, widząc tę psotę losów ciągle powracającą, przychodzi do głowy przypuszczenie, czy *idee* nie są także rodzajem jakichś mikroskopijnych grzybków, miazmatami umysłowemi, które w danych epokach krążą epidemicznie jak tyfus lub cholera, i czepiają się mózgów skłonniejszych do tój genialnej zarazy? Albo też trzeba przypuścić z panem Cezarym, że to są istoty eteryczne, które w pewnych miejscach lub czasach tłumnie się zjawiają i wielu na raz ludziom podszeptują tęż samą tajemnicę?

W każdym razie, bojąc się, aby kto z cudzoziemców nie ubiegł naszego rodaka w tak pięknym odkryciu, służyliśmy bardzo gorliwie, zwłaszcza z początku, wszelkim jego zachciankom. Legenda o Hoffmanie także nam przyszła w pomoc. Niejeden, coby się nie ruszył dla chorego biedaka, poszedł aby obejrzyć pamiątkowe ustronie, a raz już tam zaszedłszy, zajął się i dzisiejszym jego mieszkańcem. Okoliczność ta nawet może przynieść naszemu piśmiennictwu bezpośrednią korzyść. Jeden z moich znajomych, młody literat wielce bystry i pracowity, a przytém gorący miłośnik wszelkiej fantastyczności, pod wrażeniem tych odwiedzin rozkochał się na dobre w mistrzowskim autorze *Majoratu*, i pieze bardzo ciekawe *Studyum nad pobytém Hoffmanna w Polsce*. Praca ta niezadługo pojawi się w druku; nie wątpię że mocne obudzi zajęcie, bo kreślona jest z błyskającym humorem, i oparta na szczegółowych, z niemiecką sumiennością dokonanych badaniach.

Długo nie mogło mi się w głowie pomieścić, jakim sposobem Hoffmann, który w Warszawie prowadził życie sute i wystawne, mógł zamieszkiwać tak niziuchny domek? Wprawdzie za jego czasów okolice Leszna były najruchliwszą i najmodniejszą częścią miasta, i domek przed laty kilkudziesięciu stał w całym blasku świeżości, zawsze jednak wydawał mi się za

skromny dla człowieka co wyprawiał wielkie festyny muzykalne i żył ze *śmietanką* towarzystwa. Autor przyszłego *Studyum* udzielił mi objaśnień, które godzą wszelkie trudności. Po bitwie pod Jeną, kiedy wieść piorunująca rzucała popłoch między spokojnie roztasowanych przybyszów, kiedy zaczęli zbierać manatki i zmykać, —

.... „każdy drży, blednieje,
„Jako owad prusaczy, gdy wrzątkiem kto zleje,” —

wtedy i Hoffmann przekonał się gorzko jak jest niebezpiecznie gospodarzyć na cudzych śmieciach. Pewnego poranku znalazł się bez urzędu, bez pensyi, bez festynów, jedném słowem na bruku. Jednak nie miał serca porzucić od razu swojej najmilszej Warszawki, żonę i siostrzenicę wysłał do Berlina, a sam opuściwszy swój świetny *appartement*, przeniósł się na facyatkę *jakiegos* cichego dworku. Otoż teraz już wiadomo co to był za dworek.

Nie dość na tém: są dowody, że pamięć o znakomitym gościu przechowała się do dziś dnia u nas między miejscowém *pospółstwem*, wprawdzie przekształcona, zcudaczona, jak wszystko co przeszło przez usta gminu, jednak jeszcze łatwa do poznania. Na te dowody sama przypadkiem trafiłam.

Pewnego razu, idąc odwiedzić pana Cezarego, spotykam przy *fórtce* stróża Grzegorza, który stanowi całą służbę dworku.

— Dzień dobry Grzegorz. Jakże się miewa nasz chory?

— A jakże ma się miewać? Żle i źle. Już on nie wydobrzeje, póki go moi państwo będą trzymali w tej tam izbie na górze.

— Ależ mój przyjacielu, przecież to owszem wielkie dobrodziejstwo ze strony twoich państwa?

— Piękne mi dobrodziejstwo, dać komu pokój, gdzie nikt nie chce mieszkać!

— Jak to, nie chce mieszkać? Dla czego?

— Niby pani nie wie!

— Doprawdy że nie wiem. Dla czego nikt nie chce mieszkać?

— A no... bo tam straszy.

— Doprawdy? Pierwszy raz o tém słyszę. I cóż to tam straszy?

— Ja tak słyszałem: Dawno już temu, ze sto lat może, mieszkał na tej facyatce Niemiec jakiś, co umiał wielgie, bardzo wielgie sztuki, i od tego czasu niemiecki dyabeł tam siedzi — tak, że kto tylko dłużej w tym pokoju pomieszka, dostaje źle w głowie.

— Aha! Więc już niejeden mieszkał?

— A jakże! Był przecię ten wysoki, zły, podobny do kataryniarza, — waryat. Po nim przyszedł ten chudziuchny, dobry, ale także....

— No, jednak pan Cezary mieszka i nie boi się?

— A od czegoż byłby waryatem? Człowiek

zwaryowany już nie boi się duchów, żyje z nimi za pan brat, — ale za to inni się jego boją.

— A wy mój Grzegorzu, widzieliście kiedy stracha?

— To łaska niebieska, że ja jeszcze żyw.... Przeszłego roku, coś tak około Świętego Michała.... dobrze mówię, zaraz po imieninach naszego pana,—z tym chorym było strasznie źle, zdawało się, że do rana nie dociągnie, pani mi kazała w nocy go pilnować. Siadłem, ale jak mię strach opanuje, tak i północkska nie mogłem doczekać, i ledwo z duszą uciekłem.

— I czysście co widzieli?

— Proszę pani, o takich rzeczach nie dobrze gadać. Po co wywoływać wilka z lasu? To pewna, że gdyby się inna porządna służba trafiła, poszedłbym ztąd dzisiaj, chociaż państwo niezli.

To rzekłszy, jał się miotły i nie chciał więcej gadać. Ale i to, co powiedział, naprowadziło mię na szereg zadziwiających pytań. Czemu Grzegorz, który nigdy Hoffmannanie czytał, ani nawet jego nazwiska nie zna, doświadcza jednak w tym pokoju fantastycznych nagabań? Musi mieć słuszność pan Cezary: gdziekolwiek mieszkamy, tam zostawiamy twory naszej myśli i wyobraźni, które nawet po naszym wyprowadzeniu się, długo, zawieszzone w powietrzu, krążą na témże samém miejscu, i pod

kształtem *wrażeń* otaczają każdego, co tam wchodzi.

Z tój to może przyczyny, mieszkania znakomych ludzi budzą tak powszechną i nienasyconą ciekawość. Nieraz nic tam nie ma prawdziwie ciekawego; kilka zniszczonych sprzętów, czasem tylko obnażone ściany. A jednak turyści napływają tam przez całe wieki; przecież nie dla samego obejrzenia i dotknięcia się martwych przedmiotów? Idą dla odczucia owych *wrażeń*, w których dawny mieszkaniec zostawił cząstkę swojej duszy. Przez chwilę patrzą jego oczami, myślą jego myślami, żyją jego życiem. To też podróżnik, mimowolnie złoży usta do uśmiechu i zobaczy świat w czarnej sylwetce, gdy mu cicerone wskaże: „Oto pokój Voltaire'a.” A łzą woku zabłyśnie, i uczuje powiew przelatujących aniołów, gdy mu przewodnik powie: „Oto komnata królowej Jadwigi.”

I na facyatce przy ulicy Mylnój, niezaprzeczenie, do dziś dnia panuje w atmosferze coś dziwnego, jakiś niepokój taki odurzający, jakby tam jeszcze były obecnymi wszystkie te istoty groźne, urocze, śmieszne i żałosne, które nieśmiertelny fantastyk zaklął w swoich powiastkach. Wprawdzie mieszkał on tu niedługo, ledwo kilka miesięcy, ale to były miesiące samotności i biedy, a wiadomo, że właśnie w takich epokach, pod naciskiem potrzeby, najwię-

cój tworzył i pisał. Choćby nawet i niewiele napisał, w każdym razie tu pewnie osnuł plan do niejednej opowieści, tu musiała się urodzić niejedna z tych postaci, którym umiał nadać taką odrębność, taką rodową cechę, że dzisiaj dość jest powiedzieć: *Hoffmanowskie typy*, aby każdy zrozumiał, o jakich postaciach mowa.

Tak, — i mnie już w tym pokoju nagabają najosobliwsze wizye. Nieraz pan Cezary przez godzinę mówi, ja niby słucham uważnie, a w rzeczy samej ani wiem o co chodzi, bo nadstawiam ucha na dźwięki zakłęte w tych ścianach, które dla *wysłuchanych* wygrywają całą olbrzymią symfonię. Ztąd słyszę konające, a nigdy nie mogące skonać, drgania owych skrzypiec kremonskich, których dusza błąka się w piersiach suchotniczych dziewic, — zowąd mię dochodzi lekkie a przerażające pukanie lunatyka Daniela, co jęcząc wiecznie wraca do drzwi zamurowanych. A tam, po mrocznych kątach, przesuwają się rozdziwaczone figury, — nieszczęsna hrabianka polska w swojej kamienną masce, — Spallanzani w okularach buchających płomieniem, — radca Krespel wiejący u kapelusza długą, czarną krepą, — i pełno innych starców nasrożonych, panień wążkich jak lilie, młodzieńców ze strzałami w sercu, — wszystko to rozslochane, rozkochane i rozgrymaszone, wieszka się po ścianach, wygląda z po za pieca, otacza mię szalonym

kręgiem, który nie wiem jak nazwać, karnawałem duchów czy tańcem śmierci? Dreszcze mię przechodzą, a pan Cezary wciąż mówi spokojniutko. Czy ich nie widzi? Czy już do nich przywykł? Ja, przyznam się, nie mogę przywyknąć; często kończę jak Grzegorz, zrywam się i z duszą uchodzę.

A kiedy wrócę do domu, kiedy siądę w mojej bibliotecznej pracowni, tu mię znowu natchodzi myśl, czy i ten pokój nie jest pełen zaklętych istot? Powoli, w koło mego biurka zaczynają krążyć wszystkie te postaci, które ja sama we własnych książkach wymyśliłam. Już co tych to się nie boję, bo twórca między swemi tworamii jest jak patriarchy pomiędzy rodziną. Ale czasem napada mię inny postrach: a jeżeli też te postaci rzeczywiście żyją i mają poczucie swojej osobistości, któż wie czy są mi wdzięczne za nadanie im bytu? Czy na jakimś ostatecznym sądzie duchów, nie przyjdą czynić mi gorzkich wyrzutów, czemu im nadałam taki a nie inny charakter, lub kazałam im żyć w takich a nie innych warunkach? Któż wie czy i po śmierci, kiedy sama stanę się duchem, przez całą wieczność nie będę musiała ciągnąć za sobą tego świata mego utworu? I patrzeć na wszystko co się będzie z niego wyradzało, a nie módz już nic odmienić? Bo człowiek może ideę stworzyć, ale nie może jej zniszczyć; raz przez niego stworzona, idzie w świat, ani

się pyta, działa, żyje, broi, leczy lub otruwa, buduje lub zwała, wszystko w imieniu swego twórcy, a wszystko bez końca, — im większa tém nieśmiertelniejsza. Fatalna odpowiedzialność! Doprawdy są godziny, w których przychodzi ochota złamać pióro i wyrzec się bozkich zaszczytów twórczości.

A wszystkich tych postrachów napędził mi ów list bibulasty, z kolędową pieczęcią, którego obym nigdy nie była odebrała!

Ach... bo i sławny wynalazek jakoś dotąd bardzo tępo idzie. Pan Cezary, wiecznie coś prażący w tygielkach, wiecznie kujący jakieś blaszki, coraz więcej niestety! przypomina mi dawnych alchemików.... U niego, podobnie jak i u tamtych, każda próba ma być *już ostatnią*, przed każdą zapowiada swój tryumf ze wszystkimi trąbami i kotłami wymowy, przyjaciele radują się z obiecanki, winzują sobie, że doczekali owoców swego siewu (i końca swoich wydatków), aż tu pokazuje się, że owa próba ostatnia była dopiero *przedostatnią*.... A dla czego? Wytłómaczenie zawsze się znajdzie bardzo proste: zapomniano jakiegoś szczegółu, pominięto jakąś ostrożność; na przykład: owa massa chemiczna była zanadto na światło wystawiona, albo najpotrzebniejsza blaszka leżała w wilgoci; rzecz jasna jak słońce, że doświadczenie przy takich warunkach nie mogło się udać, — ale to łatwo naprawić, trzeba tyl-

ko wszystko raz jeszcze rozpocząć, materiały kupić w lepszym gatunku, coby nie tak łatwo ulegały zepsuciu, soczewki mieć mocniejsze, — jeżeli jeszcze można będzie wynaleźć tę a tę książkę, tego białego kruka, gdzie podobne manipulacje są opisane w allegoryi bardzo wyraźnej, — wtedy niezawodnie, no... już najniezawodniej wszystko się powiedzie!

Jednak po każdym takim rozczarowaniu, gronko wiernych zmniejsza się i stygnie. Ci, co z początku byli najgorliwszymi, teraz ruszają ramionami pytając: „Na miłość Bożką, pókiż tego będzie?”

Ach, trudno im się dziwić. Istotnie ta sprawa to beczka Danaid. I gdyby przynajmniej dawcy wiedzieli, że swoją hojnością zabezpieczą przyszłość obdarowanego? Że choć na kilka miesięcy potrafią wyrwać go z nędzy? Ale gdzie tam! Najużyteczniejsze upominki znikają gdzieś bez wieści, najrozsądniejsza pomoc rozbija się o jakieś głuche, podstępne przeciwdziałanie. Tak, ten szlachetny pan Cezary, coby dla samego siebie i na żart nie skłamał, dla swojego odkrycia posuwa się do wybiegów, nieledwie do oszukaństwa....

Już kilkakrotnie zastawiono mu pokój schludnymi sprzączkami, odziano go od stop do głowy, — zdawał się uszczęśliwiony. W kilka tygodni później przychodzimy... oczom trudno uwierzyć! Izba znów obszarpana, ani śladu

żadnego sprzętu, on znowu obdarty, w swoim wiecznym tabaczkowym tużurku. Co się stało? Czy zbójcy tędy przeszli? Pan Cezary spuszcza oczy, mieni się, szuka wykrętów, ale przy wrodzonej zacności te wykręty nie chcą mu się kleić. Po niejakiem badaniu odkrywamy, że samego siebie okradł... sprzedał komodę, aby kupić nowy przyrząd optyczny, sprzedał ciepły paltot dla nabycia starego manuskryptu. A wszystko to, ma się rozumieć, tandeciarze rozebrali za bezcen.

Właściciele dworku, ostrzeżeni, zaczęli podobnych gości nie dopuszczać. Cóż wtedy czyni pan Cezary? Z przebiegłością filuternego dziecka, pod ubraniem wynosi pomniejsze przedmioty, kilka razy nawet potrafił tak zręcznie omylić wszelką czujność, że mebelki jeden po drugim w porze wieczornej powynosił, i on, ten cień, o którym sądziliśmy, że od musnięcia wiatru się przewróci, na własnych plecach dźwigał je do innej części miasta, gdzie za marny pieniądz przepadały. Prawda, że wracając mógł w zamian zakupić garstkę jakiej soli, albo próbkę nowego metalu, których przymieszka miała oczekiwany cud wywołać.

Po każdym takim Herkulesowem dziele, mówimy sobie: „A toć on jeszcze dziesięć lat pożyje!”

Ale za to po każdej nieudanej próbie, nagle z sił opada, nędznieje, wraca do woskowej

przejrzystości, dzień i noc siedzi nieruchomy, na wszelkie pytania odpowiada tylko błędnym wzrokiem, i w oczach niknie jakby miał jutra nie doczekać.

Aż znów oto się rozśmiał.... Słuchajcie: wpadł na pomysł jakiejś kombinacyi, której dotąd nigdy nie użyto, zrywa się i rzuca do pracy z większym niż kiedykolwiek zapalem.

Dla mnie ta wytrwałość jest najwspanialszym dowodem przecucia, co mu zapowiada zwycięstwo, — jednym z cwych szanownych, głuchych przykładów bohaterstwa natchnionego przez miłość nauki, dla której człowiek wyższy gotów zaprzeć się wszystkiego i znieść wszystko, nawet piętno śmieszności. To też nie może we mnie zachwiać przekonania, że pan Cezary ostatecznie odkryje zwierciadlaną zagadkę, choćby w przeddzień śmierci — odkryje.

Cóż kiedy nie wszyscy dzielą moją wiarę i wyrozumiałość? Kilka razy już słyszałam jak szepnięto groźny wyraz: *mania*.... Lękam się nawet, aby kiedyś i dachu nie zabrakło biednemu samotnikowi?.. Szukając zawsze sekretów Hallucinięgo, nadwerężył on nietykalność pokoju; dla odnalezienia tajemniczój kryjówki, w wielu miejscach powyklówał ściany, a choć otwory starannie zasłaniał zwierciadłami, już jednakże gospodarz dostrzegł ślady wandalizmu i drży o swoje drżące domostwo. Pewnej

nocy, zaniepokojony niezwykłym trzeszczeniem w suficie, wybrał się ze stoczkiem na facyatkę i zastał swego lokatora wyjmującego ostrożnie kilka desek z podłogi. W pierwszej chwili gniewu chciał szkodnika na cztery wiatry wygnać;—wprawdzie nim ranek nadszedł, przemo-gło dobre serce, lub może jaki inny powód, bo zdaje mi się, że pan Michał jest wtajemniczony w wielkie dzieło, i tylko dla niepoznaki udaje niedowiarka, a w duszy cieszy się nową sławą swego domu. Któż wie jednak czy i jego w końcu nie zniechęci zbyt długi szereg niepowodzeń?

Wszystko więc odstępuje ginącego rozbitka...

Pani Marta od całych miesięcy wyjechała. Jój znajomi dawno go porzucili. Moim przyjaciółom także ręce opadły, — już nie śmiem ich wyzyskiwać, — sama też nie mogę podolać wszystkiemu.

A jednak szkoda byłaby opuścić przedsię-wzięcie, które już tyle ofiar kosztowało, opuścić je może w chwili ostatecznego przesilenia.

Rozmyślając nad nowymi środkami ratunku, wpadłam na pomysł, aby drukiem ogłosić zamiary i dzieje pana Cezarego. Tę myśl on mi sam podsunął, kiedy zaraz przy pierwszych odwiedziach mówił: „Pewien jestem, że gdyby moja historia pokazała się w książce, powieściowym stylem opisana, niejedenby się do niej zapalił.”

Nie śmiałam jednak wykonać téj myśli, nie uzyskawszy jego zezwolenia. Z początku zląkł się niezmiernie.

„Jak to?” zawołał — „wyjawiać naumyślnie to, co ja dotąd kryłem tak starannie? A jeżeli też kto skorzysta ze wskazówki, i uprzedzi mię w wynalazku?”

Jednak, po kilku dniach walki i namysłu, widząc, że już nie ma innéj drogi, przystał na mój wniosek, upraszając tylko i kładąc za warunek, abym rzecz opisała ciemno, jak najciemniej. Zdaje mi się, że wiernie spełniłam to żądanie.

A teraz, kto pragnie dowiedzieć się więcej, ten ma wrota otwarte. Może jaki chemik lub fotograf będzie ciekawy nowéj próby i raczy ją poprzeć światłą radą? Może który z panów psychiatrów zechce zbadać bliżej tę zagadkową osobistość? Może kto z podróżnych, przerzucając w wagonie moje kartki, sprawdzi pod Wenecyą, czy żyje i jak się miewa nieszczęsna Felicja?

A może też nowe grono ofiarodawców będzie szczęśliwszém niż dawniejsze i doczeka się dnia tryumfu?

Nie przesądzając przyszłości, posyłam ten list otwarty do wszystkich ludzi dobrej woli; wiem, że w mieście naszym nigdy ich nie zabraknie.

Adres macie dokładny. Może nie traficie od

razu, może i wam złe siły będą przeszkadzały w spełnieniu dobrego uczynku, ale nie dajcie się zrazić, wróćcie raz drugi i dziesiąty, szukajcie jak ja szukałam, a znajdziecie jak ja znalazłam. Zupełnie tak samo, za to ręczę.

Gdybyście zaś wcale nie znaleźli, no! wtedy będziecie mieli prawo powiedzieć co wam się żywnie podoba, nawet że całe to opowiadanie jest tylko szaloną fantazyą, wśród Hoffmanowskich duchów podsłuchaną.

KONIEC.

